

- Nie oszukuj Izby Skarbowej, bo i tak wpadniesz — str. 5
- W Meksyku Dzień Zmarłych przypomina wesele — str. 12
- Jak Giovanniego Casanovę wydalono z Polski — str. 14
- Czy Violetta Villas na długo powróciła na estradę — str. 10
- Ponure fatum nad Darłowem — str. 1 i 6

Nr indeksu 36762  
PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 28 (1476) ROK XXIX 12 LIPCA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

## Dlaczego nasi piłkarze źle grali w Meksyku?

Rozmowa z LESZKIEM JEZERSKIM — trenerem Pogoni Szczecin, obserwatorem z ramienia PZPN na Mundialu'86 w Meksyku.

— Wrócił pan z Meksyku wcześniej i nie był pan na finałowych meczach. Dlaczego?  
— Gdybym został na finałowe mecze, to miałbym najbliższy wolny samolot do Europy dopiero 9 lipca, a przecież jestem trenerem Pogoni Szczecin i powinienem już wziąć się za pracę z drużyną. Skorzystałem więc z tego, że było wolne miejsce w samolocie odlatującym z Meksyku 26 czerwca i oto jestem w Łodzi, a jutro iadę już do pracy w Szczecinie.

— Był pan obserwatorem razem z Marianem Szczechowiczem. Co należało do panów obowiązków?  
— Ja byłem w Meksyku i obserwowałem mecze rozgrywane na obu stadionach w Meksyku, w Neta w pobliżu Meksyku oraz w Pueblu i Toluca. Natomiast Marian Szczechowicz był w w Guadalajarze. Jedyny raz tylko skontaktowaliśmy się telefonicznie w sprawie odlotu z Meksyku, ale i tak bez rezultatu. Nie umiem odpowiedzieć, jak sobie dawał radę Marian w Guadalajarze.

— A pan jak sobie dawał radę?  
— Przyleciałem razem z polską ekipą, która poleciała dalej do Monterrey. Zostałem w Meksyku sam i przez cały miesiąc nikt się mną nie zainteresował, nie zadzwonił, nie zapytał, co sądzę o meczach innych drużyn, albo jak sobie daję radę. Meksyk to olbrzymie miasto: 75 km długie i 45 km szerokie. Kupiłem plan i nauczyłem się jeździć metrem i jakoś sobie radziłem. W Meksyku trenerem chodźlarzy jest Jerzy Hausleber — mój kolega. On mi wiele pomógł. Był tam też polscy dziennikarze. Wspomagalismy się wzajemnie. A przy okazji mogłem przekonać się, że praca naszych dziennikarzy przy obsługiwanio takiej imprezy jaką jest Mundial wcale nie należy do łatwych. Czasami wymaga końskiego zdrowia. Gdyby kibice znali całą prawdę o ich pracy, to wybaczaliby im różne wpadki.

— W Monterrey pan nie był. Nie ma więc co pytać pana, co się tam działo?  
— Nie. Nie byłem w Monterrey. Ale dochodziły mnie różne słuchy. Gdy wracała do Polski grupa działaczy, pojechałem na lotnisko i długo z nimi rozmawiałem. Spotkałem też Zbyszka Bońka i z nim również rozmawiałem. Trochę wiem, co się tam działo.

— Czy zechciałby pan powiedzieć, co pan wie?  
— Może nie tyle, co wiem, a raczej co słyszałem. Otóż słyszałem, że nie działo się najlepiej, że nie było w polskim zespole dyscypliny, że „ginęli” zawodnicy i to przed meczem, że choć ośrodek był dobrze strzeżony, to kłębili się po nim meksykańskie dziewczyny, a są one bardzo ładne, że były różne koncepcje składów, że najczęściej o tym mieli do powiedzenia: Zbyszek Bońka, Józef Młynarczyk, Włodzimierz Smolarek i Roman Wójcicki. Prezes poznańskiego Lecha, Hilary Nowak, z którym jestem w dobrej komitywie, choć rozstałem się z Lechem, przyznał mi rację, że niechętnie zwalniałem zawodników na zgrupowania Zobańczy sam, co się tam dzieje i przyznał mi rację.

Cały czas byłem przeciwny takim metodom przygotowywania drużyny, jakie były stosowane. Mogę to poprzeć przykładem Marka Ostrowskiego, który jesienią grał bardzo dobrze, a po powrocie ze zgrupowania, własną okazał się zupełnie nieprzygotowany do gry w drużynie klubowej. Musiałem go wziąć do indywidualnego przygotowania i to dopiero dało rezultat.

— Daszli mi takie słuchy, że nasi piłkarze nie mieli dostatecznych dochodów finansowych.  
— Niech pani to włoży między bajki. Dostali za wyjście z grupy i mieli oferowane dużo więcej za wygrany mecz z Brazylią. Ale nie byli w stanie podnieść tych pieniędzy.

— Widział pan mecze naszej drużyny. Co może pan o nich powiedzieć?  
— Widziałem i słyszałem, co mówili inni i czytałem, co pisali. Mało zresztą o nas pisali. Ale i to wystarczy. Opinia była niedobra. Drużyna jest nijaka. Józka Młynarczyka nazywano „misiem w bramce”. Polacy niczym szczególnym się nie wyróżnili. Nie było w naszej drużynie ataku. Zbyszkiowi Bońkowi powiedziałem, że nie wolno było mu zgodzić się grać w ataku, bo on nie jest napastnikiem. Sam Smolarek niczego nie potrafił zrobić. Urugwajczycy pytali mnie, dlaczego nie gra Krzysztof Baran. To przecież napastnik. Ale nie potrafiłem na to odpowiedzieć.



Foto: Witold Werner

Co na to minister?!

## Ponure fatum nad zamkiem w Darłowie

JACEK GŁĘBSKI

Na początku sprawa wyglądała niewinnie. Ot, kolejny skandal, jakich wiele dotyczący opłakanego stanu zabytków w nadmorskim miasteczku Darłowo w województwie koszalińskim. Pierwsza osoba, z którą na ten temat rozmawiałem, z racji zajmowania dość wysokiego stanowiska w Koszalinie, naprowadziła mnie tylko na ślad, radząc, bym w miarę chęci i możliwości sam zbadał sprawę. Padło tylko hasło: Zamek Książąt Pomorskich i kaplica św. Gertrudy w Darłowie. I jeszcze króciutka charakterystyka: w kaplicy mieści się miejska trupiarnia (brzydkie słowo, ale chyba najlepiej oddaje przeznaczenie jednego z najciekawszych gotyckich zabytków sakralnych) a zamek już od 17 lat jest w remoncie.

Z niewielu gotyckich obiektów sakralnych zachowanych na Pomorzu bez wątpienia na czoło wysuwają się 3 kaplice:

### W KOSZALINIE, SŁUPSKU I DARŁOWIE

Zarówno kaplica w Koszalinie jak i w Darłowie mają za patronkę św. Gertrudę.

Kaplica w Darłowie założona jest na rzucie dwunastoboku. Do wnętrza ze sklepieniem gwiazdowym i krzyżowo-żebrowym wspartym na sześciu filarach, prowadzą trzy ostrołukowe, profilowane portale. Całość zamyka od góry wielospadowy dach w kształcie wysmukłego ostrosłupa, pokryty dachówką i gontem. Właśnie z powodu tych walorów architektonicznych, osoby bardziej ode mnie kompetentne, mówiąc o kaplicy, używały określeń „perła architektury gotyckiej”, „unikat” itp.

Wewnątrz kaplicy znajdują się cenne za-

bytki, m. in. empery (czyli odmiany galerii) tzw. szewskie z II poł. XVII w. ufundowane przez cech szewców i zawierające cenne malowidła, renesansowe ławy i inne elementy wystroju wnętrza.

Kaplica pochodzi z II poł. XIV w. lub z początku XV w. Po gruntownej restauracji w 1912 r., zgodnie z projektem prof. Sacusa, według dokumentów z archiwum zabytków Wydziału Kultury i Sztuki w Koszalinie jej stan jest raczej zadowalający. Zresztą właściciel — jak wynika z tych dokumentów: Parafia rzymskokatolicka w Darłowie — jakoś sobie radzi z kaplicą. Tylko jak pojąć, że właścicielem jest parafia, a cmentarz, na którym stoi kaplica, jest cmentarzem komunalnym, zaś żeby było ciekawiej sama kaplica użytkowana jest jako miejska (a nie parafialna) kostnica?

Kolej na zamek. Jest to jeden z najcenniej-

szych i najpiękniejszych obiektów o założeniu gotyckim na terenie Pomorza Środkowego. Trudno ustalić datę powstania Zamku Książąt Pomorskich w Darłowie, wiadomo jedynie, że w 1352 r. teren wyspy zamkowej leżącej wśród rozlewisk Wieprzy zakupił książę Bogusław, a pod koniec XIV w. istniał tu już

### GOTYCKI, CZWOROBOCZNY ZAMEK

okolony murem obronnym z blankami i wieżą od strony północnej. Zamek ten był najczęściej przejściową siedzibą książąt pomorskich, choć książę Eryk I, zdetronizowany władca krajów skandynawskich, miał tu swą stałą, dożywotnią rezydencję. On to właśnie wznosił reprezentacyjne skrzydło parterowe z dużą salą tronową, przykrytą sklepieniem gwiazdowym. Po jego śmierci zamek był przez wiele lat siedzibą żony Eryka, księżnej Zofii i jego syna — Bogusława X. Z jej właśnie inicjatywy rozpoczęto budowę nie istniejącego obecnie, a będącego wówczas najbardziej reprezentacyjną częścią obiektu, skrzydła zachodniego.

Syn Bogusława X, Barnim XI, wznosił pierwsze elementy o renesansowym charakterze, uzupełniające niejako gotycką architekturę zamku. Do skrzydła południowego i wschodniego do-



# Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,  
Łódź, ul. Henryka  
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny  
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz

Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorczyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wroniska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stałe współpracują:

Tadeusz Błażewski,

Krzysztof

Drzewiecki, Bohdan

Gadomski, Witold

Kasperkiewicz, J. Stanisław

Knypl, Marek Koprowski,

Włodzimierz

Krzemiński, Alfred

Lutrzyski, Władysław

Malka, Marek Mamos,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Jerzy Panasewicz, Karol

J. Strykowski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa —

Książka — Ruch”, 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch”, Łódź, ul. Armii Czer-

wonaj 23.

Redakcja nie zwraca nie

zamówionych rękopisów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla

Instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach wojew-

ódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— Instytucji i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów

RSW „Prasa — Książka —

Ruch” opłacają prenumeratę w

urzędach pocztowych i u dorę-

czyteli; 2. dla indywidualnych

prenumeratorów: osoby fizyczne

zamieszkałe na wsi i w miejscow-

ościach, gdzie nie ma oddzia-

łów RSW „Prasa — Książka

— Ruch” opłacają prenumeratę

w urzędach pocztowych i u

doręczyteli; osoby fizyczne

zamieszkałe w miastach —

siedzibach Oddziałów RSW „Prasa

— Książka — Ruch” opłacają

prenumeratę wyłącznie w urz-

ędach pocztowych, nadawczo-od-

dawczych właściwych dla miej-

sca zamieszkania prenumera-

torów. Wpłaty dokonuje się uży-  
wając blankietu „wpłaty” na rach-

unek bankowy miejscowego

Oddziału RSW „Prasa — Książ-

ka — Ruch”; 3. prenumeratę ze

zleceniem wysyłki za granicę

przyjmuje RSW „Prasa —

Książka — Ruch”, Centrala Kol-

portażu Prasy i Wydawnictwo,

ul. Towarowa 23, 90-958 War-

szawa, konto NBP XV Oddział

w Warszawie, nr 1153-201045-

-139-11. Prenumerata ze zlecen-

iem wysyłki za granicę pocztą

zwykłą jest droższa od prenume-

raty krajowej o 50 proc., dla

zleceńodawców indywidualnych

i o 100 proc. dla zlecających in-

stytucji i zakładów pracy. Ter-

miny przyjmowania prenumera-

torów na kraj i za granicę — do

dnia 10 listopada na I kwartał

i półrocze roku następnego oraz

cały rok następny — do dnia

1 każdego miesiąca — poprze-

dzającą okres prenumeraty

roku bieżącego.

Zam. 2085. B-10.

# Przegląd prasy

Zbliżająca się kolejna rocznica ogłoszenia Manifestu PKWN, a co za tym idzie i powstania Polski Ludowej, kieruje nasze zainteresowania ku sprawom z tamtego czasu, z pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości w 1944 roku. Wyświetlany w telewizji serial „Kwestia wyboru” Ryszarda Frelka i Romana Wionczka zainteresowanie tymi sprawami jeszcze zwiększył. Z tych powodów Julian Bartosz zorganizował dyskusję, do udziału w której zaprosił weteranów ruchu robotniczego: Ignacego Logę-Sowińskiego, Władysława Górę, Bolesława Jaszczuka i Aleksandra Burskiego. Dyskusja ta ukazała się pod tytułem: „Jedność wokół naszego programu” w 26 numerze wrocławskiego tygodnika „SPRAWY I LUDZIE” z 26 czerwca 1986 roku.

Dyskusja jest obszerna, porusza wiele spraw i choć w założeniu Julian Bartosz sugerował, aby wnieść się ponad film Ryszarda Frelka i Romana Wionczka, to przecież ciągle rozmówcy do tego filmu wracali, mając wiele wobec niego zastrzeżeń. Interesujące będzie może skoncentrowanie się przede wszystkim na tym,

## JAK WIDZIELI PIERWSZOPLANOWE POSTACIE TAMTEGO OKRESU

z którymi często nie tylko się stykali, ale i współpracowali.

**WŁADYSŁAW GÓRA: —** „Filmowi mam do zarzucenia całkowicie błędne przedstawienie postaci Osóbki-Morawskiego. To była postać wtedy w polityce pełnokrwista. Zaczęła z pozycji zdecydowanie lewicowych, ale w 1946 roku zaczyna okazywać pewne wahania i wtedy zaczyna się w PPS formować druga lewica. Nie jest więc przypadkiem, że po wyborach Osóbka ustępuje z premiershipu, pozostając ministrem. W opisie z tymi postaciami jest coś dziwnego. Od strony PPR mamy tam ukazaną trójkę: Bieruta, Bernana, Gomulkę. Bernan — jako dogmatyczny antyjednościowiec, Bierut — jako nie wiadomo kto, taki niemowa, i wymachujący rękoma Gomulka. Nie idzie mi o zewnętrzne imponderabilia. Rzecz w tym, że w owym czasie, w latach 46-47 — nie było takiej różnicy stanowisk między nimi, jak później. Wobec problemów walki o władzę, w stanowisku wobec PSL — różnic między nimi nie było, przynajmniej w węższych sprawach.”

**IGNACY LOGA-SOWIŃSKI: —** Władysław Gomulka dążył do utrzymania porozumienia ze wszystkimi partiami i stronnictwami, które tworzyły TRIN, a więc także z PSL. Gomulka nie żądał od Mikolajczyka, aby PSL zawsze i wszędzie we wszystkich sprawach zajmowało identyczne stanowisko, jakie zajmowały solidarnie wszystkie partie i stronnictwa obywatelskie, PPR, PPS, SL i SD domagały się od PSL przeciwstawienia się terrorowi i politycznemu bandytyzmowi, u prawianemu przez zbrojne podziemie, obywatelskiego i państwowego stosunku do potrzeb odbudowy kraju i zagospodarowania ziem odzyskanych.”

**ALEKSANDER BURSKI: —** „Wieloletni znamo od 1932 roku, właśnie z działalności związkowej. Był on zawsze rzeczniczką pozytywną, jednolitofrontową działającą. Ale do jedności szedł zawsze z określonej, własną klasową pozycją, z programem i nie za wszelką cenę. Wiedział czego chciał...”

**WŁADYSŁAW GÓRA: —** „Z jakimi planami wchodził Mikolajczyk do rządu jedności? Oczywiście jest, że nie akceptował na platformy PKWN, Polski Ludowej. On chciał po prostu wejść do rządu. Próbuje podporządkować sobie Stronnictwo Ludowe, czemu przeciwstawia się lewica stronnictwa i w sierpniu 1945 roku, a więc prawie dwa miesiące potem powołuje PSL.”

**BOLESŁAW JASZCZUK: —** „Trzeba dodać, że Mikolajczyk liczył może na poparcie ze

strony określonych sił prawicowych w niejednoletniej PPS”.

**ALEKSANDER BURSKI: —** „Tak, Mikolajczyk chciał wygrać wahaniami w samym PPS. One były niemałe. I w centrali, i w terenie. To była w rzeczy samej wielka gra. Stawiano w niej, przede wszystkim w PSL, na zachodnie poparcie...”

„Ale liczył także na trzeci czynnik: na zbrojne podziemie. Pamiętam, jak przed referendum z okręgu łódzkiego wyprawilem w teren około 110 aktywistów PPR-owskich, a także związkowych. Wrócić z nich tylko około 60. Nawet nie wiem, gdzie oni są pochowani. Do dziś”.

**WŁADYSŁAW GÓRA: —** „Kompromis wymaga woli obu stron. Mikolajczyk nie chciał porozumienia, nie chciał kompromisu”.

„Jeśli chodzi o sam film, to rozmówcy „Spraw i Ludzi” zarzucili mu nie tylko rozmijanie się z prawdą w kilku sprawach, ale i przeniesienie walki o ludowe państwo z życia do gabinetów.”

W tym samym numerze „Spraw i Ludzi” znalazłem bardzo pouczający artykuł Tadeusza Buskiego, w którym autor próbuje wyjaśnić,

## DLACZEGO BILET DO TEATRU KOSZTUJE 1200 ZŁOTYCH

W artykule pt. „Do teatru za 1200 zł” opowiada o tym, jak usłyszał liczne pretensje, że bilety na występy Krystyny Jandy i Tadeusza Borowskiego w sztuce „Edukacja Rity” kosztowały po 1200, 1100 i 1000 złotych, że to jest skandal, że ci artyści nie mają litości, drą skórę z ludzi i tak dalej. Postanowił więc rzecz całą sprawdzić u źródła, czyli w „Impartie”. Dowiedział się tam, że nie tylko nie ma żadnego skandalu, ale wręcz „Impart” sprawdził Krystynę Jandę i Tadeusza Borowskiego ze sztuki „Edukacja Rity” z warszawskiego Teatru Ateneum w... czynie społecznym. A poza tym ponieważ „Impart” nie jest instytucją dotowaną i musi na siebie zarabiać, to takie „czynne społeczne” mogą przysporzyć sporo kłopotów, gdy przyjdą kontrolerzy, „których interesują przepisy, a nie np. uszczelnione interesy społeczne”. I zajmują się tu człowieku kulturą!

Wcale nie kpię, bo po prostu nie wiem, z kogo miałbym kpić. Sprawa jest przecież poważna. W „KULTURZE” (nr 27 z 2 lipca 1986 roku) czytam artykuł Witolda Nawrockiego pt. „O nowej kształt kultury” i znajduję tam takie oto — z wżech miar słuszne — stwierdzenie:

„Ale jednocześnie głęboki kryzys społeczny i gospodarczy uświadomił, iż w sposobie pojmowania kultury ważne miejsce zajmuje kompleks spraw związanych ze społeczną organizacją narodu, a walka o nowy obyczaj, o sanację moralną, o respektowanie prawa i akceptowanie przez społeczeństwo sprawowanie władzy, wymaga przemyslenia od nowa stanu społecznej świadomości”.

I wracam do lektury artykułu Tadeusza Buskiego, który pisze — równie słusznie:

„Miał być tak — uczono mnie o tym — że nawet jeżeli nie będzie się nam przelewało, to jednak ta książka, ta oświata, ta kultura, te wszystkie dobra, które przesyłają o naszym człowieczeństwie, będą dostępne wszystkim prawie za darmo”.

No, może nie przesadzamy z tym „darmo”, a niech będą w cenie, która byłaby dostępna i renciście, i robotnikowi, i nauczycielowi, i tym lepiej zarabiającym również. A jak to wygląda w praktyce? Popatrzmy

## JAKA BYŁA KALKULACJA

„Gdyby „Impart” potraktował je (wrocławskie przedstawienie „Edukacji Rity”) — przyp. L. B.) tak, jak normalne przedstawienie komercyjne z 30-procentowym narzutem, jedno przedstawienie kosztowało by 438.791 zł, a cena biletu byłaby o kilka stów wyższa...”

A tak „Impart” narzut nie wzięł i jedno przedstawienie kosztowało 306.847 zł. Co się na to składa?

1. 100.000 zł dla Teatru Ateneum w Warszawie jako honorarium dla firmy, która musi zapłacić tantiemy, pokryć koszty różnorodnie poniesione przy przygotowaniu tego spektaklu oraz ponieść straty z tego po-

wodu, że nie u siebie wystawia „Edukację Rity”, a we Wrocławiu.

2. Zapłacić za transport dekoracji w obliczonym 150.000 zł i za przewóz osób 60.000 zł.

3. W sztuce „Edukacja Rity” występuje dwoje aktorów: Krystyna Janda i Tadeusz Borowski, ale towarzyszy im 13 osób i całej 17 potrzeba zapłacić hotel za 4 doby po 1700 do 2000 zł doba.

4. Za wynajęcie sali Teatru Kameralnego we Wrocławiu 150.000 zł.

5. 11 procent od wpływów dla ZAKS.

6. Dochodzą do tego jeszcze drobne kwoty po kilka tysięcy zł za różne drobne usługi i należności.

„Na nieporozumieniu — pisze Tadeusz Buski — opiera się też domniemanie, że to Janda i Borowski byli tacy kształtowi. Otrzymali oni normalną teatralną „dniówkę”, jaka im się należy od spektaklu z tytułu angażu w Ateneum, co w złotychkach wynosi dostojnie wartość kilku biletów. Ich honorarium właściwie się nie liczy w łącznych kosztach przedstawienia”.

I teraz dopiero stajemy przed dylematem:

## CZY WIĘCEJ KOCHAĆ REFORMĘ, CZY KULTURĘ?

Trudno bowiem zaprzeczyć, że dla reformy nie ma alternatywy i nasza przyszłość zależy od tego, czy wyjdzie nam reforma gospodarcza we wszystkich dziedzinach życia, czy nie. Z drugiej strony nie można pomniejszać znaczenia kultury dla prawidłowego rozwoju świadomości społecznej. A przecież od poziomu świadomości, od poziomu oświaty, kultury i nauki zależy też powodzenie reformy. Koło zamknięte. Jesteśmy w kręgu sprzężeń zwrotnych, wzajemnych zależności, dialektycznych powiązań. I co wybrać? Niestety polega na tym, że nie ma wyboru. Nie można bowiem wybierać: albo reforma gospodarcza, albo kultura? Taki wybór po prostu nie istnieje. A zatem co tu nie gra — jak w pewnym dowcipie mówił pewien minister kultury.

„Otoż niezależnie od dewaluacji naszej waluty — pisze Tadeusz Buski — porównywalne koszty upowszechniania kultury w PRL systematycznie rosną i to wcale nie z tego powodu, że droższe nam artykuły. Wydać mi się, że wzrasta ilość udziałowców w tym szczytnym i poniekąd społecznym procederze. Spójrzmy jeszcze raz choćby na ekipę towarzyszącą Jandzie i Borowskiemu, nie jest ona jeszcze tak absurdalna, jak u znanej mi spółdzielni mieszkaniowej (...), ale już i w tym wypadku kłania się Parkinson”.

Nie wiem, czy to jest właściwszy wniosek, ale jeżeli tom encyklopedii kosztuje prawie jedną czwartą średniej płacy, a bilet do teatru dla wielu rencistów, studentów, a nawet i ludzi zamożnych jest zbyt drogi, to co tu jest nie w porządku. Co?

## GLUPI DOWCIP

— choć zapewne nikt z amerykańskich urzędników tego nie chciał — zrobił urząd imigracyjny Departamentu Stanu USA krakowskemu Teatrowi Staremu i Andrzejowi Wajdzie, który reżyserował „Zbrodnię i karę”. Teatr Stary nie otrzymał wiz do USA, gdyż amerykańscy urzędnicy uznali, że prezentuje on „niski poziom artystyczny”. Donosi o tym Grzegorz Woźniak z Nowego Jorku, a wiadomość ukazała się w polskiej prasie za nowojorskim dziennikiem polonijnym „Nowy Dziennik”. Wiadomość tę opublikował „DZIENNIK ŁÓDZKI” (nr 155 z 4 lipca 1986 roku).

Wiz odmówiono też zachodniomocznemu „Bochumer Ensemble”, meksykańskiemu „Comnias Divas” i irlandzkiemu „Druid Theatre”. Teatry te miały wystąpić na festiwalu organizowanym przez Nowojorski Uniwersytet Stanowy w Purchase. Dyrektor tego festiwalu Christopher Hunt zaprotestował przeciw ignorancji urzędników imigracyjnych. Bilety na „Zbrodnię i karę” Teatru Starego z Krakowa zostały już sprzedane. I co teraz będzie?

Najgorzej, jak za kulturę biorą się urzędnicy.

## LUCJAN BOGUSZ

## NA WŁASNY RACHUNEK

# Karmienie pasożyta

Pasożytami nazywamy — jak każdemu wiadomo — organizmy zwierzęce lub roślinne, które czerpią soki ze swego żywiciela, tj. organizmu, na którym żyją i go wyniszczają. Pasożyty człowieka, jak choćby taslemiec zwany soliterem, budzą zrozumiałą niechęć i są zazwyczaj — zależnie od świadomości ludzi i środków, którymi rozporządzają, bezwzględnie tępiące. Zdawałoby się więc, że nikt z nas nie jest skłonny odejmować sobie od ust, żeby żyć darmozjadą. Ale jednak istnieją wśród nas dość liczne wyjątki...

Otoż ze znacznej tolerancji i z wyrozumiałej sympatii korzysta u nas często tzw. pasożyt społeczny i dość wielu ludzi nie tylko nie ma przeciwko temu, żeby owego pasożyta żywić i utrzymywać, a nawet zachęca innych, żeby szli w jego ślady. Nierzadko opiekunowie i poplecznicy pasożytów nie są ludźmi zamożnymi, wcale im się nie przelewa, a jednak bez szemrania wyrażają zgodę na dzielenie się swoją niewielką codzienną porcją z pasożytem.

Obce jest mentalności tych ludzi potępienie osobników młodych i silnych, a nłgdzie niepracujących i korzystających z różnego rodzaju zasiłków, obce im jest oburzenie się na rzekomych inwalidów, którzy korzystają z renty, a jednocześnie „z pieśnią na ustach” dorabiają sobie „na boku” ciężką nierzadką fizyczną. Nie mają też nic przeciwko pasożytom okresowym, korzystającym często gęsto ze zwolnień lekarskich w kwintowym stanie zdrowia, którzy często z rozbrajającą szczerością, bez śladu zażenowania oznajmiają wszem i wobec, że w przyszłym miesiącu zrobią w domu to lub owo lub też wyjadą sobie na kilka lub kilkanaście dni, ponieważ „wezmą sobie” zwolnienie lekarskie. I, o dziwo! — w zaplanowanym terminie osoby te rzeczywiście „biorą sobie” owo zwolnienie, a nie wiem czy zawsze dostają je na piękne oczy.

Dlaczego tak stosunkowo często spotykamy się z ludzką wyrozumiałością wobec pasożytów i cichą aprobata ich postępowania? Czy nie powinna dziwić ta filantropijna mentalność ludzi poszkodowanych, z których kieszeni są przecież pokrywane te wszystkie nieuzasadnione zwolnienia, renty i zapomogi, gdyż trzeba pracownikom na państwowej posadzie nie dopłacić akurat tyle, ile potrzebne jest na wsparcie dla pasożytów?

Otoż dzieje się tak m.in. dlatego, że wielu ludzi (w co trudno uwierzyć) po prostu nie dostrzega ścisłej zależności, jaka występuje w społeczeństwie pomiędzy efektywną pracą, a zwłaszcza produkcyjną, a poziomem życia ludzi pracy. Traktuje się środki materialne — finansowe i rzeczowe — na utrzymanie pasożytów jako coś w rodzaju manny, która sama spada z nieba i niczyich korzyści nie uszczupla, a przy takim ujmowaniu sprawy ludzie nie czują się okradani przez nierobów i bumelantów.

A nie jest wcale przypadkiem, że istnienie elementarnego związku pracy i poziomu życia dostrzegają ci, którzy sami wytwarzają przy warstwie pracy dobra, które trafiają na rynek, by ludzi odziać, nakarmić, ogrzać albo na tak niezbędny krajowi eksport. Oni też, robotnicy, najnamiętniej, ze szczerym oburzeniem, piętnują przejawy społecznego marnotrawstwa i pasywności, domagając się publicznie położenia im kresu. Oni bowiem odczuwają ten ekonomiczny związek bardziej „namacalnie” niż inni, i to kształtuje w naturalny sposób ich społeczny światopogląd, toteż nie bez racji mówi się o specyficznym morale klasy robotniczej (oczywiście jej zdrowej, niezdemorlizowanej części).

Toteż, jak sądzię, przede wszystkim wśród nich powinny znaleźć najlepsze zrozumienie zdania z referatu Komitetu Centralnego PZPR na X Zjeździe partii, które dotyczą tej właśnie problematyki: „Ścisłej zależności między podziałem a tworzeniem nie wolno nigdy lekceważyć (...). Związek między dostatkami a efektywnością jest rygorystyczny (...). Socjalistyczna sprawiedliwość społeczna, to (...) zapobieganie zawłaszczaniu rezultatów cudzego wysiłku”.

Z tym właśnie zawłaszczaniem, m.in. przez pasożyty, powinniśmy w imię własnych kieszeni prowadzić codzienną nieublaganą walkę, co w tym wypadku sumuje się w sposób najoczywistszy w pojęcie sprawiedliwości społecznej.

## JERZY KWIECIŃSKI

# W najbliższych numerach „Ogłosów”

— reportaż Romana Kubiaka z Głupic, gdzie na lipie ukazują się różne święte osoby, ale nie każdy je widzi,

— opowieść Witolda Wernera o człowieku, który żył z ogrywania innych w karty,

— reportaż Marka Koprowskiego o małych i dużych tajemnicach oraz osobliwościach Szczecina,

— reportaż Jacka Głębskiego pod znamienym tytułem: „Nad morze z własną wodą!”, w którym autor przestrzega wczasowiczów przed tym, co ich czeka nad modrym morzem,

— opowieść Jolanty Wronskiej o dziwnym jeleniu, nie mniej dziwnym leśniczym oraz pewnym siebie naczelniku,

— artykuł Zenona J. Michalskiego o demokracji robotniczej, Tadeusza Mendelskiego „Chleb i idee”.

— rozmowa z Wojciechem Żukrowskim o literaturze i sprawach pisarzy,

— początek rozmowy Marka Mamosa z Edwardem Osóbką-Morawskim o wydarzeniach roku 1944,

— dalsze fragmenty drugiej części książki Mieczysława F. Rakowskiego „Czasy nadziei i rozczarowań”,

— pierwszy reportaż Pawła Tomaszewskiego i Romana Kubiaka z cyklu: „Nasz Belchatów”,

— przygody erotyczne Giovanniego Giacomo Casanovy, oraz felietony, listy, sport, wiersze, proza.



1.

W 1985 roku Państwowy Instytut Wydawniczy wypuścił na rynek książkę Konrada Wrzosa pod bardzo aktualnym tytułem: „OKO W OKO Z KRYZYSEM. Reportaż z podróży po Polsce”. Książka nie zwróciła na siebie większej uwagi, choć powinna. Być może czytelnika zmylił tytuł. Ludzie mają już dość odmienniania słowa „kryzys”. Woleliby raczej, aby pojęcie to należało do przeszłości. Tymczasem „kryzys” z książki Konrada Wrzosa właśnie należy do przeszłości. Jest to bowiem książka o kryzysie lat trzydziestych, a więc akcja reportażu Konrada Wrzosa dzieje się przeszło 50 lat temu. Inny kryzys, inni ludzie.

Są też w tej książce reportaże łódzkie: „Ognisko kryzysu” i „Przemysł anonimowy zagraża wielkiemu przemysłowi”. Jakże inny to był kryzys. Po ulicy Piotrkowskiej spacerowali bezrobotni z planszami z napisem: „Przyjmij jakąkolwiek pracę”. Książka Konrada Wrzosa ukazała się w 1933 roku. Pisał on wtedy:

„Jak wygląda bezrobocie w Łodzi?”

20 lutego rb. opieka społeczna wydała 29.262

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## Bardzo nie lubiany temat praca

obłady. Na 625.000 mieszkańców 10.762 rodzin są na utrzymaniu opieki społecznej. Cyfra ta powiększa się. Bywają dni, w ciągu których zgłasza się 100 nowych bezrobotnych o pomoc”

Tyle oficjalne statystyki. A czego wówczas statystyki nie notowały? „Chałupnicy, tak zresztą liczeni w Łodzi, pracują na jedną zmianę do 16 godzin na dobę”. Bezrobocia wśród chałupników nikt nie rejestrował.

„Przemysł anonimowy to chałupnicy — pisał w 1933 roku Konrad Wrzosa. — Chałupników w Polsce jest około miliona, w tej liczbie 330.000 „dzisiek”, tj. takich, którzy nie posiadają świadectw rzemieślniczych. Samych tkaczy jedna tylko Łódź liczy 15.000. Samych krauców polskie Brzeźny liczą 6000.

Ci ludzie pracują w małych mieszkanckach, przy prymitywnych warsztatach, przy historycznych kołowrotkach i krosnach”.

Są to obrazy z przeszłości Polski. Obrazy już dziś historyczne. Dlaczego je przypominam? Aby pokazać rozmiar dokonanych przemian. Drogę jaką przebyliśmy od lat tamtego kryzysu do lat dzisiejszego kryzysu. Inny był wówczas kryzys, inny jest dziś. Nie wierzę zbytnio w skuteczność opowieści o tym, jak to trudno było przed wojną. Młodzi tego dziś nie rozumieją, im trudno było inaczej. Inny czas, inni ludzie, inne problemy. Takie porównania zawadza. A mimo to zdecydowałem się pokazać fakty sprzed przeszło 50 lat właśnie o tym, jak wówczas było ciężko. Dlaczego? Bo chodzi mi o nasz stosunek do pracy. Wiem, jest to bardzo niewdzięczny temat. Wręcz nie lubiany. A przeleż...

2.

X Zjazd PZPR, chociaż zwyczajny, jest tym niemniej ważny, gdyż musi nakreślić nam perspektywę naszych zamierzeń, celów, dążeń. Będzie to zawarte w „Programie PZPR”. Gdy piszę niniejszy tekst, „Program PZPR” dopiero się uchyla. X Zjazd PZPR nie zakończył jeszcze obrad. Ale mamy już referat Komitetu Centralnego PZPR, mamy nakreślone najważniejsze kierunki i cele. Mamy też orientację, co musimy zrobić.

„Naczelne narodowe zadanie — mówił ze zjazdowej trybuny Wojciech Jaruzelski — to wzmocnić procesy rozwojowe, odrobić utracony czas, skrócić dystans dzielący nas od naukowo-technicznej i gospodarczej czołówki. Tyle będziemy się w świecie liczyć, ile wymiennie będziemy warte. Żaden kraj nie jest prawdziwie ceniony tylko za historyczną chwałę. Sprawą podstawową jest zdolność uruchomienia wszystkich sił i rezerw na rzecz nowoczesnego efektywnego rozwoju...”

„Musimy iść szybciej naprzód! Przyspieszenie jest historyczną koniecznością...”

Przyspieszenie to jednak nie po prostu pogoń za ilościowymi wskaźnikami. To złożony proces głębokich przemian jakościowych we wszystkich dziedzinach życia, w sferze materialnej i w świadomości społecznej”.

Myśl tę można tak skomentować. Dotychczasowy proces budowy socjalizmu nagromadził taką wielość zmian ilościowych, że nadszedł moment przekształcenia się ich w zmiany jakościowe. Proces budowy socjalizmu musi więc dokonać wewnętrznego skoku, musi stać się jakościowo wyższy, inny, pełniejszy. Nie stanie się to samo, w rozwoju społecznym nie ma bowiem automatyzmu, choć rządzą tu określone prawa. Ale, aby prawa te prawidłowo funkcjonowały niezbędna jest działalność ludzi. Świadoma działalność. Świadoma celów, metod, warunków i skutków, tak pozytywnych, jak negatywnych. Tę świadomość społeczeństwu budującym socjalizm daje partia. Między innymi przez uchwalenie „Programu PZPR”. Stąd tak ważny jest X Zjazd.

3.

Negatywny obraz naszego stosunku do pracy znany wszystkim. Nigdy wszakże za wiele jest wiedzy o naszych brakach. Posłuchajmy co na ten temat mówił na X Zjeździe PZPR Zbigniew Messner:

„Corocznie samowolnie porzuca pracę ponad 250 tysięcy osób.

Nadmierna jest fluktuacja kadrowa. Wpływa ona negatywnie na jakość produkowanych wyrobów i usług, powoduje demoralizację placówką pracowników i rozkład systemów motywacyjnych.

Wiele nieprawidłowości występuje na tle absencji chorobowej. Zbyt łatwo uzyskać można, nie zawsze uzasadnione faktycznymi przyczynami, płatne zwolnienie lekarskie.

Czas faktycznie przepracowany nie przekracza średnio biorąc, 30 godzin tygodniowo”.

I wcale nie chodzi o to, aby gonić ludzi do większego wysiłku fizycznego. Wolaniem: — pracuj lepiej, wydajniej! — nie osiągnie się pożądanego rezultatu. Młm zdaniem bardzo trafnie problem ten ujął Eugeniusz Piętaek — maszynista, brygadzysta w Hucie im. Bolesława Bieruta w Częstochowie. Powiedział on tak:

„Dla nas robotników, najważniejszy jest dobry majster czy kierownik oddziału. Ci ludzie, na tych właśnie stanowiskach, tworzą to, co my nazywamy atmosferą pracy. Nie mogą oni być tylko urzędnikami, opanuszami wszelkich przepisów zreformowanej gospodarki, ale powinni być przede wszystkim przywódcami swoich zespołów.

Robotników nie interesuje, według jakich przepisów zamawia się uszczelki i śruby, my je musimy mieć. Dla mnie inżynier — to człowiek wykształcony i mądry, dlatego demeruje mnie, gdy tłumaczy, że on czegoś nie może zatawić. On powinien myśleć i działać, jak usprawiedliwia pracę i uczynić ją bardziej wydajną. Powinien być dla mnie doradcą, organizatorem, a nie tłumaczem trudności”.

Istota przyspieszenia nie polega przecież wcale na tym, że będziemy magazynować buble, których produkcja będzie nieustannie rosta. Istota przyspieszenia polega na tym, że w nowocześniejszy sposób produkujemy nowocześniejsze, poszukiwane, konkurencyjne wobec innych towary, urządzenia, maszyny. A zatem wykorzystujemy myśl ludzi, ich pomysły, wynalazki, rozwiązania organizacyjne.

Jeśli z rachunku wynika, że rośnie nam zużycie energii elektrycznej, to w grę mogą wchodzić dwa rozwiązania: albo zbudujemy kolejne elektrownie, ale dla produkcji energii elektrycznej potrzebne jest paliwo, albo węgiel, którego wcale tak dużo nie ma, albo energia jądrowa; a drugie rozwiązanie, to oszczędzanie energii. Elektryczność można oszczędzać wyłączając zbędne żarówki, ale też budując mniej zużywające elektryczność maszyny. I ten drugi kierunek decyduje o przyspieszeniu, o jego istocie i jakości.

4.

Przymus ekonomiczny — to brzmi bardzo brzydko. Każdy przymus wiąże się z ograniczeniem wolności. Polacy bardzo tego nie lubią.

Polacy kochają wolność. Ale przymus ekonomiczny staje się historyczną koniecznością. Albo zaczniemy dokładnie kalkulować, zastanawiać się nad tym, co się nam bardziej opłaca, co można taniej, lepiej i nowocześniejszymi wytworzyć, albo wszelkie piękne zamierzenia i programy pozostaną na papierze. Dotyczy to przede wszystkim pracy i naszego stosunku do pracy. Ale też placę musi wynikać z ilości i jakości pracy.

W referacie Komitetu Centralnego PZPR powiedziano:

„W kształtowaniu plac, ich relacjach między grupami zawodowymi i specjalnościami, narosło wiele niczym nie uzasadnionych, nieradko rażących dysproporcji. Są one często krzywdzące w stosunku do ludzi przynoszących społeczeństwu wielki pożytek, o wysokich kwalifikacjach i uznanej randze. Budzi to sprzeciw. W usuwaniu deformacji placowych pomocna powinna być metoda tzw. wartościowania pracy. Jej wdrożenie to ważne zadanie administracji gospodarczej i związków zawodowych. Promotorem jej upowszechnienia powinna być partia. Zapewnienie ładu placowego to problem nie tylko gospodarczy, lecz i społeczny, moralny”.

Wiąże się to z pojęciem awansu. Otóż jakże jeszcze często przez awans rozumie się przejście od maszyny do biurka, a więc awansem jest stać się urzędnikiem. Budzi to we mnie sprzeciw. Nie mam przeciwko urzędnikom, ale wcale nie uważam, że porzucenie robotniczego stanu i wejście do stanu urzędniczego musi być rozumiane jako awans. Często wiąże się to nawet ze stratą w zarobkach, ale daje jakoby lepsze poczucie społecznej wartości. Zupełnie fałszywe. Ale też wiąże się z szacunkiem dla pracy, ze skalą wartości, jakie aktualnie u nas obowiązują. Urzędnik — to w rozumieniu niektórych ludzi, coś „lepszego” niż robotnik pracujący przy maszynie. A tymczasem szanować powinno się każdą pracę jednakowo, a wartościować ją można jedynie poprzez jej społeczną przydatność. Z tego względu nie wydaje mi się, aby paniąka wypisująca w biurze kwity spełniała ważniejszą społeczną rolę niż tokarz precyzyjnie obrabiający detale. Odpowiedzialność na obu tych stanowiskach jest zdecydowanie różna. Błąd tokarza i błąd paniąki od kwitów mają bardzo różną wartość.

Otóż przymus ekonomiczny — przynajmniej według mnie — musi wywołać takie zmiany w świadomości również, że ludzie zaczną rozumieć inaczej awans. Nie jako ucieczkę z hali fabrycznej do biura, ale jako doskonalenie się w zawodzie, lepsze zarobki będące wynikiem mistrzowsko opanowanego zawodu, poważanie przez kolegów i przełożonych, nagrody za twórczy stosunek do zawodu. Być może wtedy uda się wreszcie to, co usiłujemy zrobić od lat bez skutku — zmniejszyć skutecznie administrację, spowodować, aby ludzie przestali się wstydić pracy, aby z wyrachowania choćby szli z biur na hale produkcyjne. Bo przymus ekonomiczny, to po prostu konieczność zarobienia pieniędzy, aby móc dobrze, czy lepiej żyć. A jak człowiek nie musi, to często jemu się nie chce. Taka jest natura ludzka.

5.

X Zjazd PZPR zakończy obrady. Podejmie uchwały, da nam program, nakreśli cele i zadania. To bardzo dużo, ale to też bardzo mało zarazem. Gdyż na tym nie można poprzestać. Mielibyśmy już w naszej najnowszej historii dużo dobrych, wszechstronnych uchwał, programów, mamy nawet świetne, daleko wybiegające w przyszłość ustawy. Tylko, że te wspaniałe dokumenty same nic nie zmieniają, jeśli ludzie nie będą się nimi posługiwali przy swoich działaniach, jeśli nie będą wcielali w życie tego, co sami postanowili, co uznali za słuszne.

W kuluarach X Zjazdu PZPR Michał Gorbaczow powiedział Danucie Kanlewskiej i Krystynie Zyniewicz z Koszalinia:

— Macie dobry, realistyczny program, teraz tylko do dzieła.

Tylko to: „do dzieła” wymaga nie tyle dobrej woli i zapału, co zmiany sposobu myślenia. A to nie będzie łatwe, choć jest konieczne. Bez tego nie ruszymy. Musimy zacząć o naszych sprawach myśleć nowocześnie, inaczej, bardziej twórczo. Nie bać się krytyki, polemiki, wymiany poglądów. Rację bowiem ma nie ten, kto ma stanowisko, ale ten, kto ma argumenty i potrafi krytycznie, twórczo myśleć.

## Nagroda „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1986 roku — po raz trzeci

Rozpoczynamy trzecią edycję nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1986 r. Szczegóły znajdzie Czytelnik w „Regulaminie”. We wstępie do tego „Regulaminu” chciałbym podzielić się kilkoma uwagami, jakie wynikły z prac jury w dwu pierwszych edycjach.

Jak wszyscy zapewne pamiętają laureatami nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1984 roku był ANTONI SZRAM, a za upowszechnianie kultury w 1985 roku — SŁAWOMIR PIETRAS. Kto będzie trzecim laureatem — przekonamy się o tym w maju 1987 roku.

Myślę, że słusznie postąpiliśmy w tym roku nie publikując nazwisk kontrkandydatów. Chodzi nam bowiem o to, że „Regulamin” nie zabrania kandydowania do nagrody po kilka razy, jeśli kandydat wykazuje się co roku osiągnięciami w upowszechnianiu kultury. A tak przecież bywa w niejednym wypadku. Ujawnienie natomiast nazwisk kontrkandydatów często powoduje, że kandydat w jednym roku, który nie został laureatem, nie chce kandydować w następnym, choć ma ku temu powody, gdyż posiada odpowiedni dorobek. Utrzymanie nazwisk kontrkandydatów laureata w tajemnicy pozwala każdemu ponownie kandydować bez jakichkolwiek oporów. I tak będziemy postępować nadal!

Jury rozpatrujące kandydatury do nagrody za upowszechnianie kultury w 1985 roku nie miało łatwej pracy, gdyż konkurencja była silna. I nagroda należała się również innym kandydatom, a była jedna i niepodzielna. W tej sytuacji padła propozycja, aby ustanowić nagrodę dwustopniową: I stopień — 50 tysięcy złotych i dwie nagrody II stopnia — po 25 tysięcy złotych. Propozycja ta była dyskutowana w różnych gronach, konsultowana i została odrzucona. Uznano, że należy utrzymać jedną i niepodzielną nagrodę, przez co ma ona wysoką rangę i nie należy tego zmieniać. Być może z tej decyzji przyszłe jury będzie znów niezadowolone, gdyż będzie miało trudny, albo jeszcze trudniejszy wybór.

Bedziemy też — podobnie jak w poprzednich latach — zwracać się do naszych Czytelników z pytaniem: „Komu nagrodę „Odgłosów”?”

„Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1986 roku”, który publikujemy poniżej, będzie opublikowany jeszcze kilkakrotnie. Na każde żądanie może być udostępniony w redakcji do wglądu. Przypominam, że zgodnie z „Regulaminem” wnioski do nagrody — na piśmie i dobrze umotywowane — można nadsyłać do 31 stycznia 1987 roku. Czasu jest wiele. Zaczęły się wakacje. Jesienią rozpocznie się nowy sezon kulturalny, niemniej jednak radzę już teraz rozzejrzeć się za przyszłymi kandydatami. Życzę wszystkim powodzenia w ubieganiu się o nagrodę „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1986 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w roku 1986

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1986 roku w wysokości 50 tysięcy złotych przyznaje jury w składzie Czytelników „Odgłosów” oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.

2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1986 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.

3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.

4. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1986 i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy” do 31 stycznia 1987 roku.

5. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli ilość kandydatów będzie mniejsza niż trzy, albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.

6. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

7. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów” powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

8. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wchodzi:

— przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,

— dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”,

— przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,

— przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.

Skład jury nie może przekraczać 11 osób.

9. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1987 roku.

Foto: Witold Werner



września rozpoczęła się druga tura zjazdu „Solidarności”. Odnosimy wrażenie, że zarówno Oświadczenie Biura Politycznego KC PZPR, wystąpienia członków kierownictwa partii, które w tym czasie miały miejsce, czy wręcz Twój wywiad dla PAP można określić jako jeden poważny ciąg ostrzeżeń skierowanych pod adresem „Solidarności” oraz jej kierownictwa. Czy prawidłowo odczytujemy intencje kierownictwa partii i rządu?

Sądzę, że tak. Jakkolwiek nie spodziewaliśmy się, że w drugiej turze zjazdu dojdzie do jakiegoś zasadniczego zwrotu w koncepcji walki kierownictwa „Solidarności” z PZPR, z władzą, to jednak było naszym obowiązkiem wyrazić i jednoznacznie określić stanowiska partii i rządu. Chodziło o to, aby nikt nie mógł powiedzieć, że milczeliśmy wówczas, gdy trzeba było krzyknąć. Dodam, że oprócz wymienionych dokumentów i enuncjacji prasowych należałoby wymienić jeszcze dwa dokumenty — uchwałę Sejmu w sprawie głównych problemów polityczno-społecznych i gospodarczych kraju oraz stanowisko rządu PRL wobec złożonej i groźnej sytuacji polityczno-społecznej i gospodarczej kraju. Uchwała została przyjęta pod koniec dwudniowego posiedzenia Sejmu, które odbyło się w dniach 24 i 25 września. „Sejm PRL, czytamy w uchwale, daje wyraz szczególnemu zaniepokojeniu usiłowaniami skrajnych sił w »Solidarności«, podejmujących próby narzucenia tej organizacji pozastatutowych celów i działań wymierzonych w socjalistyczne zasady ustrojowe, jak i wszelkimi poszczególnymi, które stanowią podłoże dla nastrojów konfrontacyjnych, jakiejkolwiek byłyby ich przyczyny”. Podczas obrad Sejmu przemówienie wygłosił premier. Zapewnił, że nie może być powrotu do złych, przedsierniowych metod rządzenia, oraz stwierdził, że co się tyje oceny pierwszej tury zjazdu, to po Oświadczeniu Biura Politycznego KC PZPR oraz oświadczeniach władz naczelnych ZSL i SD, „nie mam nic do dodania”. Zapewniając Sejm, że rząd umocni skuteczność swego działania, mowa dodał, że rząd, mówiąc obrazowo, „csuje się częstokroć jak człowiek z przywiązaniem do nogi kamieniem, który poruszając się z trudem, nieustannie słyszy, »jak on powoły, czy jak on nieudolny“.

Stanowisko rządu, o którym wspominałem, zostało przyjęte przez Radę Ministrów po posiedzeniu w dniu 14 i 17 września. W stanowisku zawarta została również ocena pierwszej tury zjazdu „Solidarności”. Warto odnotować, że po raz pierwszy Rada Ministrów PRL zasygnalizowała problem członków „Solidarności” pracujących w administracji państwowej i w aparacie rządowym. „Z racji swoich zadań, stwierdziła Rada Ministrów, zobowiązani są oni do służebności wobec państwa. W świetle uchwał krajowego zjazdu i całej antyrządowej kampanii »Solidarności« ich sytuacja staje się dwuznaczna, wymaga samookreślenia”. Nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że przywódca „Solidarności” nie mógł narzekać na brak ostrzeżeń. Radził sobie z nimi doskonale, bowiem miał na nie jedną odpowiedź — rząd znowu atakuje „Solidarności”.

— Prawda jest, że ostrzeżenia ze strony władz nie brakowało, ale wówczas wielu ludzi uważało, że piętnujące w nich niby zachowania się radykałów „Solidarności”, a faktycznie to atakujące cały Związek, a więc i miliony robotników, którzy wstąpił do niego z pobudek szlachetnych.

Słyszałem ten pogląd wiele razy i prawdę mówiąc po pewnym czasie zrezygnowałem z polemiki z nim, bowiem pomyślałem sobie, że szkoda na nią czasu. W miarę zaostrożania się sytuacji politycznej kraju i wzrastającej wrogości przywódców „Solidarności” wobec PZPR i władzy państwowej z niezwykłą wprost energią podkreślał, że dostrzegamy tych członków Związku, o których mówicie, ale dramat ówczesny polegał na tym, że wielu z nich pozwalało sobie w tym czasie już manipulować przez graczy politycznych, przez różne osoby, które z klasa robotniczą miały tło wspólne, co ja z Chomeinim. Bardzo często różnego rodzaju protesty, rezolucje wychodzące z łona „Solidarności” były pisane przez cwaniaków, którzy uważali, że wręczcie nadeszła ich godzina. Pojawili się w zakładach pracy naledowani nienawiścią do komunistów i przesycałi nią protesty, apele itp. Poznałem ten styl z daleka. Posłużyć się pewnym przykładem, który — jak sądzę — zilustruje słuszność mojego spostrzeżenia. 24 września otrzymałem z Gabinetu Prezesa Rady Ministrów protest z „Ursusa”, który rozpoczynał się od słów: „My, robotnicy Wydziału Montażu Ciągnika z ZM Ursus zebrani 22.9.81 roku, wyrażamy zdecydowany protest przeciwko stwierdzeniom zawartym w Oświadczeniu Biura Politycznego KC PZPR, Rady Ministrów PRL oraz KC KPZR i Rządu Socjalicznego. Nie jesteśmy kontrewolucjonistami — „kontrewolucjonistami i antysocjalistami są rzązący, którzy wypaczyli historię, zniszczyli kulturę, zepchnęli kraj na krawędź nędzy”. Dalej autor lub autorzy protestu wołali: „My wiemy, o co Wam chodzi. Was nie interesuje nasza wspólna Ojczyzna. Was interesują tylko Wasze przywileje, dochody i piasek. I dlatego boicie się »Solidarności«. Dlatego boicie się ludu polskiego, starającego się uchronić kraj przed dyktaturą czerwonego reżymu. My zebrani tutaj z oburzeniem przyjęliśmy brutalną i bolszewicką ingerencję w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Rząd i Partia potulnie przyjęli pogroźki moskiewskiego imperializmu. Tym samym raz jeszcze wykazały, komu służą i kogo reprezentują”. To nie był język robotniczy. Tak robotnicy nie mówili. Bywałem na wielu spotkaniach, na których stawiano pytania bez owijania spraw w bawełnę, ale nigdy nie zetknąłem się z takim właśnie językiem, a poczytuję sobie za zaszczyt, że robotnicy, jeśli nawet byli krytyczni wobec mnie — przedstawiciela władzy, to nie ukrywali przede mną swoich poglądów. Uważałem obserwując różną sytuację polityczną kraju bez trudu można było dostrzec całe tabuny cwaniaków, małych graczy przemawiających w imieniu klasy robotniczej. Powie ktoś, że tych przemawiających w imieniu robotników nie brak było także w naszym obozie. Powie to i powoła się na doświadczenia okresu przedsierniowego. Oczywiście, że tak też było, ale trze-

ba pamiętać, że te praktyki poddane zostały w partii surowej krytyce. W 1981 roku występując publicznie, ogłaszając oświadczenia i uchwalać apele, mówiliśmy przede wszystkim o żywoitych interesach narodu polskiego i klasy robotniczej. Nikt też z nas nie dyktował robotnikom, członkom związków branżowych rezolucji przepojonych np. jadem nienawiści do „Solidarności”. Takich rezolucji branżowych rzecz jasna nie uchwalałi. W ogóle nikomu nie dyktowaliśmy rezolucji. Co się zaś tyczy „Solidarności”, to faktem jest, że jej przywódcom udało się zaszczepić wielu tysiącom swoich aktywistów, także szczebla zakładowego, zamiłowanie do używania gromkich i wzniosłych słów. W wielu ogniwach „Solidarności” przyjęła się metoda mieszania z błotem przeciwnika.

— Powiedziałeś, że nie liczyliście się z możliwością dojścia do jakiegoś zwrotu w linii politycznej „Solidarności” podczas drugiej tury zjazdu. Była to — jak sądzimy — ocena prawidłowa. Czy możesz jednak stwierdzić, „z

## Czasy nadziei i rozczarowań

# Nieposłuszeństwo wobec władzy uważano za cnotę

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

reka na sercu”, że wasze ostrzeżenia nie znalazły żadnego odbicia w przebiegu drugiej tury zjazdu?

Analizując przyjęte podczas drugiej tury zjazdu uchwały, rezolucje itp., niestety dostrzec że „Solidarność” poruszała się w tym czasie już po własnym torze, który biegł równoległe do toru, na którym skupily się siły socjalistyczne — PZPR, stronnictwa sojusznice oraz ta część społeczeństwa, która opowiadała się za socjalizmem.

W bogatej dokumentacji drugiej tury zjazdu nie ma śladu jakiegokolwiek wpływu naszych ostrzeżeń. Dodac trzeba, że na zjeździe o socjalizmie już nie mówiono. Nie wypadło mowić. Jak wiadomo zabrakło tego słowa nawet w programie „Solidarności” przyjętym przez zjazd. Indagowani przez nas w tej sprawie doradcy wyjaśnili, że był to błąd... maszynistki. Nie stać ich było nawet na przyznanie się do tego, co rzeczywiście myśleli. Na zjeździe, „Solidarność” określiła się jako formacja ideologiczna i polityczna, która postępując się hasłami narodowymi w istocie rzeczy postawiła sobie za cel zmianę ustroju. Dążenie do osiągnięcia tego celu przejawiało się przede wszystkim w zacieklej i konsekwentnym atakowaniu państwa i wszystkich jego ważniejszych instytucji. Państwo niewiele znaczyło. To, co się liczyło, to filozofia polityczna zawarta w hasle: „Bóg — Honor — Ojczyzna”. Studiując uchwały zjazdu szczególnie w dwóch znalazłem pełne potwierdzenie kierunku, który przed chwilą scharakteryzowałem. Pierwsza dotyczyła oświaty, druga kultury. W pierwszej autorzy uchwały mówili o „nowej Polsce”, bynajmniej nie socjalistycznej, i ostro atakowali istniejący system oświaty oraz wychowania. System ten, stwierdzali, „służył dotychczas wyłącznie interesom politycznym, ideologicznym i ekonomicznym narzucenym społeczeństwu władzy. Był on obcy aspiracjom i wartościom narodu polskiego... Żądamy, aby system edukacji narodowej w Polsce nie służył dalej doroznym i koniunkturalnym interesom władzy politycznej i administracyjnej”. Jeden z delegatów, nauczyciel, zabierając głos w dyskusji plenarnej powiedział, że przez cały okres powojenny w dziedzinie oświaty zrobiono wszystko, „żeby naród upadł”. Mówca domagał się także przywrócenia naszemu godu państwowemu korony. Nie można przejść obojętnie obok cytowanych sformułowań uchwały, bowiem mogły one wyjść jedynie spod pióra ludzi, których należało zaliczyć do prawicy społecznej.

W dziejach Polski powojennej obok rewolucji przemysłowej najpełniejszym blaskiem świecił przecież rewolucja kulturalno-oświatowa dokonana z inicjatywą obozu polskiej lewicy. Była to rewolucja głęboka i wszechstronna. Jej dobroczynne skutki są oczywiste. Miliony synów robotników i chłopów uzyskały realną szansę odbycia drogi do szkoły podstawowej, do uniwersytetu i politechniki. W obowiązkowych lekturach znalazły się wszystkie dzieła wybitnych poetów i pisarzy różnych epok i różnych zapatywań. Mimo znanych w naszej powojennej historii zakrętów, nawet w latach panowania kultu jednostki, nie została zarzucona zasada wieloświatowości naszej kultury. Powszechny i obowiązkowy system oświaty na przestrzeni wszystkich dziesięcioleci sprzyjał umacnianiu się narodowej osobowości Polaków. Powiedzieć, że system ten był obcy aspiracjom i wartościom narodu polskiego, to przecież nie innego jak oskarżyć również setki tysięcy wspaniałych wychowawców naszych dzieł i młodzieży o antynarodową działalność. Czy autorzy tej uchwały zapomniałi o wszystkich nieprzemijających wartościach, jakie narodowi przyniosła rewolucja kulturalno-oświatowa? Trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie. Można jedynie założyć, że tak jawnie objawiona negacja historycznych osiągnięć odpowiadała głównemu celowi szefów „Solidarności”, tj. budowaniu, obok istniejących struktur państwowych, struktur własnych, solidarnościowych. Bo to w części uchwały zawierającej postulaty czytamy, że Związek będzie się domagał „przelamania monopolu partyjnopństwowego w systemie oświatowym przez otwarcie możliwości tworzenia niezależnych instytucji opiekuńczo-wychowawczych i kształcących”. Co ten postulat oznaczał, niestety zgadnąć. Niezależne instytucje, to znaczy tworne i kierowane przez „Solidarność” i jej przybudówki.

Drugi dokument, który także zmuszał do rozważań na temat celów, do których podążały zespoły kierownicze „Solidarności”, to „Dekla-

racja programowa w sprawie kultury narodowej”. Jej autorzy formułowali swoje oceny i postulaty tak, jakby kultura narodowa w Polsce Ludowej była już nie kopciuszkiem, lecz tą dziedziczą życia narodowego, którą komunisty z premedytacją tłamsili, czy zgola niszczyli. W deklaracji nie było ani jednego zdania, które odnotowałyby historyczne osiągnięcia Polski Ludowej w udostępnianiu całemu narodowi bogatej spuścizny kulturalnej. Nic z tych rzeczy. Przed „Solidarnością” była pustynia kulturalna, prawdziwy rozwój kultury miał się rozpocząć od wejścia na scenę narodowych dzieł „Solidarności”. W gruncie rzeczy podziwiał trzeba ten wprost bezprzykładny przejaw nihilizmu. A może bezniań zarozumiałości lub — co gorsza — głupoty? Przecież negacja osiągnięć Polski Ludowej w dziedzinie kultury praktycznie rzecz biorąc oznaczała także przekreślenie twórczego wysiłku prawie całego pokolenia twórców, którzy niezależnie od wyznawanego światopoglądu i postaw politycznych właśnie w Polsce Ludowej odbudowywali kultu-

(8)

re że zniszczeń wojennych i stworzył dzieła o nieprzemijającej wartości. No, ale ktoś może zapytać, co jeszcze oprócz wspomnianej negacji znalazło się w tym dokumencie. Ano, przede wszystkim żądanie neutralności światopoglądowej państwa „we wszystkich dziedzinach, przede wszystkim w dziedzinie edukacji narodowej i kultury... żadnej dyskryminacji w dziedzinie kultury i sztuki, niezależnie od tego, czy dotyczy ona ludzi, czy idei, dzieł czy kierunków...”. Doprowadzając ten postulat do skrajności można zapytać: a więc zgoda na szerzenie idei wyrosłych — na przykład — z faszyzmu także?

Co się tyczy neutralności światopoglądowej państwa, to w naszych czasach, gdy kultura stała się jednym z ważnych terenów walki pomiędzy formacją socjalistyczną i kapitalistyczną, tego rodzaju żądanie było zwyczajną bzdurą; wyrastało albo z kompletnej niewiedzy o prawach rządzących współczesnym światem, albo też z wiary, że jednym z najlepszych środków wiodących do osiągnięcia zamierzonego celu jest demagogia. Zresztą, o czym tu mówić. Gdyby „Solidarność” przejęła władzę, to sądząc na podstawie tego, co ogłaszała, wprowadziłyby taki monopol państwa przez siebie kierowanego, że np. po wieloświatowości nie pozostałoby najmniejszego śladu.

Główny akcent w Deklaracji położono na chrześcijański i katolicki nurt w kulturze polskiej. Przypisano mu pozycję monopolistyczną. Duch i litera Deklaracji zmuszają do refleksji na temat charakteru i oblicza antysocjalistycznej opozycji, która w minionych kilku latach, szczególnie zaś w 1981 roku, stała się tak hałaśliwa i aktywna. Otóż, jeśli podać gruntowną analizę wszystkiego, co w tych latach wychodziło z łona opozycji, niestety dostrzec, że jest to formacja staromodna, chyba rodem z XIX wieku. Na czym opieram swój osąd? Przede wszystkim na tym, że jej jedynym, najczęściej powtarzającym argumentem było nawiązywanie do wspaniałej i heroicznej przeszłości naszego narodu. Prowadziło ono do ożywiania różnego rodzaju mitów, wiary w cuda czy wręczcie szerzenia poglądów, iż jesteśmy narodem wybranym, naznaczoneym szczególnym piętnem bohaterstwa, męczeństwa oraz niezwykłym wprost umiłowaniem wolności. Oznacza to, że inne narody są mniej bohaterstka, mniej w ich historii śladów męczeństwa i mniej umiłowania wolności. Wolność nade wszystko! A cóż to oznaczało w praktyce? Nie innego jak zachęcanie do anarchii, a przede wszystkim do głoszenia prawa do odzręczenia niewygodnych, bywa że nawet uciążliwych norm współzycia społecznego, bez których nie może istnieć żadne państwo. Może przesadzam? Nie sądzę, bowiem nieposłuszeństwo wobec władzy było przez znaczną część aktywny „Solidarności” uważane za cnotę. W tym duchu występowało bardzo wielu dyskutantów, zarówno w pierwszej, jak i drugiej fazie zjazdu.

W podsunętej przez opozycję antysocjalistyczną liderom „Solidarności” koncepcji samorządnej Rzeczypospolitej również dostrzegam ducha anarchii. Ta tak usilnie lansowana koncepcja otwierała drogę do rozbijania ukształtowanych przez wiele dziesięcioleci struktur społecznych na tysiące niezależnych, suwerennych wobec siebie, mniejszych lub większych społeczności zorganizowanych bądź to na gruncie więzi zawodowej, bądź też terytorialnej. Ideę samorządności głosiliśmy na długo przed tym, zanim pojawili się nowi jej apostołowie w rodzaju Kuronia i jemu podobnych szamańców, ale rzecz w tym, że my widzimy ją jako korzystną dla obywateli piaszczyzną aktywności różnorodnych grup zawodowych i społecznych w interesie własnym oraz państwa, natomiast kuroniowska koncepcja samorządnej Rzeczypospolitej lansowana przez przywódców „Solidarności” oraz rzesze aktywistów Związku nie miała na celu uzyskania maksymalnego stopnia kojarzenia interesów wspomnianych społeczności z interesami ogólnonarodowymi i ogólnopolskimi, lecz rozbicie istniejącego państwa. Kuronia, Modzelewski i jego koledzy nie są intelektualnymi zerami. Zagrali kartą samorządnej Rzeczypospolitej świadomie, ponieważ dobrze wiedzieli, że po latach nadmiernej centralizacji trafi ona na podatny grunt. Jestem zresztą przekonany, że wielu działaczy „Solidarności” rozprawiało o samorządnej Rzeczypospolitej nie mając zielonego pojęcia, o co właściwie chodzi. Wiedzieli jedynie, że wołanie o samorządną Rzeczypospolitą, jak skierowane przeciwko władzy.

W kontekście „samorządnej Rzeczypospolitej” należy wspomnieć także o ogłoszeniu w kuluarach zjazdu w dniu 27 września deklaracji ołów tzw. Klubu Służby Niepodległości. Jego organizatorzy stawiali sobie m. in. za cel „działanie na rzecz przygotowania społeczeństwa do wolnych wyborów do Sejmu oraz terenowych organów przedstawicielskich — rad narodowych” oraz „podejmowanie i popieranie działań społecznych zmierzających do niezawisłości gospodarczej kraju, samorządności terytorialnej i pracowniczej”. Ojcami chrzestnymi Klubu byli m. in. członkowie i współpracownicy KSS-KOR.

— Komentując deklarację w sprawie kultury użył określenia „pustynia kulturalna”. Jaki jest rodowod tej przemawiającej do wyborczych formuły? Kto wymyślił ją? Może rząd po to, by ustawił sobie do wygodnego bokowania ludzi z „Solidarności”?

Pochodzenie tego określenia jest następujące. Na początku października 1981 roku Hieronim Kubiak, który niezgodowanie podejmował próby na rzecz pozyskania środowisk kulturalnych dla polityki realizowanej przez kierownictwo partii i rządu zwrócił się do premiera z sugestią odbycia spotkania z grupą wybitnych osobistości ze świata kultury i sztuki. Szef rządu zawsze skory do dialogu z każdym, kto przejawiał choćby minimalną chęć wysłuchania naszych racji i argumentów, przystał na propozycję Kubiaka. Wspólnie z nim sporządziliśmy listę osób, które naszym zdaniem należało zaprosić i przekazaliśmy ją premierowi. Po kilku dniach otrzymaliśmy z jego Gabinetu wiadomość, że lista proponowanych uczestników spotkania została przyjęta. Spotkanie odbyło się jeszcze w tym samym miesiącu. Premier spokojnie, „bez nerwów” wysłuchał wszystkich wystąpień. Większość z nich zawierała inteligentnie podaną krytykę władzy i obronę poczyniań „Solidarności”. Zarówno dla Generała jak i Kubiaka oraz dla mnie nie było to zaskoczeniem, ponieważ w owym czasie sporo ludzi kultury i sztuki odnosiło się do „Solidarności” całkowicie bezkrytycznie, a nawet, wręcz czolobitnie. Wśród tych, którzy zabrali głos, znaleźli się także Józef Patkowski, ówczesny prezes Związku Kompozytorów Polskich. Nie znam się na tym na muzyce, by o rze, jakiej klasy jest on kompozytorem. Wiem, że do wielkich kompozytorów o sławie światowej zaliczyć należy Witolda Lutosławskiego i Krzysztofa Pendereckiego. Obu znam z przelotnych spotkań. Trwałe i godne miejsce w polskiej twórczości muzycznej zdobyli również Tadeusz Baird, Tadeusz Serocki oraz Jan Krenz. Znałem całą trójkę. Z Tadeuszem Serockim łączyły mnie więzy koleżeńskie. Podobnie jak z Janem Krenzem, dziś już jedynym żyjącym z tej trójki. Janek jest nie tylko świetnym kompozytorem, ale głosem w kraju i za granicą dyrygentem. Nie utrzymuję z nim stałych kontaktów, ale gdy latem 1984 r. z inicjatywy Kiry Gałczyńskiej i jej męża Janka Kiełanckiego spotkał się z nim i jego żoną na Mazurach, z wielką radością odnotowałem, że zarówno wówczas, w roku 1981, jak i w następnych latach, w osobie Janka i jego żony mam przyjaznych i sprzyjających naszym poczynaniom ludzi. Nie ukrywam, że każde spotkanie z utalentowanymi ludźmi ze świata nauki i kultury, którzy w 1981 roku nie padali na kolana przed Wałęsą oraz „Solidarnością” i nie ulegałi stanom amoku, sprawia mi i nadal sprawia osobistą satysfakcję. Powróćmy jednak do Patkowskiego. Otóż oceniając stan kultury w Polsce Ludowej powiedział m. in. „że nasz kraj jest »pustynią kulturalną“. Tak więc prezes ZKP jest ojcem tego określenia. Nie wiem, czy jeszcze dziś przyznaje się do tego ojcostwa. No, ale mniejsza z tym. Nie muszę chyba wyjaśniać, że zatrudziło mna, gdy usłyszałem to określenie. Nawet jeśli pozostaniemy tylko przy muzyce, to nikt, ale naprawdę nikt, kto zachował choćby minimum obiektywizmu nie może zaprzeczyć temu, że właśnie w Polsce Ludowej stworzono tej dziedzinie warunki, o których w żadnej innej epoce nikt z kompozytorów, dyrygentów i solistów nie ośmielił się nawet marzyć. Jest to fakt tak oczywisty, że aż wstyd wyliczać rejestr powstałych po 1945 roku orkiestr symfonicznych, szkół muzycznych, filharmonii, słynnych w świecie konkursów, równie słynnych zespołów pieśni i tańca itd., itp. Cóż więc skłoniło Patkowskiego do wygłoszenia takiej bezrozumnej oceny? Kto to wie? Przypominam autora owego powiedzenia nie po to, by go pognać, lecz by dać świadectwo prawdzie, bowiem w następnych latach ten i ów działacz pracujący „w kulturze” używał tego sformułowania, przypisując je „Solidarności” w ogóle lub też środowiskom twórczym. Nie jest to zgodne z prawdą.

— Powróćmy do zjazdu. Czy oświadczenie KSS-KOR, odczytane na zjeździe przez prof. Lipińskiego stwierdzające, że organizacja uznaje swoją działalność za zakończoną, zaskoczyło kierownictwo partii i rządu?

Nie było to wydarzenie, które mogłoby nas zbulwersować, bo przecież decyzja ta nie oznaczała, że członkowie KSS-KOR „rozwiązują się, zaprzestając swej działalności wymiarowej przeciwko państwu socjalistycznemu. Nie wywołał także zdziwienia fakt, że korowcy uznali „Solidarność” za spadkobiercę i kontynuatora ich koncepcji czy też ściślej platformy politycznej, ponieważ to oni byli ideowymi wychowawcami członków „Solidarności”. Mówił o tym, także na zjeździe, Wałęsa. Zrozumiał był też apel zawarty w oświadczeniu KSS-KOR, wzywający każdego, komu „bliskie były niegdyś cele” korowców, do wspierania „Solidarności” i działania „w jej szeregach lub na jej rzecz”. Jest oczywiste, że przyjęta przez uczestników zjazdu uchwała wyrażająca uznanie dla działalności KOR też nikogo z nas nie mogła zaskoczyć. Na marginesie obecności korowców i kapeńców na zjeździe nasuwa mi się następująca uwaga: w tych wrześniowych i październikowych dniach Gdańsk oraz hala „Olivii” stały się miejscem ogólnopolskiego zlotu wszystkich co znaczących, a także mniej znaczących, figur o orientacji prawicowej.

C.D.N.



**W** poprzedniej rozmowie wspominał pan o problemach związanych z funkcjonowaniem firm polonijnych, ale nie stoła nam wówczas miejsca ni czasu. Może by więc?

— Zgoda. Może parę liczb. Zagranicznych przedsiębiorstw drobnej wytwórczości, bo tak powinniśmy je zasadniczo określać, mamy w kraju ponad 600, z tego mniej więcej jedna trzecia mieści się w Warszawie i okolicy. Sporo funkcjonuje w Białymostku, Katowickim.

— A w Łodzi, województwie?

W Łodzi i województwie działa 36 firm polonijnych, żeby trzymać się już tego przyjętego powszechnie określenia. Z niewielką tendencją spadkową, bowiem nie tak dawno mieliśmy kilka firm więcej, ale cóż...

— Ich zniknięcie to również zastęga pańskich Izby?

— W pewnym sensie, choć było to przede wszystkim konsekwencją wielu uchybień z ich strony, ale o tym może za chwile...

— Wiemy wszyscy jaki był cel ich działalności: wsparcie eksportu, uzupełnienie rynku, w którym brakowało wielu podstawowych towarów. Był i cel czysto merkantylny — przypięty „czyste, żywe” waluty...

— Tak by to można z grubsza określić, ale rychło też okazało się, że przepisy mają sporo luk, przedsiębiorstwa skwapliwie wykorzystują pewne nasze niedociągnięcia i ów cel nie w każdym przypadku zostaje osiągnięty. A poza tym tak zwana opinia społeczna...

— Wiem, wiem, czekałem na ten jakże polski, jakże nam bliiski motyw: wykorzystywanie ojczyźnej siły roboczej, te horrendalne zarobki, te „Mercedesy”!

— Zgadzałem się, zawiść czy zazdrość nie jest piękną cechą. Zresztą ja uważam, że wiele naszych firm państwowych, wielu dyrektorów powinno karnie udać się do wspomnianych przedsiębiorstw na pouczającą wycieczkę. Być może po raz pierwszy w życiu ujrzeliby na własne oczy, co to znaczy „wykorzystanie czasu pracy, praca zorganizowana, brak przestoju, rytmiczność, dobre zaopatrzenie”. Dotychczas były to dla nich puste słowa.

— W firmach polonijnych nie ma czasu na papierosa, nie można wyjść na piwo, spokojnie pogadać gdzieś na uboczu.

— Ano, przyjrzałem się nam druga Japonia, można się więc przyrzec, jak to w skali mikro wygląda. Ale oprócz wysokich zarobków widzę w systemie pracy tych firm masę innych plusów, choćby niewielki udział administracji.

— Rzecz podobno niemożliwa!

— Właśnie. U nich pracownicy administracyjni — to raptem średnio 5 procent załogi, gdy my przyrównujemy jesteśmy do 25-30 procent. Biurowiści są wśród nich!

— Ale przypomniał pan dyrektorze, że zarobki są w tych przedsiębiorstwach denerwująco wysokie w porównaniu z analogicznymi nawet stanowiskami w państwowych firmach...

— Wszystko zależy od tego, kogo denerwujące. I bardzo dobrze, że są wysokie, niechże tam referentka zarabia te 35 tysięcy złotych, ona przecież na kilku etatach pracuje. Tam jedna osoba jest zwykle księgową, planistą, sekretarką, sprzątaczką, nieraz całym działem socjalnym. W państwowej firmie, gdyby tyle czynności wykonywała — zarabiałaby jeszcze więcej...

— Widzę, że firmy polonijne cieszą się panem dużą estymą.

— Jako skarbowiec muszę je szanować. Przecież to najlepszy mój podatnik!

— To znaczy?

— Dla porównania. Jeżeli 25 tysięcy zakładów rzemieślniczych w Łodzi i województwie płaci mi rocznie z tytułu różnych podatków 4 miliardy złotych, to tylko 36 firm — ponad 1 miliard złotych. I ja nie jestem ich przeciwnikiem, wręcz odwrotnie: chciałbym mieć jak najwięcej na swym terenie takich specyficznych przedsiębiorstw.

— A są jakieś przeciwwskazania?

— Trudno to nazwać przeciwwskazaniami, to raczej świadoma polityka Urzędu Miasta, który zezwala na otwarcie nowych firm wyłącznie w przypadku potrzebnego nam rodzaju oferowanej działalności. I nie ma przeszkód w przypadku branży spożywczej, produkcji różnych urządzeń medycznych, dla rolnictwa i wielu innych. Dość natomiast mamy już krawiectwa, generalnie — branży odzieżowych i włókienniczych. A poza tym dziś już uruchomienie takiego przedsiębiorstwa nie jest sprawą finansowo zbyt łatwą...

— Cóż to znaczy dokładnie?

— Dokładnie? Ano nie ma już możliwości otwarcia firmy polonijnej przy pomocy paru tysięcy dolarów i „kupionego” Araba. Kilku ewentualnych mogło bez większych problemów zostać jego „pełnomocnikami”, reprezentującymi oficjalnie jego „interesy” w kraju. Interesy jego kreślił ów przykładowy Arab brał swoją „działkę”, wszyscy byli zadowoleni, oprócz... skarbu państwa.

— A obecnie?

— W wyniku pewnych nowelizacji przepisów obwarowano możliwość uruchomienia zagranicznego przedsiębiorstwa kilkoma prostymi, acz skutecznymi warunkami. Przede wszystkim musi przysłać firma złożony w banku tak zwany depozyt założycielski, co można nazwać pewnym rodzajem zabezpieczenia na wypadek ewentualnej gospodarczej niesolidności.

— Ależ ten depozyt, to znaczy obowiązek złożenia go, oczywiście w „żywej walucie”, istniał od początku wprowadzenia na nasz rynek polonijnych przedsiębiorstw?

— Tak, tylko lekko myślnie nie ustalono dolnej ani górnej granicy owego depozytu. I były przypadki, że firmy deklarowały — i były przyjmowane — jakieś śmieszne kwoty typu 500 dolarów, kilkuset marek zachodnich.

— Teraz zapewne poprzeczkę podnieśli?

— Po prostu uściślono: dolna granica musi sięgać co najmniej równowartości 6,9 miliona złotych, co mniej więcej równa się kwocie 50 tysięcy dolarów.

— Hm, sporo...

— Wie pan, my szukamy poważnych kontrahentów... Ale to jeszcze nie wszystko. W banku musi się jeszcze znaleźć tak zwany wkład inwestycyjny powstającej firmy, w podobnej wy-

## I nie radzę nikomu trafić na takiego człowieka...

Druga rozmowa z zastępcą dyrektora Izby Skarbowej w Łodzi — **LECHEM MALĄGIEM.**

sokości, a poza tym nadal obowiązuje zasada trzyletniego zwolnienia z podatku dochodowego, ale już pod pewnymi warunkami...

— Pewnie właściciel musi jeszcze raz wpłacić 50 albo 100 tysięcy dolarów...

— Nie, nie jest aż tak źle. Po prostu zwolnienie przynajmniej, ale firma musi jedną trzecią swego dochodu przeznaczyć na konkretne inwestycje. I bardzo surowo będziemy egzekwować ten warunek. Po hossie, jaka miała miejsce na początku lat osiemdziesiątych, gdy firmy polonijne powstawały jak przysłowowe grzyby, wielu teraz właśnie mijają ten trzyletni okres. I my dokładnie się ich gospodarce przyglądamy.

— Zaraz, zaraz, ale czy konieczny jest aż tak drastycznie postawiony wymóg inwestowania?

— Och, mów pan jak, przepraszam, pierwszy nałwy. Przecież nikt z właścicieli tych firm nie podpisuje dokumentu, że związane się z Polską na dłużej niż trzy lata. Znane to historie: firma w okresie zwolnienia pracuje na maksymalnych obrotach, osiąga maksymalne zyski, a po trzech latach co w jej wyspaniałe działających dotąd mechanizmy zaczyna się psuć, trybiki się nie ząbają, obroty spadają do minimum. A nawet często firma się likwiduje.

— Szkoda...

— Jak dla kogo. Nie ma przecież obowiązku składania oświadczenia, gdzie i kiedy prowadzili już jakąś firmę w kraju. Jedną się likwiduje, po czym parę województw dalej otwiera się druga, zmieniając datę przyzwoitości pełnomocnika, dyrektora. I znowu mam trzy lata zwolnienia, prawda? Podobnie było z filiami...

— Też nie chcieli płacić?

— Jeszcze inaczej: filię zakłada się wówczas, gdy zbliża się kres owego trzyletniej ulgi. W stosownym momencie likwiduje się firmę zasadniczą, cały potencjał przerzuca się do zakładu filialnego, który, jako później uruchomiony, korzysta ze zwolnienia od podatku. Tam znowu się tłucze pieniążki, a w stosownym czasie otwiera „kolejną filię”.

— Ale obecnie takie praktyki są już niemożliwe ze względu na te niezbędne inwestycje...

— Powiedziałbym — mniej optymalnie. Choć w wielu małych województwach wciąż nie ma precyzyjnej polityki wobec tych firm, nie ma ograniczeń w zatrudnieniu, my wyegzekwujemy zawsze ów obowiązek przeniesienia części dochodu na inwestycje. I nie interesują nas tłumaczenia te najbardziej prozaične, że nie było cegły, czy wystąpiły trudności z nabyciem cementu...

— A jeśli mieli takie kłopoty racjonaliste?

— Zawsze można niezbędne materiały kupić w „Pewexie”.

— „Wyegzekwujemy” oznacza w tym przypadku...

— Wysokie raczej opodatkowanie, również za lata minione. Może się też zdarzyć, że daną firmę wyłączamy spod tak korzystnego parasola zwolnień, jeśli działają niezgodnie z zezwoleniem, na przykład produkują coś innego, niż im to precyzyjnie określono.

— Karzeć wówczas surowo?

— No, nie żałujemy sobie. Czasem firma ulega likwidacji, były takie przypadki. Zlicytowujemy ją, niczym na Zachodzie. Nie tak dawno zlikwidowaliśmy w naszym województwie jedną taką, niesolidną; działali właśnie niezgodnie z otrzymanymi uprawnieniami.

— Ale, żeby zaraz całkowicie się jej pozbywać...

— Cóż, przyłożyliśmy im wysoki podatek (może czasem sięgać i 80 procent dochodu...), za zaległe lata, z odsetkami. Grosza już nie mieli, żeby zapłacić! Zajęliśmy im konta bankowe, samochody, urządzenia produkcyjne...

— Biurka, szafki, popielniczki...

— Też! I wszystko zlicytowaliśmy. A pieniążki trafiły do skarbu państwa.

— Wystarczyło?

— Ależ redaktorze... Zawsze działamy tak, żeby starczyło! I powiem jeszcze, że takie sankcje grożą także kilku innym firmom.

— Wśród działających w Łodzi i województwie?

— Tak jest, mamy kilka takich przypadków pod lupą, mniejsza na razie o ich nazwy, ale takie są fakty.

— Niech mi pan powie szczerze dyrektorze: uważa pan, że wszystkie firmy działają nieuczciwie, wszystkie kombinują, szukają furtek, by obejść przepisy?

— Jeśli nie wszystkie kombinują, to wszystkie przynajmniej o tym myślą. Och, zaraz się obruszę! No więc dobrze: nie wszystkie, znaczna ich część... Ale ja mam specjalistów, ekipy biegłych,

ludzi doskonale zorientowanych w meandrach przepisów i ekwilibryście rozmów z firmami polonijnymi. I różnica jest tylko taka, że te próbujące oszukać nas prymitywnymi metodami wpadają od razu, przy pierwszej poważniejszej kontroli.

— A reszta?

— Reszta wpadnie później... Naprawdę nie ma na nas silnych. Choć często mają nas za zupełnie frajerów, wciągają na przykład różne dziwne operacje w koszty produkcji.

— Na czym ten manewr polega?

— Jeżeli wyszczególnię mi zakup nici czy malowanie całej firmy — to ja im to w kosztach produkcji uwzględnię. A jeśli mi tam wolisz takie pozycje jak zakup drogich samochodów czy sprzętu video — to im oczywiście nie mogę tego uznać.

— I co wówczas się dzieje?

— Wyłączamy te pozycje z kosztów produkcji, przez co automatycznie rośnie dochód firmy, czyli kwota do opodatkowania. W 1985 roku skontrolowaliśmy dość dokładnie szesnaście firm, głównie pod kątem płacenia podatków. No i w trzynastu stwierdzono tak zwane uszczuplenia podatkowe...

— Kapitał są te wasze finansowe określenia. Stwierdzono „uszczuplenia”. I pewnie poleciały za karę miliony, czyli dla odmiany — „urealnienia”...

— Rzeczywiście, poleciały miliony, jako urealnienia i jako kary też. No cóż, u nas każdy etat przynosi państwu żywą gotówkę w Hołci co najmniej kilku milionów złotych rocznie.

— To bardzo ciekawe stwierdzenie. A nie pan dyrektor przysporzył skarbowi państwa złotych, powiedzmy, w minionym tygodniu?

— Sekunde. Myślę, że ponad 20 milionów — na pewno. Samymi podpisami. A dziś, do pana przyjecha, przez dwie godziny „zarobiliem” dla państwa ponad 500 tysięcy złotych. Proszę pokazać mi drugiego takiego pracownika, poza kolegami z branży oczywiście...

— Jak wszystkie przedsiębiorstwa w kraju, tak i łódzka Izba bierze zapewne udział w jakiejś formie współzawodnictwa zakładowego. Jak wypadamy w konfrontacji z innymi krajowymi „finansówkami”?

— W ścisłej czołówce, od wielu lat. I uprzedzając pańskie pytanie dodam od razu, że bierzemy się oczywiście pod uwagę ilościowo, „ściągniętej” przez Izbę od nieuczciwych obywateli.

— Od pewnego czasu modne stało się określenie, nie wiem czy nie wymyślone również przez autorów waszej, finansowej nomenklatury: osoby nadmierne bogacze się. Któż to taki? Dlaczego nadmiernie i kto to ocenia? Czy ma to związek z firmami polonijnymi?

— Raczej nie, kierownictwo tych przedsiębiorstw przeciętne klasyfikowane jest przez nas, poza wyjątkami, oczywiście, zarówno w górę jak i w dół, do grupy osób dobrze sytuowanych. Natomiast osoby nadmierne bogacze się, to najogólniej ujmując te, których wydatki nie mają pokrycia w legalnych źródłach zarobkowania. Kto ocenia? No, my oczywiście...

— A oceniacie zapewne po „srebrnych smacjonach luksusu”?

— Też. Budowa willi, zakup drogiego samochodu, wyjazd na kosztowną, zagraniczną wycieczkę...

— Posiadanie maszynki do golenia, kolorowego telewizora, zakup kilograma bananów... Odnośnie wrażenia, że poprzeczka, powyżej której zaczynacie się bliżej daną osobą interesować, jakby opuszczała się coraz niżej, „Maluch” — to już obecnie luksus, bliska już chwila, gdy właściciel złotego zęba będzie się bał uśmiechnąć, bo zaraz ktoś napisze donos. I jak on się wyliczy z lewej, górnej „czwórki”?

— Przesadza pan redaktorze i żartuje. Nie jest jeszcze tak źle. Ale chcę wyraźnie powiedzieć, że ten kto kupuje drogi, zwykle zagraniczny samochód, niech się w nim dumnie nie rozpiesza i raczej pomyśli, czy ma wszystkie

niezbędne „papierki”, dokumentujące pochodzenie wydanych na wóz pieniędzy. A kto stawia wille musi mieć świadomość, że pewnego dnia zostanie do nas poproszony na rozmowę i okazanie oryginalnych rachunków, zaświadczeń o zarobkach i tym podobnych. A tak na marginesie: zawsze się prawie okazuje, że oni wręcz głodują...

— Kto? Dlaczego?

— No ci, którzy dom stawiają. Z ich wyliczeń wynika, że jedzą miesiącami suche bułki, wodą popijają, a każdy zaoszczędzony grosz na budowę przeznaczają...

— Często tak właśnie jest.

— „Niezmiernie rzadko” chciał pan powiedzieć? Na szczęście potrafimy też udowodnić, że powodzi im się nieco lepiej niż biedakom, którym koce wysyłamy...

— Wierzę. A jakie są zwykle źródła owego nadmiernego bogactwa się?

— O, wiele, choćby nielegalny handel, nielegalna, nieoficjalna produkcja, nie zarejestrowana prywatna działalność usługowa. Trudno by wszystkie wyliczyć.

— A jakaś łódzka specjalność?

— Dość długo za taką uznawaliśmy handel mieszkaniami własnościowymi. Wie pan — wykupywało się od spółdzielni i sprzedawało po cenach czarnorynkowych. Był moment, że w Łodzi handel mieszkaniami był bardzo rozwinięty, ale od 1985 roku wzrosły drastycznie stawki podatku od różnicy w cenie mieszkania kupowanego i sprzedawanego — i problem niemal został rozwiązany. Chociaż nie całkowicie. Społeczeństwo atakuje nas...

— Wiem, wiem, donosami głównie...

— A nawet w nich i na rozmaitego typu zebraniach, spotkaniach, że zbyt wolno likwidujemy podziemie gospodarcze.

— A istnieje takowe?

— Ja uważam, że nie, ale na takie zarzuty zawsze odpowiadam, że jesteśmy w naszej robotce zwykle osamotnieni, a nawet nie można liczyć na pomoc tych, którzy często sami najgłośniej krzyczą. Często w konkretnej sprawie nie można „zdobyć” ani jednego świadka, a nam się zarzuca opieszałość...

— Ale przecież macie swoje „brygady Tygrysa”?

— No cóż, milicja ma „drogówkę”, „dochodzeniówkę”, my też mamy taką swoją „milicję podatkową”, komórki wyspecjalizowane w tropieniu wykroczeń natury finansowej. I nie radzę nikomu na człowieka w takiej „brygadzie” trafić.

— Splucze każdego do „suchej nitki”...

— Nie to chciałem powiedzieć. Uczciwi obywatele i podatnicy mogą spać spokojnie, nie bojąc się fiskusa ani naszych służb!

— Użyto mi po tym oświadczeniu wyraźnie. Ale niech pan powie dyrektorze: są w naszym mieście ludzie bogaci? Któż to w końcu wie lepiej od pana...

— Są, nawet sporo. Cieżko pracują, płacą słone podatki, ale stać ich i na wille, i na te klujące w oczy „Mercedesy”. I powtarzam — płacą często miliony podatków.

— Któż to może być? Uchylmy rąbka tajemnicy...

— Choćby przedstawiciele działu specjalnego produkcji rolnej...

— Kto?

— Czyli tak zwani badylarze, ale tego określenia nie wymyślił już finansowiec. To także niektórzy rzemieślnicy, producenci unikalnych, a potrzebnych krajowi urządzeń, uzupełniający rynkowe braki, to także kooperanci dużych zakładów państwowych.

— Rozumiem. Duże oficjalnie obroty, duże podatki, ale i duże zarobki.

— Tak jest i ja tych ludzi szanuję. Pracują często na kilku etatach równocześnie, po kilkanaście godzin, zwykle wszystko załatwiają samodzielnie, ryzyko zawodowe ponoszą.

— A wciąż są pod pręgierzem krytyki...

— Tak, ale kogo? Przede wszystkim życiowych obiboków, tych, którzy osiem godzin w pracy nie mogą usiedzieć, w polowie przegadanych, na papierosy i herbatki poświęconych, nie ponoszących najmniejszego ryzyka, bo wszystko mają pod nos podane...

— I na zakończenie jeszcze jedna sprawa. Czy to prawda, że Izba Skarbowa przechodzi na komputerizację...

— Prawda, pracę ludzi zastąpi u nas już wkrótce komputer. Za nacisnięciem guzika, bez szukania po aktach, wiedział będę czy Dorozynski jest solidnym podatnikiem czy nie. Zyskamy na szybkości działania tak w przypadku osób fizycznych, jak i przedsiębiorstw państwowych, firm polonijnych. Chcę być jeszcze precyzyjniejszym niż dotychczas ich „aniółem stróżem”, dogłębniejszym interesów, opiekującym się finansami...

— Bardzo to szlachetne zajęcie, ale wracając do komputera. Jego zastosowanie spowoduje brak zajęcia dla sporej grupy pańskich pracowników. Zwolnicie ich?

— O nie, skierujemy ich w teren, na kontrolę...

Rozmawiał: **DARIUSZ DOROZYŃSKI**



budowano spiralne klatki schodowe, nadbudowano dwie kondygnacje nad wschodnim skrzydłem Eryka I i zwieńczono wieżę renesansowym hełmem. Pod koniec XVI w. w części północnej wybudowano dom bramny i przeprowadzono bezpośrednie połączenie z miastem. Ostatni z rodu książąt pomorskich, Bogusław XIV, zmienił salę tronową Eryka I na kaplicę, modernizując ją w stylu renesansowym i umieszczając w niej drogocenne sprzęty i obrazy, m. in. rzeźbioną ambonę z 1639 r., oraz słynny „srebrny ołtarz”, który nigdy chyba już nie wrócił do zamku z powodu... Ale nie uprzedzajmy wypadków. Otwarcia kaplicy dokonała po śmierci Bogusława XIV jego żona, Elżbieta.

Przedtem jeszcze, w 1589 i 1624 r. zamek dwukrotnie nekany był pożarami, ale po śmierci Elżbiety nad zamkiem zawisło ponure fatum. W 1643 r. wybuchł trzeci, największy bodaj pożar i po tej klęsce nie dobrego już się dla zamku nie wydarzyło. Niszcząc powoli, ale systematycznie, a kolejni użytkownicy pomagali mu w tym jak mogli. W XVIII w. istniał tu spichlerz solny, potem szpital francuski, magazyn zbożowy, a nawet więzienie. W połowie XIX w. rozebrano ruiny skrzydła zachodniego i zabezpieczono pozostałą część budynku. Od 1933 r. zamek jest siedzibą Muzeum Regionalnego w Darłowie.

Biorę do ręki broszurkę pt. „Darłowo i okolice” wydaną przez Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Turystyczne w Koszalinie, gdzie czytamy:

„Zabytkowa ta budowla jest od kilku lat poddawana gruntownym zabiegom renowacyjnym, skutkiem czego zbiory muzealne w roku 1977, a może jeszcze także w roku 1978 nie będą udostępnione zwiedzającym”.

Broszurkę wydano prawdopodobnie w połowie ubiegłego dziesięciolecia. Tymczasem mamy rok 1986. A więc remont przedłuża się o 8-9 lat. Ale — jak się później okazało — nie po raz pierwszy i... chyba nie po raz ostatni.

Wizyta w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Koszalinie. Pracownicy wydziału udostępniły mi do wglądu dokumentację obu zabytków. Patrząc na zdjęcia i serce mi się kraje:

### OBRAZ NĘDZY I ROZPACZY,

dziurawe dachy, powybijane okna, popękane mury. Zdjęcia pochodzą z lat 1950-73. Panie uspokajają mnie: kaplica wymaga remontu, ale wcale nie jest w takim złym stanie. A zamek? Zamek właśnie się remontuje. Ale nie ma pieniędzy. Najlepiej niech pan idzie do dyrektora. Zdjęcia? Nie, nie możemy panu udostępnić. Chyba, że dyrektor pozwoli.

Dyrektor, Jan Bastrzyk, spogląda na mnie ze zdziwieniem.

— Ełże, coś się panu pomyliło, redaktorze. W Darłowie nie ma żadnej kaplicy św. Gertrudy, owszem, jest taka kaplica, ale w Koszalinie, wie pan, w stanie raczej nieciekawym, teraz mieści się tam magazyn rekwizytów teatralnych, trzeba o tym pomyśleć, ale jak zwykle: brak środków i...

— Zapewniam pana — przerywam — że jest taka kaplica także w Darłowie i przychodzi właśnie w tej sprawie.

— Kaplica? W Darłowie? A w którym miejscu ją pan widział?

— Stoi na terenie cmentarza darłowskiego.

— Zaraz, chwileczkę... — i dyrektor sięga po telefon. Krótka rozmowa, nie sposób zorientować się z kim. Po chwili odkłada słuchawkę.

— No taaaak... Wie pan, jest w Darłowie kaplica cmentarna, ale nie nazywa się „kaplica św. Gertrudy”, stąd to nieporozumienie.

— Nie chodzi o nazwę — macham ręką, ostatecznie niekiedy z trudem przysmagają się do błędów, choć nawet w archiwum tego wydziału dokumenty mówią wyraźnie o kaplicy św. Gertrudy. — Chodzi mi o szczegóły związane z obecnym stanem tego obiektu.

— Szczegóły? Nigdy tam nie byłem, nie przypominam sobie tej kaplicy. Ale zaraz się dowiem — i dyrektor znów sięga po słuchawkę.

Później rozmowa potoczyła się już płynniej. Uzyskałem wyjaśnienia co do obecnego stanu kaplicy, remontu, który niedawno się odbył, trudności inwestycyjno-wykonawczych w zakresie ratowania zabytków kultury narodowej. Nie mogliśmy jednak dojść do porozumienia, kto jest właścicielem obiektu: parafia czy władze miasta Darłowa? Sprawę rozstrzygnął telefon. Jednak pomyliłem się: nie parafia, a gmina. Ale to nie ja się pomyliłem, to błąd w dokumentach Wydziału Kultury i Sztuki.

Dyrektor podziękował mi za spostrzegawczość. Zresztą podczas całej rozmowy nie mogłem pozbyć się wrażenia, że przyszedłem nie tyle zbierać informacje, ile ich udzielać. W każdym razie, jeśli chodzi o kaplicę, dyrektor obiecał zbadać sprawę i przyznał, że jest to rzeczwiście jeden z najcenniejszych zabytków gotyckich w województwie.

Druga część rozmowy dotyczyła zamku.

### ZAMEK DUŻY, PRZEOCZYĆ GO NIE SPOŚÓB,

więc i było o czym mówić. Ale też bez przesady. Remont trwa od 16-17 lat, chyba, bo dokładnie nie wiadomo. Podzieliłem się z dyrek-

torem informacją, że wnioski konserwatorskie dotyczące remontu zostały zaakceptowane przez prezydium WRN 4 grudnia 1958 r. Dyrektor spojrział na mnie nieufnie, więc poczyłem się w obowiązku wyjaśnić, iż informację tę zdobyłem z lektury dokumentów archiwum wydziału. W zamian zostałem poinformowany, że przygotowania trwały długo, gdyż — po pierwsze — były kłopoty z gotówką, a — po drugie — kilkakrotnie zmieniano projekt renowacji zamku.

Dlaczego remont tak się ciągnie? Dlatego, że dopiero od 3 lat, gdy powstał Fundusz Rozwoju Kultury, znalazły się środki na prowadzenie prac. Oczywiście dyrektor nie jest zadowolony z całej sprawy i z przedłużanych terminów oddania obiektu do użytku, ale podobno dyrektor Górski z Pracowni Konserwacji Zabytków w Szczecinie (instytucja prowadząca remont) też nie jest zadowolony. Podobno prace zakończą się w 1988 r.

He pochłonęły prace? Dokładnie nie wiadomo, w 1986 roku, na przykład, zgromadzono na ten

### Co na to minister?!

# Ponure fatum nad zamkiem w Darłowie

cel 20 mln zł, ale ta przeklęta dewaluacja, która dziś obliczy, zresztą brak materiałów, koksu do ogrzewania murów zimą, cementu...

— Tak, to wstyd dla ministerstwa i dla nas, że to się tak przeciąga — przyznaje dyrektor. — Presja społeczna jest ogromna... A przepraszam, od kogo się pan dowiedział o tej sprawie?

I na zakończenie dyrektor proponuje:

— Musi pan pojechać do Darłowa i porozmawiać z pracownikami Urzędu Miasta. Oni lepiej panu to wszystko wytłumaczą, wie pan, wolałbym na ten temat za więcej nie mówić, później Pracowni Konserwacji Zabytków wstrzymują prace i fundusze... Co ja wtedy zrobię? — i dyrektor sięga po słuchawkę. Za piętnaście minut mam autobus do Darłowa. O wpół do trzeciej będę na miejscu, mają na mnie czekać.

Na dworzec jakoś zdążyłem, ale o tym,

### BY WSIĄŚ DO AUTOBUSU — MOWY NIE MA.

Pamiętam o tym, że dziś kończy się delegacja, muszę wracać do Łodzi, pociąg z Kołobrzegu na szczęście dopiero o 23.00, kończy się zresztą gotówka. To znaczy, że jeśli dziś nie dowiem się wszystkiego...

Taksówkarz chce za kurs na trasie Koszalin — Darłowo aż dwa tysiące. Skąd mu tyle wzięć? Oczywiście! „Okazja”! Stoję na szosie prowadzącej do Darłowa i usiłuję zatrzymać jakiś samochód. Kierowcy — rogata dusze! — ani myślą przystanąć. Czas ucieka.

Wreszcie zatrzymuje się rozklekotany „Żuk”. Wsiadam do furgonetki i okazuje się, że tyczą się tam jeszcze kilku innych podróżnych. Kierowca sobie dorabia. Widocznie przejął się apelami, by nie wozić „powietrza”. Jak obli-

czyłem — w sumie osiemset złotych czystego zysku. Ale liczy się tylko czas. Czy zdążę przed piętnastą? Zdążyłem.

Podejmuje mnie sekretarz Urzędu Miasta i Gminy w Darłowie, Jadwiga Józefowska. Obok siedzi kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej, Mieszkaniowej i Komunikacji, Wiesław Szafraniec.

Początek zapowiada się rewelacyjnie, kierownik, młody człowiek, rzuca kilka faktów dotyczących budowy tytułem wstępu, że to go generuje, że jako mieszkaniec Darłowa ma już dość tego remontu, że robota strasznie się ślimaczy, że pieniędzy na remont nie ma, że zabytki Darłowa się duszą...

Pani sekretarz jest jednak czujna. Przerywa tę wypowiedź.

— Proszę mi powiedzieć, czy przyszedł pan rozmawiać z nami jako pracownikiem urzędu, czy jako ze zwykłymi mieszkańcami Darłowa?

— Cóż, wolałbym rozmawiać z państwem jako z pracownikami urzędu, przynajmniej na początku.

— W takim razie muszę panu zakomunikować, że jako pracownicy urzędu nie mamy prawa wypowiadać się na ten temat. Nie możemy panu nie powiedzieć.

— Dlaczego?

— To nie my jesteśmy odpowiedzialni za remont i to nie my go prowadzimy. Nie od nas zależy cała ta sytuacja.

— A jeśli wobec tego poprosilibym państwa o wypowiedź jako zwykłych mieszkańców Darłowa?

— Wobec tego proszę porozmawiać z mieszkańcami. Czy to musimy być akurat my?

— Dlatego właśnie jestem tutaj. Wolałbym, aby na temat remontów i zabytków wypowiedzieli się fachowcy.

Stałem na tym, że i panią sekretarz generuje remont. W sąsiedztwie zamku stał żłobek, którego remont miał trwać pół roku, a tymczasem poszły prace na zamek „przesłiznął” się i na żłobek, który odnawiano przez trzy lata. W każdym razie już za dwa lata remont zamku się zakończy. Będzie tam muzeum. Jak? Na razie nie wiadomo. Jest projekt, by wystawiać eksponaty dotyczące flory i fauny Bałtyku. Kiedys było tu muzeum regionalne związane z historią zamku i okolic, ale

### NIE WIADOMO, CZY UDA SIĘ

Je reaktywować w pełni, bowiem część eksponatów wywieziono do innych muzeów i wcale nie jest takie pewne, czy tutejsze zabytki powrócą. Są zresztą inne koncepcje wykorzystania zamku, może pałac ślubów?...

Pani sekretarz opuściła na chwilę gabinet. Usiłuję wykorzystać okazję i zwracam się do kierownika Wydziału Gospodarki Komunalnej.

— Proszę pana, przyjechałem tu, by posnać prawdę. Zdaje sobie sprawę, że prawda może mieć różne oblicza. Dyrektor Wydziału Kultury w Koszalinie przyznał otwarcie, że nie chce zbyt wiele na ten temat mówić, gdyż boi się reakcji PKZ w Szczecinie. Myślę, że przecież wy, którzy jesteście na miejscu, macie obiektywne spojrzenie na sprawę i nie boicie się PKZ, ani...

Otwierają się drzwi, wchodzi pani sekretarz. Siada za swym biurkiem i bez zbędnych wstępów wyjaśnia:

— Wbrew pozorom nie tylko dyrektor chce mieć dobre układy z PKZ. My też chcemy mieć dobre układy i dlatego nie więcej nie możemy panu powiedzieć. Ja bym nie rozdierała szat nad terminem remontu ani nad stanem darłowskich zabytków. Jest tak, jak jest. W określonej sytuacji społeczno-politycznej pewne fakty są nie do przeskokowania. Remont zamku to nie nasza sprawa.

— A kaplica św. Gertrudy? To wy przecież przeprowadziliście ostatni remont.

— Ach, remont!... Wielkie słowa, to była tylko renowacja wnętrza i pokrycie dziurawych dachów blachą. Blachą, bo nie ma gontów. Od 40 lat brak tam gruntownego remontu, brak fachowców i pieniędzy, ale konserwator powiedział, że nie da pieniędzy, bo nie ma. Teraz wszystkie środki pochłania zamek.

— Czy zdementuje pani plotkę, że w tak cennym zabytku znajduje się miejska kostnica?

— Kostnica? Nie, po prostu jest to kaplica przedpogrzebowa.

— A czy Darłowo ma swoją kostnicę?

— Nie.

— A więc, co robi się ze zwłokami zmarłych mieszkańców Darłowa?

— Znajdują się one właśnie w kaplicy.

— Kaplica jest obiektem o szczególnych walorach zabytkowych. Z pewnością jest więc pilnowana i zamknięta?

— Kaplica jest przez cały czas zamknięta, ale na życzenie wycieczek zorganizowanych udostępniamy ją zwiedzającym.

— A jeżeli w kaplicy znajdują się właśnie ludzkie zwłoki?

— No cóż...

— Proszę pana — dodaje na pożegnanie kierownik wydziału — szczerze mówiąc, dwie ustawy: ustawa o ochronie środowiska i ustawa o ochronie zabytków, są przedwczesne. Po prostu nie bardzo można pogodzić ustawy z życiem. Nie jesteśmy jeszcze do tego przygotowani. Ale wie pan co? Proszę udać się do zamkowego muzeum. Być może oni będą mogli powiedzieć panu coś więcej.

Kolej na wizytę w muzeum. W muzeum? Bądźmy szczerzy:

### W PODŁUŻNYM, ZAGRACONYM BARAKU

stojącym na zapleczu remontowanego zamku. Przed barakiem wala się na placu kawał żelastwa. Przyjrzywszy mu się bliżej, stwierdzam, że musi to być kotwica. Przed oczyma pojawiają się stąki Wikingów. Może dlatego, że nie jestem historykiem i nie potrafiłem dopasować teźże kotwicy do innego statku.

Wewnątrz baraku dostrzegam biurka, szklankę z herbatą i pracownika muzeum. Stosu papierów i balaganu panującego wewnątrz usiłuję nie dostrzegać. Tak, oczywiście, dyrektor wydziału kultury z Koszalin dzwonił i uprzedził o mojej wizycie (widać pomyślał o wszystkim), a szef wyszedł do ośrodka kultury, jeśli chce z nim porozmawiać, mogę tam pójść.

Postanowiłem jednak trochę odpocząć. Ot, tak mimochodem usiłowałem dowiedzieć się czegoś od obecnego w baraku pracownika muzeum, ale ledwie nakierowałem rozmowę na remont, pojawił się młody mężczyzna. Usłyszawszy fragment naszej rozmowy o kaplicy, wybuchnął:

— Ludzie, to przecież skandal! Taki zabytek przerobiony na kostnicę! To już nie ma gdzie zwłok trzymać? Tuż obok kaplicy stoi prawie nowy dom przedpogrzebowy! Żeby wycieczki zwizdzały zabytek, w którym jest akurat trumna! Eeh, niekierownicy mają głowy!...

— To jest akurat redaktor, który przyjechał z panem porozmawiać — uprzedził urzędnik.

Okazało się, że nowo przybyłym jest Konstanty Kontowski, pracownik darłowskiego muzeum, z którym miałem oficjalnie rozmawiać. Ale w tym momencie rozmowa praktycznie się skończyła. Jak przebiegają prace? On się nie chce na ten temat wypowiadać, tempo raczej dobre, remont jak remont, owszem, trochę dzieł sztuki przed remontem wzięły w depozyt inne muzea, czy oddadzą? Chyba tak. Ze ma tu być muzeum fauny i flory Bałtyku? To pomyśl tych z Urzędu Miasta i Gminy Dlaczego dzieła miały poginać? Nic nie poginęło, są w innych muzeach. Dlaczego? Bo nie ma ani jednego metra kwadratowego prawdziwego magazynu. Miejmy nadzieję, że wszystkie zbiory wrócą, inne muzea łaski nam nie robią. Kaplica? Perła architektury pomorskiej, stan raczej taki sobie, oceniam gdzieś tak na trzy plus. No wie pan, spieszę się, to już wszystko? To do widzenia.





Nieprawdą jest, jakbym rozmawiał teraz z zupełnie przypadkowo napotkanymi mieszkańcami Darłowa. Rozmowa ta jest zupełnie nieprzypadkowa, podobnie jak i to, że ludzie z którymi rozmawiam nie są statystycznymi Darłowianinami, którzy w drodze do pracy od czasu do czasu rzucą okiem na darłowskie zabytki. Dlaczego tym razem

## MUSI OBEJŚĆ SIĘ BEZ NAZWISK?

Wyjaśnia to jeden z rozmówców.

— Darłowo to małe miasteczko. Tu się wszyscy znają. Tu wszyscy o wszystkich wiedzą. Po co robić sobie kłopoty? Wcale nie dziwię się, że nikt nie chciał panu niczego powiedzieć. Więc lepiej niech pan zachowa nazwiska do własnej wiadomości. Prawdę znają wszyscy. Ale niech to będzie, przynajmniej teraz, prawda anonimowa.

I tak zaczęła się rozmowa.

— Jako mieszkaniec Darłowa jestem zbulwersowany sprawą remontu zamku. Przed 1970 rokiem rozpoczęto pobieżny remont. W wyniku prac stwierdzono, że obiekt wymaga kompleksowego remontu. Warto wiedzieć, że książę Bogusław budował ten zamek przez 20 lat, podczas gdy my remontujemy go już 17 lat. A przecież wtedy nie było ani maszyn, ani narzędzi takich jak dziś. W związku z remontem Darłowo pozbyło się wielu bezcennych zabytków związanych z tym obiektem i nie tylko z nim. Na początku były to rzeźby średnio-wieczne, potem eksponaty archeologiczne Pomorza Środkowego, starodruki, brzoń. Najdroższą sprawą to bezcenny wprost „srebrny ołtarz” z XVII w. Jest on teraz w muzeum w Słupsku i nigdy już nie powróci, podobnie jak i wiele innych eksponatów. Dlaczego nie powróci? Bo muzeum w Słupsku, korzystając z przedłużającego się remontu, wystąpiło do ministerstwa z pismem o pozostawienie u nich na stałe ołtarza. I pozostał. Ale trzeba było oddawać eksponaty w depozyt, przecież w Darłowie nie ma żadnego magazynu. Inna sprawa, że muzea potem niechętnie oddają darłowskie zabytki. O ile wiem, Najwyższa Izba Kontroli próbowała zabrać się za całą sprawę związaną z remontem i jego skutkami, ale podobno utknęła, bo nie teraz o tym nie słychać. A remont? Każdy widzi, jak jest. Na placu statystycznie rzecz biorąc pracuje z reguły 5, maksimum 10 osób. Często robotników wyjeżdża, części choruje. Bywały fakty dni, że widziałem na budowie dwóch czy trzech, którzy coś tam robili, a reszta chodziła zrygiem. A jak kierownika nie było — murywany postół. Pracownicy PKZ traktują Darłowo chyba jako robotę drugoplanową. O! nie ważne, nie pali się. Kiedyś ci robotnicy częściej wyjeżdżali do innych remontów, zostawiając tu rozrzuconą robotę, a i teraz się to zdarza. Dlaczego dziś nikogo nie ma na budowie? Bo panowie są w Szczecinie, albo gdzieś indziej, widać mają coś ważniejszego do zrobienia!

Następna wypowiedź:

— No i jak tu mieszkaniec Darłowa może się nie... nie wkurzyć?! Darłowskie zabytki giną w oczach. Kaplica św. Jerzego najbardziej prosi o remont, św. Gertruda to skandal, sam pan zresztą wie, a most zwodzony? Wie pan, był tu kiedyś, teraz jest w Kragu. Trzy dni go rozbił, potem kilka lat go budowali w Kragu a i tak trochę „ubilo”. Zresztą całe Darłowo jest zabytkiem, układ szachownicy ulic, zamek, kościół mariacki z gotyku, staromiejski rynek, Brama Kamienna, św. Jerzy i św. Gertruda... Proszę pana, tu powinien być nieomal skansen! A najbardziej denerwuje mnie, że np. w Krakowie zabytki rujnuje przemysł, zaś w Darłowie nie ma przemysłu, a zabytki też giną w oczach! Ale pana interesuje przede wszystkim zamek, więc teraz wrócę do tej sprawy. Otóż kto zwinął? Projektanci i wykonawcy. Najwięcej pieniędzy pochłonęła chyba hala wybudowana na zamkowym dziedzińcu. Myślę pan, że to hala nawiązująca do dawnej architektury? Nie podobno. Zamek stary, a hala na wskroś nowoczesna. I w dodatku kilkakrotnie przerabiana, bo stropy przeciekały. Zresztą dotknęliśmy tu sprawy istotniejszej, łączenia nowego ze starym, rzekomej „renowacji”. To przecież bzdura! Jak można do czegoś takiego dopnieć? Inny przykład: tzw. budynek szachulcowy przerobiony na bibliotekę. Z całego obiektu została tylko drewniana konstrukcja, wszystko inne wymieniono i mówi się, że to „renowacja zabytku”. I to ma być zabytek?! To niemożliwa, współczesna kopia.

Kolejna wypowiedź:

— Owszem, byli i są tu tacy, którym leżało na sercu darłowskie zabytki. Swego czasu istniało Towarzystwo Miłośników Ziemi Darłowskiej. Istnieje co prawda i dziś, ale to już nie jest ta sama organizacja. Kiedyś zresztą ona przede wszystkim młodych zapaleńców pełnych inicjatywy. Ale wie pan, jak trudno działać przeciwko ustaleniemu porządkowi. Powstało odbite na powielaczu pismo „Goniec Darłowski” traktujące m. in. o fatalnym stanie zabytków. Wydane to było pod egidą ZSMP. Ojciec, co to był za szum! Komitet Miejski PZPR wstrzymał wydawanie pisma, Komitet Wojewódzki w Koszalinie zrobił z tego aferę i na wiec KM w Darłowie miał płacić 20 tys. zł kary za to, że wcześniej nie ocenizował tej publikacji. A cały nakład „Gonia” to 40 egzemplarzy odbitych na powielaczu! Widać w Koszalinie jest również kaplica św. Gertrudy, chociaż podobno w jeszcze gorszym stanie niż nasza. Koszalin uchodzi za miasto o ambicjach hegemonistycznych. Najlepszym tego przykładem jest Słupsk. Gdy tylko wyzwoił się spod „opieki” Koszalina, natychmiast zaczął się jego pełny

rozkwit. Tutejsze władze są bestradne i sastraszane, boją się i Koszalina i szczecińskich Pracowników Konserwacji Zabytków. Ale ten strach dotyczy nie tylko zabytków, dotyczy także szeroko pojętego życia miasta. Były kiedyś projekty, by w Darłowie zbudować stocznice, albo np. muszę koncertową. Tymczasem przez 40 lat zbudowano tu „si” dwadzieścia domów i — być może — wyremontuje się zamek. Przeciętny mieszkaniec zarabia poniżej 15 tys. zł miesięcznie, nie ma rozwiniętego przemysłu, miastu brak perspektyw. I jakoś nikt nie ma odwagi upomnieć się choćby o to, co planowano, ale czego nie zrobiono. Tu nie ma co robić. A młodych i ambitnych po prostu się dusi. Atmosfera tego miasta jest specyficzna: o tym wszystkim się nie mówi, ale coś człowieka gryzie od środka... Wracając do sprawy z tym za-kwestionowanym czasopismem, otóż Towarzystwo Miłośników Ziemi Darłowskiej przeżywało potem długotrwały kryzys. Chcieli utworzyć samodzielną organizację, ale bez skutku. Ani naczelnik Darłowa, ani Urząd Wojewódzki nie chciał ich zarejestrować. Ostatnio porozumieł się z prezesem Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, nawiasem mówiąc jednej z największych pod względem liczebności organizacji wojewódzkich, choć KTSK praktycznie jest — w mojej przynajmniej ocenie, lecz chyba nie tylko — typową organizacją afiszową, która tak naprawdę niewiele robi. I tak oto Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Darłowskiej trafiło pod opiekę KTSK. I nie sądzę, by wyszło mu to na dobre. Tymczasem wiele mówi się o społecznych inicjatywach, zachęca się ludzi do działań społecznych, jednak z drugiej strony tępi się polityczne inicjatywy na każdym kroku. Proszę pana, abstrahując już od stanu darłowskich zabytków, pytam, czy Darłowo nie może stać się miastem pełnym życia? Były przecież projekty rozwoju miasta, mówiło się o stoczni. Można tu wybudować stocznice, w której można by słomować statki. Dotychczas jest to niemal złoty interes, słomowanie kosztuje grube miliony i to w dewizach, a przy okazji jest surowiec dla hut, można by wybudować wspaniały port, akurat Darłowo leży niejako pośrednio, w martwej strefie, z dala od ważnych portów i stoczni. Dlaczego nie można zrobić tutaj drugiej Gdyni? Ale po co ja o tym mówię...

— Proszę pana! — wtrąca się pierwszy z rozmówców. — Artykuł o Darłowie i jego zabytkach, które ukazały się w lokalnej prasie już nawet nie zliczę. A i z innych regionów Polski przybywali dziennikarze: i co? Artykułów było dużo, a efektów — żadnych! Jak było — tak jest. Pan napisze (jeśli panu wydrukują!), napiszą następni, a i tak nie się nie zmieni. Tyle tylko, że nam tutaj trochę leży na sercu. Wszyscy wiedzą, co się tu dzieje i nikt nie ma to nie poradzi.

Zanim zdecydowałem się wracać na dworzec autobusowy, poprosiłem taksówkarza, by zawiózł mnie na cmentarz. Poprzednio kaplica św. Gertrudy była zamknięta, a koniecznie chciałem obejrzeć jej wnętrze.

Gdy wszedłem do kaplicy (na szczęście (?) była otwarta), pierwsze co ujrzałem to

## OTWARTA TRUMNA STOJĄCA NA KATAFALKU.

W mrocznym wnętrzu dostrzegłem dwie kobiety, które cicho poplakały. Nie, nie mogłem spokojnie podziwiać empor i malowideł. Wyszedłem na zewnątrz i wolałem już przyglądać się załatanym blachą dachom, pęknięciom średnio-wiecznego muru, zniszczonemu tu i ówdzie tynkowi.

— Coś pan taki nieswój? — zapytał mnie taksówkarz, gdy chwilę potem wsiedałem do samochodu.

— Okazuje się, że w moim zawodzie potrzebna są silniejsze nerwy od moich.

— Cóż to, pan jest saperem? — śmieje się taksówkarz.

Przypomina mi się powiedzonko Melechióra Wańkowicz: „Praca dziennikarza to taniec na połu minowym z zawiązanymi oczyma”.

Uśmiecham się, choć wcale nie jest mi do śmiechu...

## JACEK GŁĘBSKI

P.S.

Zdaję sobie sprawę, że podczas tych kilkunastu godzinnych rozmów we wspomnianych instytucjach i poza nimi, trudno dociec obiektywnej prawdy, o ile w ogóle takowa istnieje (znajoma pani filozof powiada, że raczej nie). Stąd być może wzięła się konwencja reportażu, którego w czystej formie zdecydowanie unikam. Ale tym razem nie mogłem pozwolić sobie na własne wnioski, toteż przedstawiłem jedynie fakty. I to tylko te, które poznałem. I jeśli nawet znajoma pani filozof zarzuci mi, że prawdy obiektywnej nie ma, odpowiem, że jednak jest coś obiektywnego: suche fakty. A konstruowanie prawdy z powyższych faktów pozostawiam Czytelnikom i kompetentnym organom władzy.

(J.G.)

# Dlaczego nasi piłkarze źle grali w Meksyku?

ze str. 1

Nie miała też nasza drużyna drugiej linii. Kto miał drugą linię, ten narzucał przeciwnikowi swój styl gry. Nas nie było na to stać. Nasi piłkarze nie wypracowali żadnej strzeleckiej akcji. Te kilka strzałów, które oddali w meczu z Brazylią było zupełnie przypadkowych.

— Bardzo nas tu w kraju denerwowała postawa niektórych zawodników, na przykład Dariusza Dziekanowskiego. On chyba zupełnie nie był przygotowany do Mundialu.

— To jest bardzo dobry piłkarz, ale ma pani rację, on nie był przygotowany do gry. Przyczyny tego są bardzo różne. Przeżywa on osobiste kłopoty, a to nie sprzyja dobrej grze. Poza tym piłka nożna wiąże się z dużymi pieniędzmi. Nie każdy ma na tyle odporność, aby mu te pieniądze nie zasłupiały w głowie. Niezbędna odporność ma na przykład Zbyszek Boniek i za to go szanuje. Inni już nie. Andrzej Buncol — to też doskonały pił-

karz, która była świetna i wystarczył jeden słabszy mecz, aby musiała rozstać się z wszystkimi marzeniami.

— A co pan sądzi o drużynie ZSRR?

— Też byli doskonali. Ale Walery Łobanowski popełnił niewybaczalny błąd. Gdy drużyna miała już wyjście z grupy zapewnione, w trzecim meczu zmienił skład. Dziewięciu zawodników wytrącił z rytmu turniejowego. Tego robić nie wolno było. W decydującym meczu już była to inna drużyna.

— Mówiono, że niektóre drużyny przywiozły do Meksyku nowe ustawienia.

— Każde ustawienie trwa chwilę i zmienia się. Mnie co innego wydaje się ważniejsze. Podobają mi się mecze Francji. Pięknie grają, inteligentnie i elegancko. Ale proszę zwrócić uwagę, że nie wszyscy jednakowo pracują. Ani Michel Platini, ani Alain Giresse niczego wielkiego w Meksyku nie pokazali. Inni na nich pracowali. Podobnie Socrates w drużynie Brazylii. Takich przykładów można podać więcej. A co z



tego wyniku? Wynika to, że do takiego turnieju trzeba nie tyle brać nazwiska, co młodych przebojowych piłkarzy. Dobrze ich przygotować, aby równo rozkładali się forma, od początku turnieju do jego końca. Mnie na przykład bardzo podobają się, jak Argentyńczycy z radością, lekko biegali po całym boisku. Im się chciało, ich to cieszyło. Miło było patrzeć.

— I nie przeszkadzała im trawa.

— Proszę o tym nie mówić. Jak ktoś jest źle przygotowany, to jemu wszystko przeszkadza. Mam jeszcze inne spostrzeżenie. Musiałem na stadionie być dużo wcześniej przed meczem. Mogłem przyglądać się rozgrywce. Argentyńczycy w ogóle nie wychodzili na boisko. Rozgrzewali się w szatni. Robiono im masaż i biegali po korzytarzu. Peter Shilton wychodził na boisko na godzinę przed meczem i trenował z dwoma graczami. Po półgodzinie schodził do szatni. W klubach zawodnicy też różnie się rozgrzewają. Stąd wniosek, że w reprezentacji trzeba zachować indywidualne sposoby rozgrzewki, do jakich są zawodnicy przyzwyczajeni.

— Strasznie dużo było fauli. Czy tak musi być?

— Jest to nieuniknione. Każdy mecz miał wysoką stawkę. Zresztą — jeśli dobrze się przyglądało meczom — to nie było indywidualnego krycia „plastrów”, a przeważało agresywne krycie w strefie.

— Mundial' 86 mamy już za sobą. Nasza reprezentacja nie popisała się. Trzeba z tego wyciągnąć jak najszybciej wnioski, by wniosków, ale on też jako ostatni obronca. Jest tam znakomity pomocnik Jorge Burruchaga, który wędruje pod bramkę. Takich przykładów można dać więcej i to jest naturalne. Tak się dziś gra. Co tu mówić o jakimś totalnym futbolu.

— Tak grał przecież kiedyś Grzegorz Lato.

— No, właśnie. Poza tym meksykański Mundial pokazał, że nastąpiło wyrównanie poziomu gry w piłkę nożną. Ale też sądzę, że zbyt wiele drużyn znalazło się w Meksyku i tak turniejowy rytm nie wyszyscy dobrze zniesli. Na przykład

który kończy służbę w wojsku i bardzo pasowałby mi do drużyny. Pytam go, czy chciałby przejść do Pogoni Szczecin. Pewnie, że chciałby. Ale zaraz pyta: — co dostanę? U nas zawodnicy mają stypendia po 3 tysiące złotych. — A to nie — on na to. — Ja mam u siebie w III lidze etat za 27 tysięcy złotych i taka zamiana mi się nie opłaca. I to nie jest odosobniony przykład. U nas najbardziej opłaca się grać w III lidze.

Druga sprawa — to trenerzy. W 1985 roku w kieleckiej Koronie siedem razy zmieniano trenera. Jeśli trener nie gwarantuje drużynie dobrych wyników, to musi odejść. Ale niech to się odbywa kulturalnie, bez skandalu. Poza tym trenerzy nie mogą być ludźmi przypadkowymi. Przyjeżdżam na naradę trenerów i patrzę, a tu jedna trzecia ludzi zupełnie mi nie znana. Przecież gdyby wcześniej mieli coś wspólnego z piłką nożną, to musiabym ich znać. Tyle lat już jestem trenerem i tyle lat związany jestem z piłką nożną. Wielu polskich trenerów pracuje za granicą i dobrze sobie radzi. Nie tylko trenerzy są zatem winni.

— O tym się już mówi od dawna, ale na słowach wszystko się kończy.

— Nadszedł czas, aby od słów przejść do czynów. W PZPN pracuje na przykład osiem trenerów. Jakże mają oni wyniki? Albo inny przykład. Trampkarzy szkoli się po to, aby wyrastali na zawodników. Zatem trenera trampkarzy trzeba ocenić nie za to, jakie jego drużyna ma wyniki, ale za to, ile zawodników awansowało do drużyn wyższej rangi, na przykład do pierwszego składu. A tak się nie czyni.

Musi być też zupełnie dokładnie wiadomo, kto za jaką reprezentację odpowiada. Powinni to być nie tylko trenerzy, co selekcjonerzy. Oni powinni umieć ocenić, co wart jest zawodnik w swojej drużynie i czy może się dzięki temu przydać w reprezentacji. Trzeba ją właśnie w taki sposób budować, a nie najpierw mieć koncepcję, a później do niej dobrać ludzi.

— Chodzą słuchy, że jest pan kandydatem na selekcjonera kadry narodowej.

— Wiem, że chodzą. Mówili mi już o tym w Meksyku. Dzwonili też do mnie ze Szczecina.

— I co pan im powiedział?

— Ze jedę do roboty do Szczecina, bo tam jest moje miejsce pracy. A że różni ludzie mówią różne rzeczy, to już nie na to nie poradzę.

— Gdyby jednak taka propozycja padła, zgodziłby się pan?

— Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. Skoro już tak sobie „gdybamy”, to myślę, że tak, ale pod pewnymi warunkami. Sądzę, że nie czas o tym mówić.

— „Pogdybajmy” jeszcze: gdyby zapytano pana, kogo by pan widział na tym stanowisku, co jaka byłaby pana odpowiedź?

— Tu mam pełną jasność: Hubert Kostka.

— Gdyby to jednak był pan, to proszę pamiętać, że i ja, i cały nasz zespół, a mam nadzieję, że również Czytelnicy zawsze dobrze panu życzymy i tak będzie nadal.

— Dziękuję!

Rozmawiała:  
**BOGDA MADEJ**



# Gotowanie mleka

O czym mówi strzała  
na cięciu łuku  
o racji silnych  
o wytrzymałości słabych  
o łocie dźwięcznej kaczki  
o strachach?

Niech zaklekoce twoja pamięć  
spekanie drzewa  
aż do powtarzalnego dnia  
kiedy w rowach walał się  
ryzostunek całych armii  
I  
pomyśl przechodnia  
że wielkość i nieodwracalność  
nawet wyszane z mlekiem wilczy  
warzą się nagle



Nie wiemy czy podał  
na ruiny i wspomnienia  
kogoś waruszy

Jesteśmy za tą linią trwogi  
kłęba przekracza czas  
i zesumienie żyjących  
jeszcze

# A światło będzie w nas

Nie trzeba słów wstręć  
ni na miakkie strzępić  
słowo się rzekie słowo zapisało  
słowo oślepie  
nie odchodzi jeszcze  
daj ulgę uszom  
oszy uciesz wersem  
zapomnij suchy język  
i wilgoć żronicy

Na kraje warktkiej rzeki prowadzi  
tam przystaniemy  
odrywając starą korę ze spróchniałych pni  
aby nie dotknęła zroszonej trawy  
a światło będzie w nas  
biednych i wspaniałych

# Mówię

Tyle oczu zostało nam  
do zmilczenia  
tyle nadziei do niespełnienia  
tyle wyobraźni w zaciśniętych pięściach  
i tyle drogi do krawędzi światła  
że trzeba jeszcze bardziej  
być przemieniem  
paragrafem i grębem  
lub ptakiem stchórzyć  
w rozpedzone niebo  
marzec '86



# Jan Huszcza (24 XII 1917 - 26 VI 1986)

Zmarł Jan Huszcza, nestor łódzkiego środowiska literackiego, poeta, tłumacz i satyryk. Przejżdżając po ostatniej wojnie — jak bardzo wielu pisarzy — „tranzjtem przez Łódź” — pozostał w tym mieście na stałe: tu rozwinął swój talent, tu utwierdził swoją pozycję literacką, tu dobrze się zapisał w kronikach kulturalnych jako działacz, dziennikarz i organizator.

Urodził się przed niespełna siedemdziesięciu laty w Zagórcu na litewsko-białoruskich obrzeżach późniejszej II Rzeczypospolitej. Tam, w Dziśni, kończył gimnazjum w którym redaktował szkolnemu piśmie „Nasz Głos”. Z tamtego okresu wywodzą się zainteresowania Huszczy folklorem i kulturą białoruską czemu dał potem wyraz w swojej twórczości oryginalnej i w przekładach. Jesienią 1934 roku podjął studia na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wil-



Jest w zbiorze Jana Huszczy zatytułowanym „Opowieści w czarnych ramkach” — eseje o minionych czasach i o zmarłych pisarzach, z których większość od dawna wrosła w kulturowy „pejzaż” łódzki — także przejmujący felieton o zabetonowanym oświe. Ow portret drzewa — podwójnie jakby obramowany — bowiem i ramą betonowej barierki i czarną ramką nekrolegu, gdyż zabieg ów nieuchronnie skazywał ten żywy twór przyrody na śmierć — przy całym faktograficznym zapisie moglibyśmy traktować także symbolizmie. Jest to bowiem symbol naszych czasów — coraz wyraźniejszego zagrożenia ekologicznego, które wyrasta nie tylko z koniecznego zła, jakie niesie ze sobą rozwój cywilizacji, ale także symbol braku wyobraźni i bezmyślności wszechwładnej Pani Biurokracji. Ale jak każdy symbol i ten zamurowany cis ma jeszcze inną wykładnię — może być traktowany jako metaforyczny obraz samego Poety — naszego zmarłego Kolegi — który z uporem walczył o swoją „naturalność” — o prawo do

nie. Mimo iż przestała właśnie istnieć grupa literacka „Zagary”, wytworzony przez jej członków ferment intelektualny i artystyczny aktywizował środowiska Wilna aż do wojny. Z inicjatywy Józefa Maslińskiego, byłego żagarysty, Jan Huszcza debiutował na łamach niedzielnego dodatku „Kuriera Wileńskiego” z datą 6 października 1935 roku. Cztery zamieszczone tam wiersze podpisane były pseudonimem Jan Olechno (Olechno to pierwszy człon nazwiska rodzowego Huszczy). Debiutem książkowym Huszczy był, wydany w trzy lata później, tomik pod tytułem „Ballada o podróży”.

Ważne to fakty i ważne daty w biografii poety. On sam zawsze je podkreślał i lubił do nich wracać w swoich wspominkach i wywiadach. Dlatego też cieszył się, że „Odgłosy” postanowiły uczcić w ubiegłym roku pięćdziesięciolecie jego twórczości specjalnym wywiadem i małą antologią wierszy, które wybierał starannie i z głębokim namysłem.

Do wojny Jan Olechno-Huszcza współpracował z wileńskimi czasopismami: „Poprostu” (w pewnym momencie członek Komitetu Redakcyjnego) i „Kartą”, wydawanymi przez radykalnie i lewicowo zorientowaną grupę Henryka Dembińskiego. Choć były to pisma efemerydy, ich — w sumie — kilkanaście numerów nie minęło bez echa wśród czytelników z tamtych lat.

Dalsze lata w biografii Huszczy można uznać za typowe dla wielu losów wojennych ówczesnych środowisk intelektualnych z kresów wschodnich: najpierw Kazachstan, potem for-

„zielonego” łwoła w betonowych pustyniach Łodzi. Był z naszym miastem związany od roku 1945, ale poetycką wyobraźnią „zakorzeniony” przede wszystkim w kraju lat dziecińczych: w sennych chutorach Białorusi, w wodach Dziśny, w prowincjonalnym uroku rodzinnego Zagórcu. I nawet w tytule debiutanckiego „żagaryskiego” tomiku — „Ballada o podróży” — określili siebie jako poetę „otwartej przestrzeni”. Tę przestrzeń — nie tylko poetycką, nie tylko metaforyczną — bowiem i sprawdzalną geograficznie zapełnił swoim życiem.

Ale przecież zachował tęsknotę do wartości, do ludzi, pejzaży, które stanowiły stygmat nie do zatarcia w pamięci — i nie bez żalu pisał:

Opuściłem ziemię dzieciństwa  
a może opuścił mnie drzewa tamte i wody  
ale wszystko spotkałem w sobie

Te spotkanie dwu symboli natury: drzew i wody, ten ponawiany ciągle immunitet pozwalający na przywoływanie wartości elementarnych decydował o tonacji stylistycznej i styżnej utworów lirycznych i satyrycznych — nieubłagane tropiące nieautentyczność wielkomięskiego, kawiarzanego życia. I choć nie udało mu się wyrwać z — trochę Jesieninow-

mująca się dywizja kościuszkowska, a następnie praca w redakcji „Nowych Widnokregów”, oręganie Związku Patriotów Polskich. A po wojnie już Łódź — jak się rzekło — lata owocna, aktywne i wiele dla kultury naszego miasta użyteczne, co honorowano wieloma nagrodami i wyróżnieniami (m.in. Nagroda m. Łodzi w r. 1975 i Nagroda Ministra Kultury i Sztuki w 1982 r.). Spośród jego wielu obowiązków warto wymienić lata redaktorowania w „Kronice” (1955—1957) i w „Osnowie” (1969—1970).

Na dorobek literacki Jana Huszczy składają się liczne tomy poezji (ostatni, o charakterze antologicznego podsumowania pt. „Pory czasu człowieczego” ukazał się w roku 1984), opowiadania i przekładów. Z tych ostatnich najświetniejszym pozostanie tom „Antologia poezji białoruskiej” z roku 1978. Dorobek to może nie duży ale i też niebłahy, a przede wszystkim wyraźnie własny i konsekwentny. Od wierszy debiutanckich, tych sprzed pięćdziesięciu lat, do liryków ostatnich znajdujemy u Jana Huszczy wiarygodny i prawdziwie poetycki ton egzystencjalnej refleksji o człowieczym życiu, o pamięci skrupulatnie oceniającej przeszłość, pamięci tylą nostalgicznej, co harmonijnie pogodzonej z czasem teraźniejszości. Jest w tej poezji także miejsce na delikatną autoironię i dystans do samego siebie — natchnionego poety i zwykłego człowieka.

(GRZG.)

skiego ale przecież łódzkiego — baru do myślnionych obrotów, to w tej Łodzi tworzył swój ostatni utwór — modlitewny poemat do Panny Studziannej — do wód ujarzmionych w swoim żywiole — do studni relikwów dawnej Łodzi.

Symbolika poetycka wszakże przechowuje obrax i wody innej; mitologicznej rzeki — Styksu, przez który przeprowia nas w ciemnej łódce nieprzekupny przewoźnik Charon.

I pisząc o swojej Rzecz „domowej” Dziśnię pisał przecież o tej ostatniej przeprowie:

Zaskrzypi wkrótce czujny prom.  
Pręde! Nie złość przewoźnika  
Światłami przecięt wschodzi dom  
Dom, co pojawia się i znika

I ten dom, swojski, naturalny, pełen światła  
niech będzie Jego przystanią.

Bowiem poeta nie umiera, zanim nie zniknie  
ostatnie słowo z jego wierszy.

(H. P.)

# Wezwany do niepokoju

Nagle śmierć poraża najbliższych, wywołuje bunt przeciw naturze, niezgodę na nieobecność, która przeradza się w długotrwały żal pełen nieskładnych myśli. I teraz, gdy mam przed sobą biel kartki, po której prowadzi czarna długopis, natłok wspomnień, obrazów związanych z osobą zmarłego tworzą w istocie przepiękną pustkę, bo nie jestem w stanie wysnuć myśli przewodniej, nie mogę znaleźć takiego słowa, jednego słowa, które byłoby kluczem do wnikięcia w swoistość bycia i charakteru tej osoby i jednocześnie wszechogarniało jej wnętrze. Na ogół wysiłki nasze czynione w tym kierunku bywają daremne. Żyłe podobnie strzeże swoich tajemnic jak śmierć.

Dnia 14 maja br. podczas wieczornej burzy zmarł nagle poeta z powołania, farmaceuta z zawodu, Stanisław Boguszewski. Był członkiem — założycielem Unii Polskich Pisarzy Medyków, ostatnio wchodził w skład jej Zarządu Głównego. Należał do Stowarzyszenia Autorów Polskich. Wydał dwa zbiory wierszy: „Oswajanie niepokoju” (1983) i „Sen na równinie” (1985); trzeci oczekuje na druk. Poeta przyszedł na świat 2 stycznia 1933 roku we Włodzimiercu na Wołyniu. Przed wybuchem wojny światowej rodzina Boguszewskich, farmaceutów, przeniosła się do Łowicza. Z miastem tym, wyłączony z studia w Warszawie oraz pracą w Grajewie (1956—1957) i dwuletnią służbą wojskową, związał na stałe swoje losy. Postać Stanisława Boguszewskiego już znana była w Łowiczu i okolicy z racji piastowanego przezeń stanowiska kierownika jednej z aptek i fachowej wiedzy, niewiele natomiast wiadziło o jego właściwej pasji, jaką była poezja. Łacińskie znaczenie słowa pasja (cierpienie) zyskuje szczególny walor w przypadku zmarłego poety. Debiutował wprawdzie późno (w prasie w 1973), ale za to zaległości nadrabiał bardzo intensywnie, niemal z gorączkliwością, zapewne wynikającą z przecucia przedwczesnej śmierci. Z cierpieniem, które miało równie wymiar fizyczny co i psychiczny, nie ujawniał się, sprawiając wrażenie mężczyzny silnego, pewnego siebie — czemu zresztą sprzyjała uroda — nie obciążonego komplikacjami neurastenicznymi.

Niepokój wypełnił jego istnienie. Każda rzecz, ba, nawet każde istnienie, które stawało się przedmiotem namysłu, widział w perspektywie unicestwienia i to nie na drodze naturalnej, lecz totalnej zagłady. Apokaliptyczny pejzaż jego wierszy nie zawsze mnie przekonywał; inaczej teraz je odbieram, kiedy ponownie dałem wiarę stanom lekowym poety. Tytuł debiutu „Oswajanie niepokoju” wieńczy charakterystyczną drogę współczesnej poezji. Przypomnijmy, że Różewicz powojennemu zbiorowi wierszy dał tytuł „Niepokój” (1947), a później Erich Fried swój wybór wierszy nazwał „Wezwaniem do niepokoju” (1978).

Niepokój Boguszewskiego ma swoje własne imię, przechodzi w podświadomość czy też instynktowną dążność do samozniszczenia. Jeśli nie widzi się wyjścia, rozwiązania, przyszłość, wówczas wdziera się z całą agresywnością śmierć, jak to dzieje się w wierszu „Polowanie”:

Swiatłem nadziei nagonka  
poem zdarto nagonka  
więc patrz  
zginęła kępa  
zające śpią albo myślą  
to się zaczęło od strachu  
zburzonych od traw  
zanurzają się  
w czarnym tunelu lufy  
z ulgą witając pierwszy strzał  
który zburszy świadomość osaczenia.

Czytałem gdzieś, nie pamiętam gdzie, że pewne plemiona indiańskie przestały się rozmnażać, bo straciły wiarę w przyszłość. Tę wiarę odebrali im oczywście biali. Śmierć w pewnych okolicznościach staje się równie silna jak życie, nie jest tak samo jak coś, niebyt ma moc podobną bytowi. Gdy tak się dzieje, wówczas danej społeczności zagraża samozagłada, bo stan równowagi szybko przechodzi w zwycięstwo negatywności. Boguszewski afirmował niepokoju jako

formę bycia, sporządzał niemal kliniczny jego opis. Tworzył, dając wyraz lękom i obawom. Miał odwagę spojrzeć współczesnemu niepokoju w oczy i nazwać go imieniem. Większość piszących zatrzymuje się w pół drogi, jakby w obawie, że wypowiedziane słowo stanie się cięciem. Kiedy zadalem poecie pytanie: „Jak możesz żyć w takim piekle?” Nie dał odpowiedzi, tylko zapytał, czy jest inny świat. A interesował go nie ten, jaki jest, tylko taki, jaki może nastąpić, świat wirtualny. Wychodził z przeszłości, ze skazani zostaliśmy na ustawicznie potęgający się niepokoju, zatem — konstatowałem — nie pozostaje nam nic innego, jak podjąć próbę jego neutralizacji, oswojenia; nie traktować go jako zła koniecznego, lecz jako konieczność zła, którą można wszakże humanizować, w której jest pole manewru dla dobra. Chodzi jedynie o bezprzesłanne poszerzenie owych przestrzeni.

Poeta znajdował więc miejsce dla siebie w intymności, w rozmowie z najbliższymi, a tych miał niewiele, ale za to wypróbowanych. Największą intymność zawarł jednak w wierszach, dokumentach nadwrażliwości, która rodzic może wspaniale rzeczy, ale tworzy przypoci na ogół nieszczęście, dokucający ból samotności. Nader to interesujący świat doznań wychodzących poza materialność i rzeczy, godna wnikliwej uwagi próba kształtowania jakiegoś nadzmysłu pozwalającego na kontakt z absolutem, na doświadczenie do jedni. Stąd widzenie dotykem, dotykanie spojrzeniem, słyszenie zapachów, stąd świadomość naszej niedoskonałości — stanu zawieszenia w niespełnieniu, niemożności spełnienia, bo dzieje się zło, grzech i nie ma kary. Udręka nasza polega na oczekiwaniu na karę, jako że istnieje świadomość winy. Wiersze Boguszewskiego to jakby „Oeconomia divina” Miłosza rozpisana na głosy, ale nie mógł się zdobyć poeta z Łowicza na słowa poety z Berkeley (pomijam tu skalę zainteresowań), że wspaniały jest ludzki rozum, że jednak on w ostateczności zwycięża zło. Dlaczego? Nie umiem odpowiedzieć. W moim przypadku być może za wcześnie, aby podsumowywać tę twórczość i osobę, z którą łączyła mnie serdeczna, meska przyjaźń i dlatego nie potrafię oddzielić dzieła od twórcy. Pojęcie męskiej przyjaźni odeszło dziś do archeologii języka, zatem dar tym cenniejszy, bije bowiem ten blask starego złota, i myślę, i wierzę, że wartość jego będzie wzrastać wraz z obcowaniem z przyjaciółmi w wymiarze wyłącznie ducha.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI



S potkałem rano Natalię Sergiejewną. — Słownie, słownie, nie ma co!... — Zupelnie pan o mnie zapomniał! — zasypała mnie wyrzutami. — Czyżby na horyzoncie zaświeciła jakaś nowa gwiazdka?

— Co też pani mówi! Jak bym mógł o pani zapomnieć? O tobie, Nataszo! — Tsss... tylko bez poufałości. Co robimy dziś wieczorem?

— Co pani sobie życzy. Możemy iść do teatru...

— A co grają?

— Nową sztukę „Okowy miłości”. Temat niecodzienny, porywający. Młody książę żyje szczęśliwie z żoną, ale to ich szczęście nie jest prawdziwe. Wyobraź sobie... Niech pani sobie wyobrazi, książę ma grzech na sumieniu — kochankę, którą porzucił, a ta pewnego dnia zjawia się u niego w domu z ich dzieckiem — jako guwernantka. Wprowadziła ona zapewniam, że to jej młodsza siostrzyczka, lecz książę domyśla się prawdy. Nie jednak nie może powiedzieć, bo księżna ma jakieś dziwne przecucia... Mówię pani, bardzo ciekawa sztuka! Dramatyczne kolizje, wspaniały liryzm epizodów...

— No to chodźmy!

— Obiecałem Natalii, że przyjadę po nią o ósmej wieczór.

Tegoż dnia byłem na prośonym obiedzie u Marusi.

— Jak pan myśli — spytała gospodyni przy deserze — czy ta sztuka „Okowy miłości” warta jest obejrzenia?

— Bo co? — zapytałem podejrzliwie.

— Chciałam iść dzisiaj na to do teatru.

— Dzisiaj? Chętnie dotrzymam pani towarzyszki, ale może lepiej jutro byśmy poszli?

— Nie, właśnie dziś. Tylko nie wiem, czy nie zasną z nudów...

— Sztuka jest beznadziejna! Temat stary jak świat, wykorzystany już przez wszystkich dramaturgów od siedmiu boleści. Jakis książę idiotą — oczywiście bez księcia taki galimatias nie może się obejść — żeni się i jest na pozór szczęśliwy, ale tylko na pozór, bo okazuje się, że ma jakąś starą kochankę z dzieckiem, a ta kochanka zjawia się u niego w domu i podaje się za guwernantkę... Bardzo życiowe, nie uważa pani? A tę całą ohydę autor naszpikował naiwnymi konfliktami, płytkim liryzmem i podła oceanem ogłupiającej tęsknoty.

— Wszystko jedno, chce na to iść.

— Ten autor, jak słyszałem, to nałogowy pijaczyna. Swoje „Okowy miłości” napisał na pewno w przystępie delirium tremens...

— Nie szkodzi, muszę tę sztukę obejrzeć.

— Jak pani sobie życzy. Mam nadzieję, że serce pani nie dokuca?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Bo ten teatr to wymarzone miejsce dla sercowo chorych i osób nieznających przeciagów. Zupelnie jakby architekt miał na uwadze tylko takich widzów...

Chwila milczenia.

— A foyer takie nieprzytulne... Bileterzy to skończono chamy!

— Pójdzcie pan ze mną?

— Chętnie, tylko... już komuś obiecałem. Ale to wcale nie przeszkadza — dodałem szybko — żebym przyszedł do pani zaraz po pierwszym akcie.

— A któż to jest ten „ktoś”?

— Daleka znajoma. Prosiła, żebym dotrzymał jej towarzystwa, przykro mi było odmówić...

Zgodziłem się.

— Aha... Teraz rozumiem. Nowa sympatia? Rozesił się nieszczerze.

— Pani zawsze ironizuje! Nie można być tak uszczypliwą. Nowa sympatia. Dobrze sobie! Ha-ha! I pani to mówi!

— Niech pan w tej chwili puści moją rękę, wstrząchnij... Wiedź jak? Pozwoli pan, żebym sama siedziała w teatrze?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Nie, a dlaczego pan pyta?

— Może pan nie wracać.

— Kochanie... Czemu się pani na mnie gniewa?

— Wcale się nie gniewam. Mówię poważnie: jeśli ma pan tak pilną sprawę, że nie można jej odłożyć, proszę się nie krępować... Tylko, czy to wypada zostawić samą kobietę w nieznanym miejscu, gdzie mężczyźni są tacy natręcy?

— Ależ, pani Natalio! Przecież jest pan w teatrze!

— To co z tego? Cóż to znaczy dla takiego faceta przeleżeć tu przez poręcz z sąsiedniej łoży?

— Dobrze — wykrztusiłem wściekle. — Zostaje.

— Nie, niech pan idzie, proszę bardzo.

— Doprawdy wstydziłaby się pani.

Z ciężkim sercem zszedłem na parter. Marusia nie ukrywała zadowolenia.

— Obok mnie jest wolne miejsce! Posiedzi pan ze mną przez jeden akt?

— Byłbym doprawdy bardzo szczęśliwy... ale tam kobieta...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

— Widziałam ją. Niebrzydka, tylko się strasznie maluje. Przepraszam, zdaje się, że sprawiam panu przykrość...

— Ależ skąd! Hm... Co słychać u pani?

— Dziękuję. Gdybym wiedziała, że nie może pan zostawić swej towarzyski nawet na jedną minutę, nigdy bym tu nie przyszła. W dodatku jak na złość dokuca mi pragnienie... Strasznie mi się chce pić. Ale nie będę pana fatygować...

— Chodźmy do bufetu — mruknąłem z determinacją.

— Nie, nie. Wytrzymam jakoś.

Wzięłam ją pod rękę i pociągnęłam do foyer, czując na swych plecach rozpalony wzrok samotnej Natalii Sergiejewny...

Zszedłem na parter i powiedziałem Marusi, że z kolei mnie męczy pragnienie, zaproponowałem jej, żeby przeszła ze mną do foyer. Tam wlałem w siebie butelkę oranżady i posadziłem Marusię na krześle.

W niespełna minutę znalazłem się w łoży.

— Czy nie zechciałaby pani przejść się trochę po foyer? — zapytałem Natalię.

— Trzeba było mi to wcześniej zaproponować — odrzekła ponuro, cedząc słowa. — Proszę bardzo, możemy iść.

Wszedłem z nią do foyer, zawróciłem i natknąłem się, niby zupełnie nieoczekiwanie, na siedzącą na krześle Marusię.

— Co za niespodzianka! — zawołałem. — Pani nie pozwoli, że je przedstawię: Natalia Sergiejewna Borowitina — Maria Iwanowna Soroczina.

Podaliśmy sobie ręce, a ja wyczerpany do ostatka oparłem się o poręcz.

— Podobna się pani sztuka? — zapytała Marusia.

— Nie bardzo. A pani?

— Tak sobie. Długawa...

— Bogu dzięki — pomyślałem — młyn się rozkręca na dobre!

— Pani pozwoli — rzekłem — pójdę do palarni na papierosa...

— A kto mnie odprowadzi na widownię? — spytała Marusia.

— Może przesiądzie się pani do naszej łoży? — serdecznie zaproponowała Natalia.

— Bycza baba! — pomyślałem. — Mądra jesteś, szelmutko, nie bez powodu tak cię kocham!

— Dziękuję. Jeśli to państwu nie przeszkadza...

Udałem się do palarni.

— Szedłem na parter i powiedziałem Marusi, że z kolei mnie męczy pragnienie, zaproponowałem jej, żeby przeszła ze mną do foyer. Tam wlałem w siebie butelkę oranżady i posadziłem Marusię na krześle.

W niespełna minutę znalazłem się w łoży.

— Czy nie zechciałaby pani przejść się trochę po foyer? — zapytałem Natalię.

— Trzeba było mi to wcześniej zaproponować — odrzekła ponuro, cedząc słowa. — Proszę bardzo, możemy iść.

Wszedłem z nią do foyer, zawróciłem i natknąłem się, niby zupełnie nieoczekiwanie, na siedzącą na krześle Marusię.

— Co za niespodzianka! — zawołałem. — Pani nie pozwoli, że je przedstawię: Natalia Sergiejewna Borowitina — Maria Iwanowna Soroczina.

Podaliśmy sobie ręce, a ja wyczerpany do ostatka oparłem się o poręcz.

— Podobna się pani sztuka? — zapytała Marusia.

— Nie bardzo. A pani?

— Tak sobie. Długawa...

— Bogu dzięki — pomyślałem — młyn się rozkręca na dobre!

— Pani pozwoli — rzekłem — pójdę do palarni na papierosa...

— A kto mnie odprowadzi na widownię? — spytała Marusia.

— Może przesiądzie się pani do naszej łoży? — serdecznie zaproponowała Natalia.

— Bycza baba! — pomyślałem. — Mądra jesteś, szelmutko, nie bez powodu tak cię kocham!

— Dziękuję. Jeśli to państwu nie przeszkadza...



**V**ioletta Villas wróciła. Występy na koncercie w Teatrze Wielkim w Łodzi wraz z Orkiestrą PRiTV w programie „Henryk Debich zaprasza” w nadkompleksach oglądała łódzka publiczność i każdy ma wyrobioną opinię na ich temat. Faktem jest, że Violetta Villas zaprezentowała na nich wspaniały głos i przekonała, że nadal może nim wyspiewać wszystko, doświadczenie balansując po 4-oktawowej skali raz techniką piosenkarstwa, raz zbliżoną do techniki operowej. Najpełniejsze i najbardziej szlachetne (doprawdy imponujące!) były niskie tony (kontrałt) i obecnie Villa, nimi epatuje słuchaczy, one są głównym walorem jej głosu. I gdyby ode-

dały światła (ostre i zbyt jasne), które aż proszą się o rękę fachowca, jeśli już nie o reżyserię, bo przecież, ile można wygrać, wydobyć ciekawie ustawionymi światłami? W pełnym blasku światła, na tle tekturowego horyzontu staje Ona. Włosa złotych włosów, w które staramy się uwierzyć, że są prawdziwe.

Patrzę na to cudo, dziw natury, i zastanawiam się: może rzeczywiście chcemy oglądać taką niemożliwą, kabaretową w jaskrawych strojach (wywalczyła ją w nie kończących się sporach z kostiumologiem), w przerysowanym do granic możliwości

#### SUKNIA LILIOWA

Violetta śpiewa w niej stary przebrój o „Szczęściu”. Śpiewa tę piosenkę w charakterystycznej tylko dla siebie manierze. Liczne westchnienia, wyciszenia i wzmocnienia oraz efektowne obniżanie głosu do najniższych, prawie męskich dźwięków pierśślowych wraz z wokalizami, zupełnie nie przystają do prostej, łagodnej piosenki, którą ongiś tak ładnie śpiewała z fortepiannem na próbnych nagraniach w radiu. Całości dopełnia kostium liliowo-złocisty obszyty czarnym

wdówki”, którą Violetta Villas zamarzyła sobie zaśpiewać z zespołem Teatru Wielkiego w Łodzi? Po powrocie z Warszawy dowiaduję się, że marzenia nie będą spełnione. Violetta Villas nie zdąży opanować całej partii operetkowej i występy gościnne „Wesołej wdówki” w Operze Leśnej w Sopocie i Teatrze Muzycznym w Gdyni trzeba odwołać.

#### SUKNIA CZARNA

z białym kołnierzem, zapięta pod szyję, tylko po co białe rękawiczki i ostentacyjnie zawieszony krzyż? Ckliwa i banalna piosenka „Do Ciebie mam”, mimo tysięcznego wykonania wciąż jeszcze robi wrażenie na słuchaczach. Może dlatego, że Violetta Villas osuwa się na kolana i płacze rozmazując makijaż oczu, co nie da się opisać, to po prostu trzeba zobaczyć. Śpiew jest tu drugorzędny. Publiczność w skupieniu liczy westchnienia śpiewaczki i wraz z nią popada w jakiś przedziwny stan letargowy. Przed nami autentyczne medium, osobowość jak mało która potrafiąca oszłomić, omotać, zniewolić. Wszyscy stajemy się niewolnikami Violetty Villas, z którymi ona robi co chce.

#### SUKNIA NIEBIESKA

Violetta Villas w parodii operetki o dziewczyci Ligi i okrutnym cesarzu. Na szczęście scenka jest zrobiona w konwencji pastiszu, gdyż inaczej posmak kiczu sięgnąłby samego dna.

#### KRYNOLINA

Oraz — finałowa piosenka:

„Bum, bum, bum, bum...  
Już dosyć mam śpiewania,  
Już dosyć tego udawania.  
Choć dzisiaj chcę być sobą,  
Żadnych łez, lamentów kres,  
mam dość!  
Bo budzi mnie po nocach,  
że płaczą ze mnie i mimozą.  
Tak chciałabym być pantera,  
co przęty kark, lśni czerwienią warg”.

Jest to fragment najnowszej piosenki Violetty Villas.

#### NIE POTRAFI SIĘ ZMIENIĆ.

Marlan Butrym w artykule „Violetta i duchy” (na łamach „Magazynu Muzycznego”) pisze: „Nie ma nic bardziej okrutnego niż moda w muzyce rozrywkowej. Moda potrafi wyłansować artystę na szczyt popularności, aby nagle zmienić kaprys i wbić tego samego wykonawcę w piach zapomnienia. Villas jakoś wymknęła się modzie”.

Miała szczęście, bo w przeciwnym razie jej obecny come back nie mógłby mieć miejsca. Takiego repertuaru, takich kostiumów, uczesania i takiego stylu wykonawczego nikt ze współczesnych piosenkarzy już nie uprawia. Krytycy dziwią się i zastanawiają nad przyczynami, które spowodowały tak ogromne zainteresowanie występami dawniej, zapomnianej już gwiazdy.

Publiczność wykupła bilety na wszystkie przedstawienia show „Violetta” w „Syrenie” do końca sezonu. I jest to głównym powodem dla którego come back VV można uważać za udany, choć o sukcesie artystycznym nie można tu w ogóle mówić. Na pełny powrót pleśniarki będziemy musieli jeszcze długo poczekać, choć może się zdarzyć, że takowy w ogóle nie nastąpi.

## Dla Stonesów czas się zatrzymał

Jak długo można skakać z gitarą po estradzie i grać rock and rolla? Pytanie to nasunęło mi się, gdy przestudiowałem najnowszy płytę grupy The Rolling Stones, zatytułowaną „Dirty Work”. A że album trafił do mnie w okresie mundialowego szaleństwa, kiedy oczy niemal całego świata zwrócone były na Meksyk, porównałem, pod względem wieku, piłkarzy i wykonawców muzyki rockowej.

W przypadku zawodników drużyn futbolowych istnieje pewna granica, po przekroczeniu której nawet najlepsi muszą powoli myśleć o rozstaniu się z boiskiem. Oczywiście chodzi o czynne uprawianie piłki nożnej, bo przecież — jak udowodniło wielu byłych zawodników — można z powodzeniem zajmować się nadal pracą szkoleniową lub na przykład zostać sprawozdawcą sportowym. Niektórzy jednak powracają do zawodu wyuczonego lub próbują swoich sił w zgola odmiennych dziedzinach. Najdłużę — choć i tu zdarzają się wyjątki — sukcesy na boiskach odnoszą bramkarze, kończąc karierę niekiedy dopiero przed czterdziestką.

Można by sądzić, że również muzycy rockowi w pewnym wieku powinni się wycofać. I to z dwóch powodów. Charakter pracy na estradzie — zwłaszcza w stylu „heavy metal” — wymaga od muzyków żelaznej kondycji, bez której nie wytrzymaliby trudów długich tras koncertowych. Ponadto wśród sympatyków rocka przeważają ludzie młodzi, nierzadko utożsamiający się ze swoimi idolami. Okazuje się jednak, że wiek „emerytalny” wykonawców jest w praktyce trudny do określenia. Gdy oglądałem okładkę albumu „Dirty Work”, z której patrzyło na mnie pięciu szczerbów, modnie ubranych mężczyzn z rozwierzonymi czuprynami, wprost nie mogłem uwierzyć, że najmłodszy z nich, Ron Wood, urodził się w 1947 roku, a najstarszy, Bill Wyman, za kilka miesięcy skończy 50 lat. Można oczywiście wymienić jeszcze sporo nazwisk wykonawców, którzy debiutowali na początku lat sześćdziesiątych i do dziś występują oraz nagrywają płyty — mówi się na przykład ostatnio o reaktywowaniu słynnej grupy The Monkees — jednak wielu weteranów odchodziło powoli od rocka w stronę innych stylów; najczęściej była to po prostu muzyka pop, adresowana do najszerszego grona słuchaczy. The Rolling Stones natomiast przez blisko ćwierć wieku (pierwszy singel „Come On” nagrali w 1963 roku) pozostali wierni rhythm and bluesowi. Konsekwencja twórcza jednak nie zawsze jest gwarancją sukcesu komercyjnego. Aby utrzymać się przez tyle lat na szczycie, podczas gdy pojawiają się wciąż nowi twórcy, proponujący odmienne rozwiązania stylistyczne i brzmieniowe, trzeba nie lada talentu. Jest wiele przykładów wykonawców, którzy wypłynęli na falę jakiejś mody, aby wkrótce odejść w zapomnienie, jak chociażby zespół Laid Back, znany głównie z przeboju „Sunshine Reggae”. Również nie sądzę, aby modna ostatnio grupa Modern Talking mogła długo cieszyć się powodzeniem, produkując melodyjne, choć dość przeciętne pod względem artystycznym, utwory, które wprawdzie szybko wpadają w ucho, jednak już po kilku przestudiowaniach zaczynają nużyć. Co prawda muzyka Modern Talking adresowana jest głównie do nastolatków i im na ogół się podobają. Zastanawiam się tylko, kto będzie jej słuchał za kilka lat, gdy obecni fani zespołu zaczną rozglądać się za czymś ambitniejszym. Grupie The Rolling Stones natomiast udało się nie tylko zatrzymać większość fanów, którzy wraz z Mickiem Jaggerem i jego kolegami z zespołu dorastali, ale też, z upływem lat, grono jej sympatyków powiększało się o nowe rzesze młodych melomanów.

Album „Dirty Work” potwierdza, że muzycy nie nie stracili z młodzieńczej werwy i nie tylko nie przestali się liczyć na rockowej scenie, ale też jeszcze mogą sporo nauczyć niektórych młodszych wykonawców. Słuchając poszczególnych nagrań podziwiać można zarówno talent instrumentalistów, jak i kompozytorsko-aranżacyjne pomysły spółki Jagger-Richards, która w kilku utworach skorzystała z pomocy Rona Wooda. W dobrej, jak zwykle, formie jest Jagger-wokalista, doskonale interpretujący piosenki autorskie oraz dwie obce kompozycje — „Too Rude” i „Harlem Shuffle”. Słuchając nagrań The Rolling Stones, odnosi się wrażenie, że wszyscy członkowie zespołu czują i przeżywają wykonywaną przez siebie muzykę, a granie sprawia im przyjemność. Jest w tym wszystkim nieco, charakterystyczne dla Stonesów, nonszalancji, na którą wytrawni rockmani mogą sobie pozwolić bez szkody, a czasami nawet z pożytkiem dla brzmienia. Słowem mistrzowie muzycznego rzemiosła grający od serca. Być może jest to właśnie recepta na sukces w muzyce, która przecież powinna być bardzo żywa i ekspresyjna.

Na temat grupy The Rolling Stones napisano już kilkadziesiąt książek i niezliczoną ilość artykułów. Zdaniem muzyków, żaden autor nie znalazł na tyle, aby przekazać całą prawdę o zespole. Dlatego też Bill Wyman od wielu lat gromadzi, przy pomocy domowego komputera, materiały, na podstawie których powstanie jedyna — jak twierdzi najstarszy Stone — autentyczna historia grupy. On, podobnie jak pozostali muzycy, coraz częściej pracuje samodzielnie. Należy bowiem pamiętać, że The Rolling Stones to już nie taki sam zespół, jak w latach sześćdziesiątych, kiedy prasa rozpisywała się na temat mniej lub bardziej bulwersujących wybryków jego członków. Dziś każdy z nich prowadzi własne życie, a spotykają się najczęściej jedynie na koncertach lub podczas pracy nad nowymi nagraniami. Wyman jako jeden z pierwszych zaczął wydawać long-playe solowe, a niedawno, wraz z Charlie Wattsem, Jimmy Page'em i kilkoma mniej znanymi londyńskimi instrumentalistami zarejestrował parę standardów rhythm and bluesowych, które ukazały się na płycie firmowanej przez grupę Willie and The Poor Boys. Interesuje się też fotografią i nawet jest autorem zdjęć do książki poświęconej Marcowi Chagallowi. Z kolei perkusista Stonesów Charlie Watts — poza grą w zespole — zajmuje się hodowlą koni oraz kieruje jazzowym big bandem. Najbardziej widoczni na estradach są ostatnio Wood i Richards, którzy, jako gitarzyści, znakomicie się uzupełniają, a ich gra decyduje w znacznym stopniu o charakterystycznym brzmieniu grupy. Mogłoby ich obejrzeć i usłyszeć we fragmencie koncertu „Live Aid”, gdy akompaniowali innej legendzie muzyki rockowej, Bobowi Dylanowi. Natomiast niecałkowicie prasa donosiła o planowanym występie Wooda i Richardsa w kilkunastogodzinnej imprezie z udziałem wielu gwiazd estrady, z której dochód przekazany zostanie mniej zamożnym amerykańskim farmerom. Sądzę, że o Micku Jaggerze sympatycy rocka wiedzą już prawie wszystko. Zresztą pisałem już o jego solowej płycie „She's The Boss” i innych samodzielnych przedsięwzięciach. Ostatnio podobal się w dwóch duetach — z Tiną Turner podczas koncertu „Live Aid” i z Davidem Bowiem w atrakcyjnym teledysku, w którym dwaj weterani rockowej sceny brawurowo zaśpiewali piosenkę „Dancing In The Street”.

Wracając do pytania postawionego na początku niniejszego artykułu — a muszę przyznać, że zadaje je sobie ilekroć słyszę o występach i premierowych nagraniach grupy The Rolling Stones — wydaje mi się, że muzyk rockowy kończy się dopiero wtedy, gdy stracił zapal do grania lub zabraknie mu inwencji, a jego twórczość przestanie bawić słuchaczy. Data urodzenia się nie liczy. Bo przecież, jak powiedział Bill Wyman — i chyba można wierzyć temu wiekowemu rockmanowi — muzyka powinna być przede wszystkim rozrywką. „Jest czymś, co sprawia radość, relaksuje, podnosi na duchu — jak cyrk”.

GRZEGORZ WALENDA

BOHDAN GADOMSKI

## Powrót gwiazdy

brać jej możliwość mówienia („Mam stać do mikrofonu bliżej czy dalej”, „Tylko powolutku dyktorkę powolutku”, „a lubicie mnie jeszcze trochę”, „ale gorąco, pół dnia kręciłam loki i wszystkie się rozkręciły, wyglądam okropnie”) to łódzkie występy można by określić jako udane.

Najbardziej interesował mnie pełny recital Violetty Villas, na profesjonalnej scenie, w teatralnej oprawie, w kostiumach, z aktorami, baletem, orkiestrą, ze scenografią, reżyserią i prowadzeniem samego dyrektora Teatru „Syrena” Witolda Fillera. Ponieważ dyrektor Estrady Łódzkiej Janusz Sikora rozmyślił się i postanowił nie sprwadzać do Łodzi recitalu „Violetta” (klapa frekwencyjna i finansowa tego programu na Śląsku) składam wszystkim zainteresowanym moją relację wprost z warszawskiej „Syreny”, która trzy razy w miesiącu serwuje ten show i dobrze na nim zarabia.

#### UWERTURA

„W niebo dzisiaj skierowane teleskopy  
Astrolodzy wróżą dobry układ gwiazd  
Czas najlepszy na spotkania i powroty  
Gwiezdny pył dziś zawiruje wokół gwiazd...  
Wulkan nocy, płomień nocy,  
galaktyka mruży oczy,  
To Gwiazda, to Gwiazda,  
to Super Star...”

Taką oto okolicznościową piosenką w wykonaniu śpiewającego baletu rozpoczyna się show w „Syrenie”.

W tle fioletowo-różowo-niebieski horyzont a zewsząd pa-

makijażu, śpiewającą po raz tyżiączny „Oczy czarne” i „Do Ciebie mam”? Może publiczność rzeczywiście kocha mity i chce być nimi karmiona? Może pragniemy melodramatu w piosenkach i autentycznych łez wykonałczyni (kożi dziś płacze na estradzie w pozycji kłęczącej?)

Przed nami jak trafnie pisze Rita Gołębiowska na łamach „Tygodnika Kulturalnego”: „Wspomnienie z innej epoki, estrady, z czasów mody fru-fru czyli epoki wykopaliskowej w stosunku do punków, rocka i Madonny. Chcemy zobaczyć po latach kogoś tak realnego i nie-realnego jak Violetta Villas”.

Teatr nie zapewnił swojej gwiazdzie żadnej oprawy. Gdzie te pióra, schody i wielkiej rewii czar? Ale za to zaproponował etat i poczucie stabilizacji.

„Gdyby tylko potrafiły śpiewać, byłoby wówczas dużo Villas, ale nie potrafiła i Villas jest jedna” — zauważa gospodarz koncertu Witold Filler. Jaka szkoda, że znawca kobiet i artystek nie zdobył się na nic bardziej odkrywczego i nowego, wszakże pisał już o tym i tak samo kilkanaście lat temu. Zna przecież i rozumie swoją ulubioną gwiazdę jak mało kto. Dla Witolda Fillera (sprawcy tego show) czas jakby zatrzymał się w miejscu, bo widzi Violettę Villas przez pryzmat dawnych złotych lat jej bajecznej a później coraz smutniejszej kariery. Szkoda, bo ta niezwykła artystka posiada w sobie jeszcze sporo nie wykorzystanych możliwości nieumiejętnie prowadzonych i niekorzystnie eksponowanych przez siebie samą, co niweczy trud grupki ludzi, którzy zdecydowali się w nią zainwestować raz jeszcze i sprawia, że jej triumfalny come back jest sukcesem polowicznym.

futrem wraz z nieodzownym atrybutem w postaci długich białych rękawiczek, na tle liliowo-różowo-niebieskiego horyzontu. Nie, tu nie trzeba niczego komentować. Kto to wymyślił kto ponosi odpowiedzialność artystyczną za taką oprawę dla nieświadomej niczego gwiazdy?

#### SUKNIA CZERWONA

Z tytułu, szyfonu, z niezliczoną ilością plis karbowanych i układających się w efektowny peniuar estradowy. Znamy tę sukienkę dobrze z dużego i małego ekranu, tu po pewnej modernizacji znowu czerwień jest swym blaskiem i rozpiętością rękawów.

Nieśmiertelne „Oczy czarne” i taniec z Cyganami. Violetta Villas zrzuca czerwone szpilki i wysoko, wysoko podnosi nogi. Publiczność szaleje. Nie powinna już śpiewać tego utworu. Nowy sposób artykulowania piśków jest nie do przyjęcia, niski czy wielki trud artystki. Aby być pełną ognia i seksu można wymyślić coś innego.

#### SUKNIA BIAŁA

Przed nami cała w bieli (biały welon również) ognista Carmen. Fascynujące jest wykonanie słynnego przeboju operowego Georgesa Bizeta, żadna inna śpiewaczka nie potrafiła zaśpiewać tej właśnie arii Carmen tak wspaniale i oryginalnie jak Violetta Villas. Szkoda, że w repertuarze ma tylko dwie arie. W dolnych rejestrach jej głos swobodnie sięga kontraltu (dawniej mezzosopranu), choć góry w stronę wysokiego „c” są blade i słychać, że śpiewaczka jakby obawiała się pokonywania najwyższych tonów.

Słucham i zastanawiam się — co będzie z partią sopranową Hanny Glavari czyli „Wesołej



Foto: Chwałisław Zieliński



## „Polewka na kwasie pruskim”

W numerze 22 „Odgłosów” z dnia 31 maja 1986 roku opublikowałem reportaż z Zychlina pt. „Polewka na kwasie pruskim”. Tekst dotyczył zanieczyszczenia wód studziennych cyjanowodorem pochodzącym z Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych i Transformatorów „Emi” w Zychlinie. W sprawie tej toczyło się dochodzenie wszczęte przez Prokuraturę Rejonową w Kutnie. Po opublikowaniu reportażu, radca prawny „Emi”, mgr Janusz Białkowski przedłożył odpis postanowienia o umorzeniu śledztwa, który na jego wniosek podajemy do wiadomości czytelników.

ROMAN KUBIAK

### POSTANOWIENIE O UMORZENIU ŚLEDZTWA

Józef Kowalczyk — Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Płocku, w sprawie nadzwyczajnego zagrożenia wód podziemnych związkami cyjanku na terenie miasta Zychlina spowodowanego przez ZWMEIT „Emi” w Zychlinie, z art. 136 par. 2 kk i art. 124 ust. 2, Ustawy z dn. 24.10.1974 r. Prawo Wodne (Dz.U. Nr 38, poz. 230) w zw. z art. 10 par. 2 kk.

postanowił

1. Umorzyć śledztwo — w sprawie stanu nadzwyczajnego zagrożenia wód podziemnych związkami cyjanku na terenie miasta Zychlina spowodowanego nieprawidłowym składowaniem odpadów pogalwanicznych przez Zakłady Wytwórcze Maszyn Elektrycznych i Transformatorów „Emi” w Zychlinie — wobec braku znamion przestępstwa.

Uzasadnienie

W dniu 11 października 1985 roku do Prokuratury Wojewódzkiej w Płocku wpłynęło doniesienie z Urzędu Wojewódzkiego w Płocku — Wydział Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii, że na terenie miasta Zychlina nastąpiło skażenie gruntów i wód gruntowych związkami cyjanku, z powodu nieprawidłowego składowania odpadów pogalwanicznych przez Zakłady Wytwórcze Maszyn Elektrycznych i Transformatorów „Emi” w Zychlinie. Sytuacja taka doprowadziła zdaniem Urzędu Wojewódzkiego w Płocku do stanu nadzwyczajnego zagrożenia wód podziemnych na terenie miasta Zychlina. W następstwie tego doniesienia wszczęto śledztwo, w toku którego ustalono następujący stan faktyczny:

W dniu 17 września 1985 roku Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska Oddział Terenowy w Kutnie został powiadomiony przez przedstawiciela Ligi Ochrony Przyrody, Koło Terenowe w Zychlinie, że na terenie Zakładów Wytwórczych Maszyn Elektrycznych i Transformatorów „Emi” w Zychlinie nastąpił wyciek nieznannej substancji z dołów, w których Zakłady składowały odpady pogalwaniczne z produkcji. Inspektorzy w osobach Sławomira Gogoła z Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii i Józefa Kujawskiego z Oddziału Terenowego Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska stwierdzili, iż Zakłady „Emi” w Zychlinie posiadają Zakład Galwanizacji, niewłaściwie przeprowadzając neutralizację ścieków pogalwanicznych, a osady pogalwaniczne składowane były w sposób bezprawny w miejscach nie nadających się do tego celu — w wykopanych dołach. Ponieważ doły, w których deponowano osady, i z których stwierdzono wyciek cieczy, usytuowane zostały w pobliżu gospodarstw domowych posiadających studnie kopane, zachodziło podejrzenie infiltracji związków chemicznych niebezpiecznych dla życia i zdrowia ludzi do gruntów, a głównie do wód studziennych, pobrano próby wody najpierw z trzech studni, a w dalszych dniach z dziewięciu studni.

Wyniki analiz wykazały obecność w wodach studziennych związków cyjanku ponad dopuszczalną normę. W oparciu o wyniki badań wód pitnych na zawartość cyjanku, Państwowy Terenowy Inspektor Sanitarny w Kutnie wydał decyzję o zakazie eksploatacji i użytkowania wody do picia i na potrzeby gospodarce, ze względu na ochronę zdrowia, ze wszystkich studni, w których cyjanki stwierdzono. Jednocześnie nakazano Zakładom Wytwórczym Maszyn Elektrycznych i Transformatorów „Emi” dowóz wody z wodociągu miejskiego do posesji objętych zakazem użytkowania wody z własnych studni.

W dniu 8 października 1985 roku badanie wód na zawartość cyjanku przyjął Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Płocku. W wyniku wykonanych badań, w wodach, w których uprzednio stwierdzono ponadnormatywne ilości związków cyjanku — cyjanki te nie występowały w ogóle, bądź występowały poniżej obowiązujących norm, czy też stwierdzono ślady cyjanku. Jednocześnie niezależnie od prowadzonych badań przez WSSE w Płocku, badanie przedmiotowych wód wykonana na zlecenie „Emi” Studencka Spółdzielnia Pracy „Uniwersytas” działająca przy Zakładzie Ochrony Środowiska Politechniki Warszawskiej oraz równocześnie i niezależnie od Spółdzielni, Zakład Wodociągów i Kanalizacji w Pruszkowie należący do Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Warszawie. Wyniki analiz obu jednostek pokrywały się z wynikami Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Płocku. Nie stwierdzono w badanych wodach występowania ponadnormatywnych ilości cyjanków. Stwierdzono jedynie cyjanki tylko w ilościach śladowych lub poniżej obowiązujących norm.

W oparciu o wyniki WSSE w Płocku, Zakładu Ochrony Środowiska, SSP „Uniwersytas” w Warszawie i Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Warszawie — Zakład w Pruszkowie, Państwowy Terenowy Inspektor Sanitarny w dniu 22 listopada 1985 roku wydał decyzję odwołującą uprzedni zakaz eksploatacji i użytkowania wody do picia i na potrzeby gospodarce. Wydając tę decyzję, Państwowy Terenowy Inspektor Sanitarny w Kutnie zalecił jedynie, aby wodę picą do przygotowania z uwagi na zły skład fizyko-chemiczny i bakteriologiczny wody w studniach przydomowych objętych badaniami. W wodach tych stwierdzono występowanie m. in. azotanów i siarczanów, jednak z przyczyn niezależnych od Zakładów „Emi” w Zychlinie.

Biorąc pod uwagę powyższe ustalenia, należy przyjąć, iż poza sporem jest fakt, że po 8 października 1985 roku, to jest po przebiegu badań przez WSSE w Płocku, nie występowało zagrożenie zanieczyszczenia wód studziennych cyjanowodorem. Należało jedynie rozważyć czy takie zagrożenie występowało w dniu ujawnienia cyjanków przez OBKS w Kutnie, a zatem i przed datą ich ujawnienia, gdyż również poza sporem jest fakt, że odpady pogalwaniczne deponowane były nieprawidłowo. Konieczność ustosunkowania się do tego problemu uwarunkowana jest sugestią, że Zakłady „Emi” po ujawnieniu cyjanków w wodach studzien-

nych przystąpiły do neutralizacji osadów pogalwanicznych, co mogło też mieć wpływ na neutralizację cyjanków w wodach gruntowych.

Rozważając ten problem w oparciu o zebrane materiały dowodowe, należałoby dojść do wniosku, że zagrożenie skażenia wód gruntowych cyjanokami nie występowało od początku.

Jak wynika ze sprawozdania Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego w Płocku oraz przesłuchiwanych w tej sprawie świadków, OSKS w Kutnie przeprowadzając analizę wody na zawartość cyjanków stosował niewłaściwą metodę badań, a mianowicie metodę oznaczania cyjanków według norm dla ścieków. Tymczasem oznaczenie związków cyjanków w wodzie do picia i na potrzeby gospodarce, winno odbywać się za pomocą metody obowiązującej, tj. metody PN-73/C-4603 art. 01. Na skutek zastosowania pierwotnie niewłaściwej metody mogły wystąpić błędy w oznaczeniu ilości cyjanków. Należało zatem przyjąć, że gdyby zastosowano od początku właściwą metodę badania, cyjanków by nie stwierdzono. Sam przeprowadzający badania Inspektor OBKS, Józef Majewski zeznał, iż faktycznie badania swoje przeprowadzał po raz pierwszy i nie wykluczał niedokładności ich przeprowadzania i błędów w oznaczeniu na zawartość cyjanków. Potwierdzeniem niedokładności pierwotnych badań jest ekspertyza SSP „Uniwersytas” w Warszawie przeprowadzona pod kierunkiem dr Pawła Stefana Pietraszka. Z ekspertyzy tej wynika, iż zagrożenia zanieczyszczenia wód cyjanokami nie występowały.

Przesłuchiwany w tej sprawie w charakterze świadka Paweł Pietraszek ustosunkowując się do problemu ewentualnej neutralizacji cyjanków już po ich ujawnieniu, taką ewentualność wykluczył. Zeznał on, iż badając wody pobrane do analiz ze studni zagrożonych cyjanokami nie stwierdził nadmiaru chlorków — odczynnik neutralizujący — co by musiało nastąpić, gdyby faktycznie wody te były neutralizowane. Ponadto świadek zeznał, że w tak krótkim czasie stwierdzone uprzednio cyjanki nie mogły się rozłożyć.

Dalszym argumentem przemawiającym za brakiem zagrożenia jest brak jakichkolwiek stwierdzonych zachorowań u ludzi korzystających z wody pitnej ze studni rzekomo zagrożonych. Nie stwierdzono też takich zachorowań u zwierząt gospodarskich. Przesłuchiwany w tej sprawie PTIS, Zygmunt Walczak zeznał, iż nikt z właścicieli studni, w których stwierdzono ponadnormatywną zawartość cyjanków, nie skarżył się na żadne dolegliwości w związku z piciem wody. Świadek specjalnie szukał chorych, jednak bezskutecznie.

Mając na uwadze całokształt podniesionych wyżej okoliczności, należało postanowić jak w sentencji.

Sprawa nieprawidłowości przy składowaniu osadów pogalwanicznych przez ZWMEIT „Emi” w Zychlinie warunkuje jedynie odpowiedzialność dyscyplinarną i służbową osób za tę sprawę odpowiedzialnych. Przy tej okazji należy nadmienić, że Zakłady „Emi” bezzwłocznie przystąpiły do usunięcia nieprawidłowości na tym odcinku.

Wiceprokurator  
Prokuratury Wojewódzkiej  
mgr Józef Kowalczyk

1986.04.24.

### REDAKCJA — CZYTELNICY

**TOMASZ DYSZKIEWICZ, Łódź.** List w sprawie zarzutów wobec personelu szpitala na Stokach przekazał mi dyrektorowi Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UML — dr Ryszardowi Machnikowskiemu. Nie jesteśmy w stanie samodzielnie zbadać tak poważnych zarzutów. Niemniej jednak po otrzymaniu wyjaśnień ze strony Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UML sprawą zajmiemy się.

**HENRYKA BINKOWSKA, Aleksandrów Łódzki.** Po otrzymaniu kolejnego listu w sprawie jakości pomocy Pogotowia Ratunkowego całość dokumentacji przekazał mi dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UML dr Ryszardowi Machnikowskiemu z prośbą o wnikliwe zbadanie sprawy i zajęcie stanowiska. Służba zdrowia posiada odpowiednią instytucję, która jest upoważniona do oceny postawy lekarzy. Po otrzymaniu wyjaśnień — poinformujemy o ich treści.

**STANISŁAW PIETRZYK, Łódź.** Jechał Pan z synami pociągiem i jeden z Pana synów nie miał przy sobie ważnej legitymacji szkolnej. Ma on 12 lat, co każdy mógł stwierdzić po jego wyglądzie, a więc powinien być uczniem, gdyż w Polsce od dawna wprowadzono obowiązek nauczania w szkołach podstawowych. Na tej podstawie sądził Pan, że konduktor nie miał żadnych podstaw, żeby zażądać opłacenia kary za nie posiadanie ważnego biletu. Napisał Pan w tej sprawie odwołanie do Biura do spraw Przejazdów Bezbiletowych PKP w Gnieźnie, skąd nadesłano Panu nakaz opłacenia kary wraz z rosnącymi odsetkami i kosztami manipulacyjnymi. Prosił Pan nas o radę.

W myśl obowiązujących przepisów w PKP „za podróznego bez ważnego biletu na przejazd uważa się takiego podróznego, u którego organ kontrolny ujawnił: 1. brak biletu, 2. brak ważnego dokumentu uprawniającego do korzystania z posiadanego biletu ulgowego...”. Jak z tego wynika brak ważnego dokumentu uprawniającego do ulgi traktuje się w taki sam sposób, jak brak biletu w ogóle.

Dalej przepisy stanowią, że „przewóz osób w wieku ponad 10 lat odbywa się za opłatą ustaloną dla dorosłych”. Jak z tego wynika PKP nie kieruje się zasadą, na którą się Pan powołuje, że w Polsce obowiązuje powszechność nauczania. Owszem młodzież w wieku ponad 10 lat może korzystać z ulgowych opłat za przejazd PKP pod warunkiem posiadania uprawniającego do tego dowodu. W tym wypadku legitymacji szkolnej. Pana syn takiej legitymacji nie posiadał, a więc w myśl przepisów obowiązujących na PKP nie posiadał ważnego biletu. To jest dla PKP fakt niezależnie od tego, co Pan o tym myśli i czy to się Panu podobają, czy nie.

Co zatem Pan ma zrobić?

Zapłacić należność wraz z karą, odsetkami i kosztami manipulacyjnymi, gdyż będą one stale rosły i im dłużej będzie Pan z tym zwlekał, tym będą wyższe. A PKP posiada prawne upoważnienia do ściągania tej sumy przy pomocy różnych form egzekucji, na przykład przez zajęcie części Pana piąty.

I jeszcze jedna rada — skoro Pan o nią prosi — otóż nie radzę w przyszłości w odwołaniach wymyślać na kolejarzy, gdyż

nikt tego nie lubi, a już kolejarze szczególnie. Napisał Pan o konduktorze, który nie chciał uznać na słowo honoru, że Pana syn ma 12 lat i chodzi do szkoły: „nie dość, że jest mało uświadomiony, to także bardzo arogancki i bezczelny, a tym bardziej pod wpływem alkoholu i czyhający na „lewy” zarobek”. Jest to pomówienie, gdyż — jak sądzę — nie posiada Pan na to żadnych dowodów, a konduktor posiada dowód w postaci nieważnego na dany przejazd biletu. I wcale nie o to chodzi, że „z koleją nikt jeszcze nie wygrał”. Po prostu — w tym konkretnym wypadku — konduktor postąpił się jedynie obowiązującymi w PKP przepisami.

Być może nasza odpowiedź nie jest po Pana myśli i Pana nie zadowoli, ale taka jest po prostu prawda. Dziękujemy za pozdrowienia i życzenia.

REDAKTOR DZIURNY

### „ZRÓB TO SAM”

Nie lubię polemizować z redaktorami w zakresie pisanego reportażu, felietonu itp., ale ostatni felieton Zenona Porowatego pt. „Zrób to sam” — ODGŁOSY 28.06. — trochę mnie zasmucił i szczerze rozbałwił. Chodzi mi mianowicie o środkową część dotyczącą MPK. Nie wiem gdzie się wychował redaktor (oraz jego znajoma) jeżeli nie wie o takiej prostej rzeczy jak: „nasze” łódzkie MPK jest podzielone na 5 stacji autobusowych, a mianowicie: nr 1 — Kraszewskiego, nr 2 — Helenówek, nr 3 — Limanowskiego, nr 4 — Nowe Sady, nr 5 — Pabianice.

I jak sam to opisał; dyspozytor MPK skierował pana kierowcę linii 55 (Nowe Sady) na linię „B” (zajeżdźnia Limanowskiego). Biorąc pod uwagę, że był to kierowca o małym stażu, mający mgliste pojęcie o trasie linii „B”, zapytał się w kulturalny sposób pasażerów, jak przebiegała linia. Odpowiedziała mu cisza, wniosek z tego, że szanowne pasażery także nie mają pojęcia o całokształtnym przebiegu trasy linii „B”. Nie muszą znać oczywiście, ale niech nie wymagają tego od pana kierowcy, który jest z „innego państwa”. Wątpię czy się znajdzie kierowca MPK, który zna przebieg wszystkich tras w całej Łodzi, jest to nierealne i to powinien Zenon Porowaty wiedzieć.

Zenon Porowaty obawia się, że gdy kasownik będzie popyty, to mu każą naprawić. Bez obawy: w takim przypadku trzeba zameldować panu kierowcy i po sprawie, jeśli nie naprawi, to go zdejmie i będzie po kłopotach? Jasne! Chciałbym poznać człowieka, który w swoim zawodzie wszystko najlepiej wie, co i jak ma robić, jechać, pisać, operować zdając się tylko na swoją osobistą wiedzę i nie zasięgając żadnej opinii od innych.

Ze śmiertelnie poważnym poważaniem  
J.M.  
(Imię, nazwisko i adres znane redakcji)

P.S. Proszę ten list przeczytać Zenonowi Porowatemu.

Nie trzeba mi listu czytać, sam potrafię to zrobić. Umieć nie tylko pisać, ale i czytać. Wieg przeczytałem i chciałbym memu adwersarzowi odpowiedzieć, że zupełnie nieistotne jest to, gdzie się wychowałem, gdyż pasażer nie musi wiedzieć, iż „nasze” łódzkie MPK jest podzielone na 5 stacji autobusowych”. Jest to wewnętrzna sprawa MPK. Gdyby zajeżdźnia te z sobą rywalizowały i każda obsługiwała wszystkie linie, a pasażer miał prawo wybierania szybkiej kursującej i sprawniej działającej autobusów z którejś z pięciu stacji, to owszem byłby taką wiedzą zainteresowany. Teraz jest mu to obojętne.

Pasażer nie musi znać tras wszystkich linii autobusowych, gdyż powinien korzystać w pełnym zaufaniu z usług MPK. Może wszakże zdziwić się, gdy dowie się, że kierowca autobusu ma jechać linią „B”, ale jej nie zna. Nikt nie wymaga od wszystkich kierowców MPK, aby znali wszystkie linie, ale należy wymagać od dyspozytora, aby kierował do obsługi autobusu danej linii kierowcę, który zna trasę tej linii.

I sprawa trzecia. Wcale nie uważam, że „będzie po kłopotach”, gdy kierowca po usłyszeniu od pasażerów, że kasownik jest nieprawny, po prostu go zdejmie. Wydawało mi się, że w MPK powinny być służby specjalne, których zadaniem jest przygotowanie wozów do wyjazdu na trasę. Pracownicy takich służb powinni zajmować się sprawnością wszystkich urządzeń w wozach wyjeżdżających na trasę. Być może się mylę, ale wydawało mi się, że właśnie w czasie takiego przygotowania należałoby wymienić wszystko co niesprawne na sprawne. Kasowniki też.

Dziękuję za „śmiertelnie poważne poważanie”. Wolę jednak ton żartobliwy, właściwszy felietonowi.

ZENON POROWATY

### O POKÓJ I SZCZĘŚCIE DZIECIOM

Staraniem Komendy Chorągwi Łódzkiej ZHP im. Bohaterskich Dzieci Polskich, Wydziału Kultury i Biblioteki Harcerskiej przy ul. Zubardzkiej zorganizowano konkurs plastyczny pt. „Pokój i szczęście dzieciom”. Na konkurs wpłynęło 137 prac które zostały podzielone według grup wiekowych 6-9 lat, 10-13 i 14-16 lat oraz trzech technik — rysunku, malarstwa i collage'u. Jury miało dużo pracy nad ustaleniem, które z tych prac są najlepsze. Wśród najmłodszych pierwsze nagrody otrzymał w zakresie rysunku Marcin Kapuściński z kl. II 191 Szkoły Podstawowej, Karolina Berezowska przedszkolak z MDK Retkinia, a w zakresie collage'u Ania Wiśniewska z kl. II 37 SP. Wśród średniaków najlepszą z zakresu rysunków okazała się Basia Pawlak z 4 SP w Zgierz, w malarstwie — Ewelina Suchecka ze 166 SP, a w collage'u Magda Korczyk z 11 SP. W grupie najstarszych najlepszą rysowniczką okazała się Joanna Fiszer z 16 RBP na Bałutach, malarzką — Agnieszka Sobczak z 5 SP w Ozorkowie, a w collage'u Monika Adamczyk ze 162 SP.

Laureaci spotkali się z Wojciechem Zukrowskim, który opowiadał o dzieciach całego świata, a także podpisywał swoje książki.

MIECZYSLAW KOZAK



„Kim jestem? — zapytuje siebie  
to duchu człowieka.  
— Czy jestem tym, kim jestem?  
— pyta pośrodku ziemi!”

„Chilam Balam”, Ks. VIII.

„Największe zło, śmierć, nie dotyka nas ani trochę, gdyż póki jesteśmy, nie ma śmierci, a odkąd jest śmierć, nie ma nas” — tłumaczył ludziom Epikur. Można jednak wątpić, czy to błyskotliwe pocieszenie jest skuteczne; i czy kiedykolwiek było. Prawdopodobnie w tym właśnie punkcie filozofia i literatura — a nawet nauka — szczególnie wyraźnie przegrywają z rzeczywistością. I nie bardzo zanoszą się na smianę...

Mają kto zastanawia się dziś nad wcale nie tak wesołymi, jakby się wydawało, konsekwencjami nieśmiertelności; zarówno indywidualnymi, jak i społecznymi, mało kto przejmując się tym, co na temat śmierci mówią filozofowie i poeci, mało kto wreszcie, widząc jak umierają inni, myśli o własnym odejściu z tego świata — za to każdy chce po prostu żyć, i to najlepiej wiecznie.

Jednak wyrzucenie ze świadomości śmierci — co powoli staje się jedną z podstawowych „zdobyczy” współczesnej cywilizacji zachodniej — robienie z niej czegoś wstydliwego, brzydkiego, niemal niemodnego, wydaje się mieć znacznie więcej stron złych niż dobrych.

Kondycja ludzka — czy tego chcemy, czy nie — to nie tylko życie, ale i śmierć. Eliminacja jednego z tych elementów w pewnym sensie eliminuje także drugi, a przynajmniej głęboko go okalecza. „Powiedz mi jak umierasz, a powiem ci kim jesteś” — pisał Octavio Paz.

W Meksyku wszystkie

## DROGI DO ŚMIERCI

— i tym samym do życia — wiodą 1 listopada na wyspę Janitzio, położoną na jeziorze Patzcuaro, koło miasta o tej samej nazwie, w stanie Michoacán.

Podróż z Meksyku do Patzcuaro zaczyna się na stacji Autobuses Norte i trwa ponad 8 godzin. Jest to kwintesjencja podróży: szczególnie ekspresyjne w tej części miasta krajobrazy stolicy, mercado w Toluca, przez które godzinami trzeba się cierpliwie przeciskać, przepaść po obu stronach szosy, tyle tylko, że tym razem zalane soczystą zielenią, małe, wyglądające na opuszczone, białe miasteczka z osiepiętymi bluszczem i słońcu jaskrawymi barwami pekateli, pełnej rozrzutności, kopuły kościoła, Morelia, stolica stanu Michoacán, którą pullman omija szerokim łukiem i — jak na jakimś poglądowym rysunku — widać strzelające ponad niską zabudowę wieże świątyni, skąd Bóg dobroliwie obserwuje swój lud i — na wszelki wypadek — także strefę archeologiczną Charo...

Samo Patzcuaro, położone 60 kilometrów od Morelii, zamieszkuje dziś około 20.000 ludzi. To, co w Meksyku, Monterrey czy Guadalajarze liczy się na dziesiątki albo i setki, w najróżniejszych odmianach i stylach, w chaosie i niepotrzebnych powtórzeniach, tutaj znajduje się na ogół w jednym tylko egzemplarzu; ma się wrażenie, że duże miasto powstało przez proste sumowanie Patzcuaro, a mniejsze przez odjęcie jakiejś jego części. A w takim razie po co podróżować do metropolii, albo obijać się po wioskach, po co szukać kopii, gdy tu, między bazyliką Matki Boskiej Orędowniczej Zdrowia, porośniętym bougainvilleą Domem o 11 Patlach, strefą archeologiczną Tzintzuntzan i jeziorem rozciąga się oryginał. Gdyby zaś komuś i tego było jeszcze mało, zawsze może pojechać do Janitzio.

## NA PRYZYSTANI W PATZCUARO

enumuje kilkadziesiąt łodzi, każda jednak, szczególnie 1 listopada, stara się odpływać tylko z kompletem pasażerów, ponieważ zaś mieści około 60 osób jest więc na ogół trochę czasu, aby powalać się po nabrzeżu, obejrzeć stragany z bardzo tutaj tanimi wyrobami z wełny i skóry, a przede wszystkim zjeść porcję wysmienitych, małych rybek zwanych charro.

Już na łodzi, podczas prawie godzinnej rejsu, panuje nastrój fiesty. Zaczynają go Meksykanie; przedstawiciele innych narodów pamiętają jednak, że to Dzień Zmarłych i dopiero po jakimś czasie dają się wciągnąć w zabawę. Głównym przebojem jest „Yo soy marinero”, w którym śpiewa się między innymi, że aby być sekretarką, należy mieć krótką spódniczkę i jeszcze inną małą rzecz... Jak daleko plynie ta łódź od polskich, listopadowych cmentarzy...

Tymczasem Janitzio jest coraz bliżej; można już dostrzec dachy domów i stojący na szczycie olbrzymi pomnik Morelosa z wyciągniętą do góry ręką, w którym mieści się kilkupiętrowe muzeum współczesnego malarstwa.

Zbliżanie się do czegoś grozi na ogół rozczarowaniem; przyska fascynujący tajemnicą monolit, w którym wszystko wydaje się jak naclągnięta do granic możliwości, idealnie nastrojona struna, wylażą na wierzch szczytów, które, jak to szczytów, są takie i inne, lepsze i gorsze... i w sumie wydaje się, że tajemnica została rozwiązana, a w dodatku jest podejrzanie podobna do tego, co było dobrze znane od dawna, co zawsze znajdowało się dookoła. Trzeba nie byle jakiej mądrości, żeby nie poddać się temu wrażeniu; nie zawrócić do następnej tajemnicy, najlepiej kompletnie wymyślonej i dzięki temu bezpiecznej, bądź nie poddać z rezygnacją przekonaniu, że tajemnic w ogóle już nie ma...

W przypadku Janitzio te „życiowe” dylematy, metody i pokusy rozwiewają się natychmiast jak mocno przytęchły dym. Pierwszy pośpieszny spacer na szczyt — bo wyspa jest wyrastającym z jeziora wzgórzem — tylko wzbogaca przecucie z nabrzeża w Patzcuaro, a każdy następny rozbudza ochotę na jeszcze jeden.

## JANITZIO JEST JAK MIŁOŚĆ

od pierwszego wejrzenia, która trwa całe życie. Wobec napływu turystów każdy dom stojący przy każdej ze stromych uliczek zmienia się, przynajmniej na ten jeden dzień, w niewielką oberżę, albo warsztat i sklep jednocześnie. Nawet ta jedyna, zarezerwowana na cele prywatne izba, 1 listopada jest wystawiona na widok pu-

bliczny; w środku widać domowników siedzących dookoła kwietnej ofrendy przygotowanej dla zmarłych.

W miarę upływu czasu i zapadania zmierzchu światła z tych wszystkich otwartych szeroko szeszmów dziwnym sposobem coraz bardziej wypływają na ulice; spacer zamienia się w dziecianną podróź po gałązkach bożonarodzeniowej choinki... Jedyną enklawą ciemności jest na razie cmentarz.

Punktualnie o godzinie 20, na centralnym placu wyspy, służącym na co dzień jako boisko do koszykówki, zaczynają się występy. Zespoły z samej Janitzio i sąsiednich osad wykonują tańce oparte na starych, jeszcze prekolumbijskich, tradycjach pracy. Ludzie utrzymywali się tu głównie z jeziora i tańce powtarzają odwieczne ruchy rybaków, ożywiają przastare rekwizyty: chłopcy łapią dziewczęta w sieć, a kowrody co pewien czas mać i przerywa wzmożoną się nad głowami, wielka, biała ryba. Jesteśmy u źródeł symboli, które zrobiły światową karierę; ponad doktrynami i słowami spotykają się najprostsze gesty i przedmioty, tyle już razy

## RYSZARD NAKONIECZNY

# Dzień Zmarłych — Dzień Żywych

wykonywane i tyle razy używane, a jednak tutaj — jak u Faulknera — odkupywane po raz kolejny, choćby tylko służyły rozrywce turystów i miny tancerki były prawie obrażone...

A między jednym a drugim dostojnym tańcem na plac wbiegają dzieci w maskach starców. To refleks zabawy, odradzający siły chaosu i zamiany ról wkracza między codzienny rytm pracy zamykając koło, tworząc całość... Święto, które, jak pisał Octavio Paz, „jest prawdziwą rekreacją, to przeciwieństwo do współczesnych wakacji, nie zawierających żadnego rytuału ani ceremonii... indywidualistycznych i jałowych, jak świat, który je wynalazł”.

## GODZINĘ PRZED PÓLNOCĄ

wszyscy przenoszą się nad brzeg jeziora. Odbywa się tu polów ryb na łodziach zwanych mariposa (motyle). Łodzie, dzięki wachlarzowi sieci na rufie, rzeczywiście przypominają motyle, są używane do dziś i były używane od kiedy tylko sięgnął pamięć...

Ala ich ewolucje, lampki na dziobach, wyprostowane sylwetki ubranych na biało mężczyzn i kobiet, wszystko to razem tworzy nieoczekiwane przedłużenie tańców z centralnego placu. Nie ma miejsca i czasów wydzielonych na poszczególne czynności i emocje; wszystko jest

wszędzie i życie czeka już na jedno dopełnienie — na śmierć.

Miarowe bicie dzwonu ożywia cmentarz do-kladnie o północy, akurat wtedy, kiedy w Polsce cmentarze pustoszeją, bo jutro trzeba wstać do pracy, bo nie ma nic straszniejszego jak duchy umarłych...

Dzięki tysiącom ustawionych na grobach świec, teraz tu robi się najjaśniejsze. I najludniej; ścigający tłumnie znaną jeziora turyści w żaden sposób nie mogą się pomieścić między wysokim, pionowym zboczem z jednej strony i stromym urwiskiem z drugiej, wystają więc i chodzą po mogiłach; było nie było mogiła to zawsze kilkanaście centymetrów wyżej — lepiej widać i można zrobić ciekawsze zdjęcia...

Szybko jednak okazuje się, że oglądać nie ma tu właściwie specjalnie czego, a poza tym robi się fantastycznie, jak na Meksyk, zimno; czerwone latarnie wyladowanych po burzy łodzi zmierzają jedna za drugą w stronę Patzcuaro...

Koło drugiej na cmentarzu zostają wyłącznie ci, którzy przyjechali nie tylko po fotografie i widowisko. Jedni otaczają kamieniami mały

skrawek ziemi i piszą na płasku imię kogoś bliższego, kogoś, kto odszedł, choć niekoniecznie umarł, inni przysiadają po prostu obok nieuruchomionych sylwetek owiniętych w rebozos kobiet i śpiących dzieci nad grobem jeszcze wczoraj zupełnie sobie obcego człowieka...

I tak aż do 7 rano, do końca velorio, przy nieustającym kompaniamencie dzwonu, który nie odmierza już czasu, bo czas stanął...

„Gdyby nawet tak było, że tylko się cierpi, gdyby tylko takie były rzeczy na ziemi, czy dlatego należy zawsze się bać? czy dlatego należy zawsze się lękać? czy dlatego należy zawsze płakać?”

Kto zawsze powtarza,  
że tylko tak jest na ziemi?  
Kto stara sam się uśmiercić?  
Istnieje przecież zapal, istnieje życie,  
istnieje walka, istnieje praca!”

przypominają fragmenty z „Unehuetlatli” („Rozmowy starców”). I historia skromnego Nana-huatzina, który przed zarozumiiałym Tecuiztecatlem skoczył w ogień, aby stać się Słońcem. I azteckie „kwiaty i pieśni” znaną jeziora Texcoco. Całe pasmo uporzeczonych wysiłków mędrców, poetów i wojowników, jednostek i całych narodów, aby zwyciężyć śmierć, aby nie umierać żyjąc...

## PO TRZECIEJ PRZYCHODZI NA CMENARZ

młody ksiądz katolicki. Nie wiadomo właściwie co należy myśleć, gdy intonuje litanie wśród ofrend i jada dla zmarłych. Ale kościół katolicki zawsze był mistrzem kompromisu; cała jego historia uczy, że trwa tylko to, co godzi się na kompromis, reszta (jak choćby bezkompromisowe ruchy nazywane herezjami) szybko ulega wyrodnieniu i glinie — jak wielu wyznawców ma dziś ta szkoła. Na Janitzio kościół wspiera się na barkach Huiztillopohtli i Quetzalcoatl. Podejmowane przez chór słowa litanii pomijają jednak sfery zastrzeżone dla poszczególnych religii i wznoszą się prosto do tronu Boga wspólnego wszystkim ludziom, prosząc go, aby zachował nas hasta la una, hasta las dos... (do pierwszej, do drugiej)... Tylko pozornie życzenie to zostało już spełnione — miła bowiem czwarta. Każdy bez uczonej teologicznej egzegezy rozumie, że godziny znaczą tu co innego, a teraz ciągle jeszcze trwa początek...

Czas znacznie bieć dopiero o świcie, kiedy opadnie mgła i po parogodzinym biakanu się po jeziorze wysiadzie się w końcu na przystani w Patzcuaro.

Mimo, że jakimś cudem udało się dzień wcześniej znaleźć miejsce w hotelu, teraz nikomu nie chce się tam wracać, tym bardziej, że przy herbacie spotykamy Dario, pracującego w Kalfornii Kolumbijszka z nowym „Nissanem” i ochotę na włóczenie się po okolicy, a w witrynie jednego ze sklepików znajdujemy niewiarygodną fotografię przedstawiającą — jak głosi napis na odwrocie — wulkan Paricutin. Decyzja może być tylko jedna: jedziemy!

Droga do Uruapan — 60 kilometrów od Patzcuaro — wygląda komfortowo; nareszcie nie trzeba wpatrywać się ze strachem w przepaść i można spokojnie porozmawiać, a poza tym pokazujący się po obu stronach autostrady krajobraz robi wrażenie żywym przeniesionego z okolic Podhala.

## SIELANKA KOŃCZY SIĘ

kilka kilometrów za miastem, razem ze skrajem w boczną, szutrową drogę. Na dodatek humory psują sprzeczne informacje uzyskiwane od mijanych ludzi; jedni twierdzą, że Paricutin jest już tuż, inni zaś utrzymują, że nie dotrzemy do niego przed zmrokiem. Jedynie nieodmiennie okazywanemu przez Daria białowi zainteresowania stanem rezerw „Nissana” zawdzięczamy, że mimo to ciągle posuwamy się naprzód znajdując przy okazji coraz więcej odpowiedzi na pytanie, które dreczyło nas już od dawna, chociaż nikt głośno o tym nie mówił: czy przypadkiem obchody Dnia Zmarłych nie są tylko turystyczną atrakcją, podczas której dla kilku dolarów pozwala się nawet deptać groby bliższych?

Każdy, najmniejszy cmentarz, który wybiega nam na spotkanie, potwierdza wciąż na nowo, że jednak nie; w te rejonu obcy już się prawie nie zapuszczają, a wszędzie widać ofrendy i inne ślady zakochanego parę godzin temu velorio. Turyści turystami; bez nich może nieco skromniejsze, ale i bardziej radosne byłyby tańce, na pokaz mariposa trzeba by pewnie zacząć do następnego polowu, większość straganów nie podniosłaby żaluzji... Ale nocne czuwanie na cmentarzu pozostałoby nienaruszone — też biłyby dzwon, odmawiano by litanie i też stanąłby w miejscu czas; i to nawet nie na pięć, ale na siedem godzin.

Po kilkudziesięciu kilometrach delirycznej jazdy zatrzymuje nas niski, starszy mężczyzna i podtyka pod nos upstrzony pieczęciami i ozdoblony jego własnym zdjęciem papier. Wynika z niego, że Jorge jest absolutnie i wyłącznie uprawniony do pokazywania przyjeźdnym wulkanu Paricutin i okolic, oczywiście za odpowiednią opłatą. Dario zaprasza tak zdecydowanie zalecającego się przewodnika do samochodu i zafascynowani urodą mieszkańców — bez względu na wiek i wiek — triumfalnie przemierzamy Tlapujuhua, niewielką wioskę zamieszkałą przez Tarasków.

Miny nam trochę rzędną dopiero, kiedy okazuje się, że do samego Paricutin trzeba jechać konno, a droga zupełnie nie przypomina manozu; wędzle przez las pełen osuwających się, stromych, kamienistych rumowisk. Otuchy dodają nam tylko nieliczni wracający; po pierwsze krzyczą jeden przez drugiego, że „absolutamente vale la pena” (absolutnie warto), no i są żywym dowodem, że można dotrzeć na miejsce i z powrotem bez większego szwanku.

Im dalej w las, tym mniej drzew, a przede wszystkim coraz ciszej — żadnego ptaka, żadnego szmeru... nic — jakby poprzedzała nas śmierć.

Wreszcie ściana drzew urywa się nagle i otwiera widok, który na dobrą sprawę w ogóle nie powinien istnieć: olbrzymie, obejmujące teren kilku kilometrów kwadratowych, czarne, postrzępione w najbardziej fantastyczne kształty pole lawy, z którego wyrasta biała, nienaruszona wieża kościoła i górne fragmenty nawy — jedyne, co zostało z dwu wiosek po wybuchu wulkanu Paricutin w roku 1943. Sam wulkan, też czarny, regularny, ze ścietym wierzchołkiem wznosi się nieco dalej zamykając perspektywę.

## I WSZĘDZIE ABSOLUTNA CISZA.

Trudno o lepsze dopełnienie velorio na Janitzio. Trudno o lepszą metaforę Meksyku, całego świata. I każdej z jego części, z jego chwil, z osobna. Kiedy razem z zapadającym błyskawicznie zmrokiem odjeżdżamy śpiewając jak po trafimy najgłośniejsze — żeby tylko przekrzyknąć ciszę — piosenki polskie i hiszpańskie, a Jorge usiłuje nam wmówić, że ustalona wcześniej stawka jest nie „por una persona” (na jedną osobę), ale „por una cabeza” (na jedną głowę) i wyraźnie ma ochotę liczyć także głowy koni, widzimy opuszczającego się na samotną wieżę białego orła, pierwszego zwiastuna wracającego życia. Pewnie niedługo przyłecą inne, potem ruszy las... „Istnieje przecież zapal, istnieje życie, istnieje walka, istnieje życie”...

Są to może najlepsze życzenia jakie można złożyć Meksykowi i sobie samemu. Qué viva!...





# Falszywy mnich

EUGENIUSZ IWANICKI

Do mieszkań w Teofilowie, Radogoszczu, a także w kilku miejscowościach podódzkiej pukał młody człowiek ubrany w zakonny habit. Kiedy gospodarze otwierali drzwi, braciшек zakonny witał ich Słowem Bożym, jeśli były dzieci — głaskał je po główkach, Uśmiechał się przepraszająco, a zarazem niesmiało.

Wizyta przedstawiciela duchowieństwa, szczególnie wizyta w okresie poprzedzającym Boże Narodzenie nie jest czymś nadzwyczajnym: księża, zakonnice roznoszą przecież w tym czasie opłatki. Natomiast wizyta taka w styczniu i do tego zakonnika, a reguły budzi zainteresowanie. Ale bohater niniejszej opowieści uprzedzał pytania, nie dopuszczając do głosu gospodarzy, którzy gościnnie wpuszczali go do mieszkań.

— Szanowni państwo! W mieście Krakowie buduje się obecnie seminarium, którego jestem reprezentantem. Sami państwo wiecie, jak dziś trudno o fundusze, szczególnie jeśli chodzi o tego typu budowlę. Więc ja i moi bracia wędrujemy po Polsce i przyjmujemy datki od uczynnych. Wierzę, że nie odmówicie wsparcia naszemu szlachetnemu dziełu.

Gospodarze nie wiedzieli z reguły co odpowiedzieć. W kościele, kiedy przychodził położyć pieniądze na tacę, sprawa jest dużo prostsza: zerka się ile rzucił najbliższy sąsiad i według tego kładzie się swój banknot. A tu? Kłaztor jest budowlą po-

ważną, przy dzisiejszej drożyznie i deficycie materiałów budowlanych będzie kosztować paręset milionów złotych, więc i datki chyba muszą być jakies specjalne. Z drugiej strony wiadomo, że tego rodzaju obiekty powstają z dotacji państwowych, więc nie ma co szafować groszem, gdy tyle akurat wydatków czeka rodzinę w najbliższych dniach i miesiącach.

— Ile? — pyta zazwyczaj gospodarz.

— Co łaska łaskawa pani, co łaska. Każda złotówka przybliża nas do celu.

— Jestem ciekawa ile dają inni?

— Różnie, bardzo różnie. Mam tu listę ofiarodawców może pani zerkać. O proszę, Zieliński dał 200 zł, a Wójciki — 250. Nie wysokość sumy się liczy, a serce, bo przecież intencja jest jednoznaczna.

Gospodarze naradzają się po cichu. Zazwyczaj żona jest za tym, by nie żałować, bo biedni braciшекowie nie mają gdzie schronić utrudzonych głów, natomiast mężowie są bardziej powściągliwi i jakby mniej chętni.

Brat zakonny jednak panuje nad sytuacją. Rozkłada na stole swoje „Księgi wpłyłów”. Są to luźne kartki wydarte z jakiegoś księgi buchaltaryjnej mającej nadruk w rubrykach „winię” i „ma”. Na tych to kartkach od brzegu strony wpisane były nazwiska ludzi, którzy wpłacili na budowę seminarium duchownego (wpisywał tylko nazwiska, bez imion i adresów).

W kolejnej rubryce „winię” wstawiał otrzymaną kwotę. Natomiast w rubryce „ma” do każdej otrzymanej sumy dodawał kolejną uzyskaną od kolejnego ofiarodawcy. Natomiast w dalszej części owych list figurują podpisy „dobrych chrześcijan”, którzy nie poskąpili grosza na budowę uczelni dla przyszłych alumnów.

— Myśle, że dwieście wystarczy — mówiła niesmiało pani domu.

— Kochanie — temperował ją mąż — pomysł: komorne nie zapłacone, Jozasia chodzi w podartych bucikach a pojutrze przychodzi hydraulik...

— To może 150, co?

Braciшек zakonny szybko podchwycił:

— Zapisuję 150 złotych.

— Dam stówę — mówi zdecydowanie mąż. — Proszę zrozumieć, mamy poważne wydatki...

— Rozumiem. Proszę tu podpisać. A może państwo pragniecie zamówić mszę świętą w intencji wiecystej?

— Co to za msza?

— Za dusze zmarłych wazszych najbliższych. Taka msza kosztuje zaledwie 500 zł i zostanie odprawiona w klasztorze w Łagiewnikach.

— Nie, raczej nie — sumitował się gospodarz. — Na wspominki daliśmy na Wszystkich Świętych...

— Nie namawiam, wasza wola.

Potem brat zakonny dawał dzieciom — jeśli były w mieszkaniu — „święte obrazki”, żegnał się i wychodził. Na obrazkach widniała pieczęć: „FRATER PROFES. O. NIKODEM TWORZYDŁO ORDO FRATRO MINORUM”.

Tak zakończył się krótki żywot przestępcy Pawła Romana Tworzydła. 19-letniego chłopaka urodzonego w Bochni, zameldowanego we wsi Królówka woj. tarnowskie, kawalera, niepracującego i bez zawodu, mającego zaledwie ukończoną szkołę podstawową, byłego pensjonariusza klasztoru Braci Mniejszych w Zakliczynie nad Dunajcem.

Paweł Roman Tworzydło ma nieciekawą życiorys: w 1984 r., a więc jako pięcioletni, wstąpił do wspomnianego zakonu, bo życie ciał było za trudne. Sądził, że być może tam, za murami znajdzie spokój, wikt i żywot bez pracy. Jak sam mówi, mocno się przelicył i rozczarował. Przede wszystkim w klasztorze kazano mu pracować czego Paweł Roman nie widział i nienawidził, może bardziej niż diabła i otni piekielnych. Będąc w areszcie napisał:

... w lipcu 1984 r. wstąpiłem do zakonu w Krakowie, gdzie przebywałem przez okres około 11 miesięcy. Będąc w tym seminarium tj. w klasztorze warunki były takie, że moja psychika ludzka nie zdała tzw. egzaminu. W sytuacji takiej postanowiłem opuścić klasztor, co też uczyniłem w miesiącu sierpniu 1985 r. wyjeżdżając do swojego mieszkania zamieszkania. Ponieważ rodzice nie chcieli znać podjętej przeze mnie decyzji, stwierdziłem, że nie chcę mieć z nich...

Pozostaje pytanie: co to za pracę musiał wykonywać, skoro na samo jej wspomnienie, odczuwa wstręt. Okazuje się, że „był zmuszany do prac fizycznych przy zbieraniu ziemniaków i orce”. A do tego zmuszono go do nauki. Nie, tego się po regule klasztornej nie spodziewał. Owszem, liczył, że trzeba będzie się modlić, ale żeby zaraz pracować i się uczyć?

Jak napisał w areszcie, po ucieczce z klasztoru pojechał do domu, licząc, że być może rodzice przyjmą go pod dach i będą nadal żywić i ubierać. I tu

go czekała niespodzianka: matka nie otworzyła mu nawet drzwi nie wpuszcila do mieszkania, a na dodatek powiedziała, że jego los ja nie a nie obchodzi. I lepiej niech się jej nie pokazuje na oczy.

Jesli to prawda — a tak zeznał — to widać przez całe osiemnaście lat życia zdrowo, żalał za skórę owej biednej kobiecie. Musiały to być niezwykle ważne przyczyny, dla których matka wyrzekła się własnego syna.

Paweł Roman Tworzydło nie tragiował: nie to nie. Wsiadł w pociąg i przyjechał do Łodzi. Miał ze sobą niewielki bagaż, a w nim szatanie zakonna. Mieszkał u różnych kobiet pozostając na ich utrzymaniu, bowiem nadal miał wstręt do pracy. Z reguły było tak, że przez parę miesięcy udawał, iż szuka zatrudnienia, aż kobieta miała tego dość i kazała mu się wynosić. Wówczas znajdował inną. I znów się walczył. Aż wpadł — tak mu się wydawało — na genialny pomysł: będzie kwestować na rzecz fikcyjnego seminarium duchownego, które buduje się w Krakowie. Przecież nikt tego nie sprawdzi, a szata duchowna zawsze w narodzie budziła szacunek. Aby uwiarygodnić swoją misję zbierania datków, u grawera zamówił pieczęć, treść której przytoczyłem na wstępie niniejszego artykułu. Grawer nie pytał ani nie żądał dokumentów, czy choćby jakiegos zaświadczenia potwierdzającego prawo Pawła Romana Tworzydła do używania takiej pieczęci.

Aby mistyfikacja się nie wydała, kobiecie, z którą ostatnio dzielił mieszkanie, opowiedział zmyśloną historię, że on właściwie z natury jest poeta, istota subtelna i delikatna, ale mającą w sobie „iskrę Bożą”. „Mówiąc prościej — ma talent! I to wielki! Pisze przede wszystkim wiersze o treści religijnej. Woz ję do klasztoru w Łagiewnikach i tam sprzedaje zakonnikom, za co otrzymuje godziwą zapłatę. Potem zakonnicy do tych wierszy dopisują

muzykę i śpiewają je nie tylko w klasztorach, ale i w kościołach całej Polski. Stąd właśnie ma zawsze pieniądze. I to jest jego praca ku chwale Boga i kultury narodowej.

Jednakże w Łodzi wśród parafian zaczęto podbijać, a jakiś mnich chodzi od drzwi do drzwi i zbiera pieniądze. Zapytani księża nie na ten temat bliższego nie wiedzieli, ale przyrzekli sprawę się zająć. I zajęli się na tyle skutecznie, że już na początku stycznia 1986 r. z ambonu zaczęto ostrzegać przed samozwańczym braciшекiem zakonnym. A gdy Paweł Roman Tworzydło — na skutek zbiegów — zadzwonił po raz drugi do mieszkania, w którym był nie tak dawno, sprawa stała się zupełnie jasna.

28 stycznia 1986 r. fałszywy mnich ponownie pojechał na Teofilów. Jakoś polubił tę dzielnicę, a może dawano tu więcej niż gdzie indziej? Gdy przemierzał wśród bloków, podeszło doń dwóch mężczyzn:

— Niech ojciec schroni się w kościele, bo tu jakiś pijak wygraża, że ojcu kości porachuje!

Paweł Roman Tworzydło biegiem ruszył do kościelnych drzwi, za którymi czekał już na niego proboszcz. Bez specjalnych ceregieli ksiądz wylegitymował braciшекa zakonnego, a potem wezwał milicję.

Teraz eks-zakonnik pekuje na rozprawie sądowej. I pisze listy do władz. W jednym prosi, by go nie trzymać w areszcie, bo przecież jest jeszcze bardzo młody, nie zdążył poznać życia i tak na dobrą sprawę wszystko jeszcze ma przed sobą. To ostatnie stwierdzenie, jeśli jest szczere, winno stać się dla Pawła Romana Tworzydła jedyną szansą: powinien mieć pewność, że przed nim jest tylko i wyłącznie uczciwe życie. Każda inna decyzja zaprowadzi go kiedyś ponownie na lawę oskarżonych.

# Małe friko

RYSZARD BINKOWSKI

1.

W bałuckiej cichej dzielnicy, przy małej ruchliwej brukowanej uliczce stał parterowy drewniak, do którego wchodziło się od podwórza. Poddasze zajmowała niepracująca Hilda Koraj wraz z mężem emerytem oraz dorosłą córką i wnuczką.

Na parterze, w pokoju z kuchenią, mieszkała rodzina Alików z dwójkiem nieletnich dzieci Zofia Alik, ekonomistka ze średnim wykształceniem, nie chodziła w futrach i nie obwieszała się świecidełkami niby choinka, jednakże uznawano ją za kobietę zamożną. Pracowała w prywatnym zakładzie rzemieślniczym swego męża Albina, z zawodu mechanika, który ostatnio kupił działkę i zaczął się budować.

Kiedy Alik sprowadził się przed laty do drewniaka, zaczął bardzo skromnie i nieszczęśliwie. Włożył mianowicie złotą obrączkę do torebki żony, żeby nie zabrudzić ślubnej pamiątki przy malowaniu mieszkania, i już jej więcej nie oglądał. Obrączki, rzecz jasna, bo żona postawiła wózek na podwórzu, sabrała dziecko do izby, a gdy wróciła, w wózku nie było już ani torebki, ani obrączki, ani trzech tysięcy złotych w drobnych banknotach.

2.

Pewnego dnia Alikowie wrócili z działki budowlanej, zjedli obiad, popalili, odpoczęli i rzemieślnik ponownie u siebie w dzielnicy. Alikowa posprzątała, umyła w kuchni podłogę krytą gumolem, zabrała dzieci i pojechała za mężem, aby pomóc mu w tej cholerniej budowie, bo w tych czasach znani są najcięższe ludowe przekleństwa: „Obyś budował się sam”.

3.

Zanim jednak przybyła milicja, Alikowa wróciwszy od Korajowej dokonała w pokoju kolejnego odkrycia, które, mówiąc ogólnie, nie należało do przyjemnych. Rzecz dotyczyła porcelanowego puzderka w kredensie. Wieczko było uchylone, a w środku pustki. Zniknęła złota obrączka o wartości co najmniej trzydziestu tysięcy złotych, dwa złote pierścienie — jeden z prostokątnym błękitnym oczkiem, drugi z owalnym koszykiem — każdy o wartości pięćdziesięciu tysięcy złotych. Poza tym zginął srebrny sygnet z czarnym kamieniem ze srebrnym orzełkiem w koronie, dwie pary srebrnych klipów, trzy srebrne łańcuszki razem z pudełkiem „Pamiętka chrztu” i inne przedmioty. Okazało się przy tym, że w szafie w kuchni brakuje jednak garnitur i kuponu materiału, a w lodówce — kilograma kiełbasy toruńskiej i kilograma mięsa zwanego karczemem.

Był to jakiś dziwny, swarowany wianowyc. Albo nie przygotowany do stoku, albo w inny sposób. Nie widać kołucha, telewizora czy radiolobiornika, a palasz się na kielbasę i dwa zegarki produkcji radzieckiej. Mimo to złodziejski łup wycocono na co najmniej dwieście tysięcy.

Milicjanci są to specjaliści od dobrych uczynków, świadczą usługi na rzecz osób pokrzywdzonych, ale znają też dobre grypsery, różne ciekawe słowa i metody przestępczego działania. Tym razem uznali, że przestępca mógł zapukać do pierwszych lepszych drzwi i stwierdziwszy, że nikogo nie ma w mieszkaniu, dokonał cichego włamania na „friko”.

Rodzina pani Hildy znalazła się poza kręgiem podejrzenia. Przeszukanie w mieszkaniach najbardziej podejrzanych nie ujawniło nic z rzeczy skradzionych. Brat pani Alikowej też był niewinny. Niezbitym alibi wykazał się również niejaki Markowski, sąsiad z tej samej

3.

ulicy, który miał się żenić i szykował luźne wesela, chociaż nigdzie nie pracował. Kryli go bogaci teściowie.

Inspektor techniki kryminalistycznej znalazł na gumolem pojedyncze ślady piasku, które nie nadawały się do zabezpieczenia. Ale za to w okolicach wybitego otworu ujawnił na szybie liczne ślady linii papilarnych i zabezpieczył je prawidłowo na czarnej folii.

Ślady te nie należały do Alików. Pozostał więc drobiaz. Trzeba było znaleźć faceta, którego linie papilarnie pasowałyby do śladów pozostawionych na szybie.

4.

Upięknio trochę czasu. Pewnego dnia podczas pełnienia obowiązków służbowych młodszy chorąży trafił wreszcie na właściwy trop. Jedną z wesolych panienek, która większość życia spędzała w melinie u Jerzyka na Balutach, zapodała z męciwym biyskiem w oku, że widziała faceta, który szukał kupca na biyskotki. Nośił je pod kłapą marynarki spięte agrafką, a w kieszeni miał pudełko od chrztu z rozetowanym srebrnym łańcuszkiem w środku.

Panianka nie potrafiła podać rysopisu ani nazwiska domokrajcy-jublera, ponieważ w trakcie stosunku cielesnego z nim była pijana. Zdenerwowała się, bo wredny jubler zdradził ją, był z inną wesolą paniąką o imieniu Malwina.

Rozpytana na okoliczność zdrady Malwina przyznała ze skrucha, iż współżyła cielesnie z rzekomym jublerem, niewiele jednak zaszła przyjemności, albowiem partner był w sztok pijany, a ona tylko ciut mniej. Zapamiętała jedynie, że nośił ksywe „Bambus” i że z całą pewnością nie był lodzianinem. Poza tym Bambus miał na palcu sygnet z orzełkiem.

To już było coś. Niestety, Bambus był nieuchwytny.

Nie sposób było go tak od razu zdjąć, bo faktycznie nie był on zameldowany w Łodzi. Pochodził z Kalisza i pedził żywot wrednego kawalera. Z zawodu był ślusarzem precyzyjnym, który swoje zdolności manualne wykorzystywał na naprawy zamków. Gdziekolwiek się pojawiał, oczyszczał ze zbędnych rupiec jakiś samochód, garaż, sklep lub kiosk. Mieszkania obrabiał na „friko”. Nieco trudniej szło mu z foras-

waniem zamków więziennych bram od wewnątrz. Siedział pięć razy.

Po ostatniej odsiadce droga życia Bambusa skrzyżowała się z drogą podobnej jemu wędrownicy w stanie panieńskim, która nazywała się Maria Golińska. Zakończyła się ona w Bambusie z tego powodu, że ten nie pozwolił jej okraść. Golińska bowiem pochodziła ze Śląska i jeździła po kraju w celach erytyczno-pijacko-złodziejskich, polując na podstępnych samotnych mężczyzn. Namawiała ich na wódkę, odpłacała za poczęstunek własnym ciałem, po czym okradała szczęśliwców z najdroższych przedmiotów. Brała pieniądze, wódkę, portfele i portmonetki, nie gardziła też fajką, kawalkiem mydła czy zwykłą miotłą lub królikiem z komórką.

5.

Wpadała najczęściej przy sprzedaży fantów innym mężczyznom, którzy byli trzeźwi i mniej lasi na jej wdzięki. Miała na koncie osiem wyroków. Ostatnio ukradła na Mazurach, a gdy właścicielka złapała ją na gorącym uczynku, Golińska walnęła ją cegłą (właścicielkę, nie kure) i zamroczyła, po czym zbiegła z lupem, była jednak tak pijana, że zderzyła się z rowerzystą, którym okazał się sierżant MO z wiejskiego posterunku.

Maria Golińska od lat była zameldowana w Łodzi, toteż w dowód miłości przycięła złąkanego Bambusa.

5.

Przez dwa tygodnie kochankowie żyli sobie szczęśliwie i spokojnie, niby nowożeńcy w początkach złodziejskiego młodowego miesiąca, ale wszak nie można żyć wiecznie samą miłością. Fundusze się wyczerpały i Golińska musiała nadąć Bambusowi jakąś robotę. Wybrała znany sobie drewniak przy cichej bałuckiej ulicy, ponieważ jednak była pijana, nie mogła nawet stanąć na lipku. Pozbawiony obstawy i środków transportu Bambus nie mógł więc zabrać kołucha ani telewizora, czy też innych cennych przedmiotów, jak chociażby lodówkę z całą zawartością. Wziął tyle, ile mógł udźwignąć. Starczyło tego na trzy tygodnie sielskiego życia.

Pewnego wieczoru na melinie u Jerzyka opijano przy telewizji ostatki. Jerzyk oświadczył wielkodusznie, że mógłby postawić jeszcze litr, ale potrzebne

wszyscy chcieli się pić. Ujął się więc honorem i wymknął się cichcem z meliny, aby machnąć na „friko” upatrzoną wcześniej wille. Niestety, nie uszło to uwadze mocno pijanej Golińskiej. Pomyślałszy, że Bambus chce ją zderzyć z jakąś inną Malwiną, wybiegła na ulicę. Zobaczyła, że Bambus znika w ogródku przed okazałą willą. Zataczając się podeszła tam i zaczęła okropnie bluźnić, nie wiedząc, iż Bambus wybił już szymbę i wdął się do pokoju w celach jak najmniej erytycznych.

— Wylaż, Bambus! — wrzeszczała jak opętana. — Wylaż, taki owaki, bo się spał razem z tą dziwka!

No i Bambus wyszedł. Miał w rękach foliowy worek. Kiedy zadowolona kochanka zjechała do środka, natychmiast zmiełka jej rura. Objęła go wpol i zaprowadziła z dowodami czułości na melinę.

Pech chciał, że te niezwykle scenie obserwowała właścicielka sąsiadka. Powiadomiła ona kuzynka właścicielki willy, ten zaś obajrzał wnętrze i wybita szybę i wezwał milicję.

Kiedy milicjanci wtargnęli do meliny, na stole uśmiechała się promiennie nowa półlitrowka. Za głową rozwalonego w fotelu Bambusa szmerło radio marki „Jovita” wartości dziesięciu tysięcy złotych. Na podłodze ba-wiła się robotem kuchennym Maria Golińska, a meliniarz Jerzyk przymierzał skradzione spodnie typu dżinsy.

Bambus nazywał się Jarosław Bożek i miał bogato ilustrowaną kartę daktyloskopijną. Porównano mikrofotografie dowodowe śladu linii papilarnych czterech palców lewej ręki zdjętego z szyby u Alików z odciskami palców Bożek z karty daktyloskopijnej. Wszystkie możliwe cechy okazały się wspólne i Bożek przyznał się do przestępstwa.

Jednakże po odpowiednim przeszkoleniu w areszcie Bożek ogłosił list otwarty, w którym stwierdził, iż przysnął się do włamania do willy, bo prosiła go o to Golińska, która sama była dokonała tego włamania. Natomiast z mieszkania Alików skradł tylko parę drobiazgów, a resztę „przypuściła” mu Alikowa, która sama się okradła, wszystkie przepuściła i bała się męża. A tak naprawdę, to on przysnął się tylko dlatego, że był represjonowany przez milicjantów, toteż aby przeżyć, zmuszony był wygadywać głupstwa.



W dzień Wielkiejnocy udalem się po mszy do dworu. Król podał mi rękę do pocałowania i pozwolił mi klęknąć na posadzce parkietowej. Spytal mnie, dlaczego noszę rękę na temblaku — co było z góry ułożone — a ja mu odpowiedziałem, że mam reumatyzm.

— *Wystrzegaj się waszmość na przyszłość podobnego reumatyzmu* — rzekł do mnie król z lekkim uśmiechem.

Zobaczywszy się z królem, kazalem się prowadzić do Branickiego, bo sądziłem, że winienem go odwiedzić. Podczas mej choroby dowiadywał się każdego dnia o moje zdrowie i odesłał mi szpadę. Musiał on jeszcze leżeć w łóżku przynajmniej z sześć tygodni; przybitka mego pistoletu dostała się po trosze do rany i trzeba było tę ostatnią znacznie powiększyć, by wydobyć kłak, który zaraz bardzo opóźniał kurację. Król mianował go niedawno łowczym wielkim koronnym. Ta godność stała w hierarchii poniżej podstolego, wszelako znacznie była intratniejsza. Mówiono, że król udzielił mu tej łaski dopiero na wiadomość, iż Branicki jest dobrym strzelcem, gdyby jednak nie był miał ważniejszego powodu, byłby musiał mieć nadat ten urząd, bo owego dnia strzelałem celniej od Branickiego.

## WIZYTA U BRANICKIEGO

Gdy wszedł do obszernego przedpokoju, zjawienie się moja wywołało wielkie poruszenie wśród wszystkich obecnych oficerów, strzelców, paziów i lokai. Spytalem adiutanta, czy pana hrabiego będzie można zobaczyć, i prosiłem, by mnie zaanonsował. Nie dawasz mi odpowiedzi, westchnął i wszedł do wnętrza. Zaraz potem otwarły się oba skrzydła drzwi i ten sam oficer, skloniwszy się głęboko, prosił mnie, bym wszedł.

Branicki leżał na łóżku we wspianym szlafroku, oparty o poduszki ozdobione pasową wstążką. Błady był jak śmierć. Powitał mnie, zdejmując czapkę z głowy, ja zaś odezwałem się:

— *Przyszedłem złożyć waszmości powiniń szacunek i oświadczyć, że jestem w rozpacy, iż nie potraktowałem lekko blachostki, na którą mogłem być, będąc roztrójnym, nie wżać.*

— *Niepotrzebnie sobie to wyrzucasz, mości Casanova.*

— *Hrabia, wiele jest łaskaw. Przyszedłem też oświadczyć, że waszmość zrobił mi zaszczyt, który znacznie przewyższa obrazę i razem prosić waszmość o opiekę, gdyż twój przyjaciele, duszy swojej nie znając, uważają, że muszą być moi wrogami.*

— *Przyznaję, że cię obraził; ale przyznaj też i waćpan, że ja nie stawiałem! Co się tyczy moich przyjaciół, oświadczam, iż jestem wrogiem każdego, kto by nie oddawał ci winnego szacunku. Biniński został zdegradowany i pozbawiony szlachectwa; szlachta spotkała go kara. Opiekę moją waćpanu nie trzeba: król poważa cię tak samo jak mnie i jak każdego, kto zna kodeks honorowy. Siadajże i bądźmy przyjaciółmi. Przynieś panu filiżankę czekolady! Wydobrześ już waćpan?*

— *Najzupełniej, panie hrabio, ręką tylko jeszcze ruszać nie mogę; nastąpi to nierychło.*

— *Trzymaj się waćpan dzielnie wobec tych oprawców-chirurgów; świadczy o tyle szlachetnie o twojej roztrójności, ile o mego. Miałeś waćpan szusność, utrzymując, iż ci głupcy sądzili, że mi się przypodobają czyniąc z ciebie kalekę. Sądzą oni o sercu sędziwym według własnego. Wieszuję waćpanu, iż nie słuchał tych ludzi, a zachował rękę. Ale wciąż jeszcze nie pojmuję, jak moja kula mogła wejść ci w rękę, skoro ranita cię w brzuch.*

W tej chwili przyniesiono mi czekoladę i wszedł książe podkomorzy spoglądając na mnie z uśmiechem. W pięć minut pokój pełen był dam i kawalerów, którzy usłyszawszy, że jestem u podstolego, pragnęli z ciekawości zobaczyć, jak się zachowamy. Widziałem jasno, że nie spodziewali się zastać nas w takiej zgodzie i że byli przyjemnie zdziwieni. (...)

Po wymienieniu wielu niefrasobliwych i interesujących słów pożegnałem się z bohaterem i udałem się do marszałka wielkiego koronnego, hrabiego Bielińskiego, brata hrabiny Salmour. Ten starzec, liczący już dziesięć lat, reprezentował z racji swego urzędu najwyższą instancję sprawiedliwości w Polsce. Nie rozmawiałem z nim nigdy; wszelako on bronił mnie przed gwałtami Branickiego i darował mi życie. Z tego powodu pragnąłem ucałować jego rękę.

## KRÓL ŻĄDAŁ ULASKAWIENIA

Kazalem się zaanonsować i wszedłem. Godny starzec przyjął mnie słowami:

— *Co waszmość pana do mnie sprowadza?*

— *Pragnąłbym ucałować dłoń memu dobroczyńcy, który raczył podpisać moje ulaskawienie i pragnąłbym przyrzec waszej ekscelencji, że na przyszłość będę już roztrójniejszy.*

— *Radzę tak waszmości. Za swe ulaskawienie podziękuj królowi, bo gdyby nie był wyraźnie rozkazał sporządzić tego ulaskawienia, ja byłbym cię kazał ściąć.*

— *Pomimo okoliczności łagodzących?*

— *Cóż to są za okoliczności? Prawdaż to, żeś się waszmość pojedynkował?*

— *Nieprawda; byłem bowiem zmuszony do obrony. Można by mnie winić o udział w pojedynku wówczas, gdyby hrabia Branicki, zgodnie z naszą umową, był mnie zawiódł w jakiejś miejscy poza obrębem starostwa; on wszakże zmusił mnie bić się w tym miejscu, na które mnie rozmyślnie zawiódł. Gdyby waszą ekscelencję powiadomiono dokładnie, nie byłbyś mnie posłał na ścięcie.*

— *Nie wiem, co bym był zrobił. Król żądał, bym cię ulaskawił; to dowód, że podług niego zastępujesz na to i przeto ci wieszuję. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś przyszedł do mnie jutro na obiad.*

Dostojny ten starzec odznaczał się niepospolitym umysłem. Był w wielkiej zażyłości ze słynnym Poniatowskim, ojcem obecnego króla. Nazajutrz opowiadał mi o nim wiele podczas obiadu. (...)

Postanowiłem złożyć wizyty niezadowolonym, którzy nowego króla uznali tylko pod przymusem, a także tym, którzy w ogóle odmawiali mu swego uznania. Wybrałem więc w podróż z jednym tylko służącym i z Campionim, który miał dla mnie szczerą i wierną przyjaźń, a w potrzebie okazywał się człowiekiem mężnego serca i silnej ręki.

Książę Karol kurlandzki wyjechał do Wenecji. Poleciłem go moim mężnym przyjaciółcom, tak że miał on wszelkie powody do zadowolenia. Ów pastor anglikański z Petersburga, który polecił mnie księciu Adamowi Czartoryskiemu, przybył do Warszawy. Jadałem wraz z nim u księcia, a król, który go lubił, biał udział w obiedzie. Przy stole zesła rozmowa na pania Geoffrin, dawną przyjaciółkę króla; miała w krótkim czasie przybyć do Warszawy na zaproszenie i na koszt jego królewskiej mości. Król mimo trosk, jakich nie szczędził mu co dzień jego przyjaciele, był zawsze duszą każdego zebrań, które swą obecnością zaszczycał. Monarcha, któremu pragnąłbym oddać zupełną sprawiedliwość, miał wszakże tę słabość, że dawał posłuch oszczerstwom, a przez to dał się odwieść od tego, by mi los zapewnić. Miałem jednakże szczęście przekonać go później, że obszedł się ze mną niesprawiedliwie.

## WYJAZD DO LWOWA

W sześć dni po odejściu moim z Warszawy przybyłem do Lwowa, zatrzymawszy się po drodze dwa dni u młodego hrabiego Zamoyńskiego, który miał czterdzieści tysięcy dukatów renty, ale cierpiał na padaczkę.

— *Oddałbym — rzekł do mnie — całe moje mienie temu, kto by mi zdrowie powrócił.*

Miałem wielkie współczucie dla jego młodej żony. Kochała go ona bardzo, ale nie mogła mu tego okazywać, bo słabość jego występowała zawsze w chwili uniesień miłosnych. Wlecznie była w rozpacy, będąc zmuszona opierać się jego naleganiom, a nawet musiała uciekać przed nim, gdy stawał się zbyt natrączywy. Niedługo potem umarł. Magnat ów umieścił mnie we wspianych pokojach, które pozbawione były wszakże wstępkiego, co najpotrzebniejsze. Taki jest polski obyczaj: panuje tam przekonanie, że człowiek wytworny ma w podróży wszystko ze sobą.

We Lwowie chciałem stanąć w zajeździe; musiałem jednak opuścić go i przenieść się do sławnej kasztelanowej kamieńskiej, wielkiej nieprzyjaciółki Branickiego, króla i całej jego partii. Miała ona wielki majątek, ale zrujnowała ją konfederacja. Gościła mnie przez osiem dni z wielkim przepychem. Oboje wszakże nie mieliśmy stać żadnej przyjemności, jako że ona mówiła tylko po polsku i po niemiecku. Ze Lwowa udałem się do małego miasteczka, którego nazwy zapomniałem; nazwy polskie strasznie trudno pamiętać. Zawiołem list do księcia Lubomirskiego do hetmana Józefa Rzewuskiego, krepago, małego starca, który na znak żałoby z powodu nieszczęśliwych wydarzeń w swej ojczyźnie zapuścił długą brodę. Był bogaty, wykształcony, żarliwy katolik i ponad wszelką miarę grzeczny. Zabawiłem u niego trzy dni.

Był on komendantem małej twierdzy, w której stał wraz z swą załogą liczącą pięćset ludzi. Pierwszego dnia byłem u niego z kilkoma oficerami około jedenastej godziny i opowiadałem o pojedynku z Branickim. W czasie opowiadania wszedł oficer i zaczął hetmanowi szepać coś na ucho. Po czym zbliżył się do mnie i rzekł z cicha:

## GIOVANNI GIACOMO CASANOVA

(2)

# Przygody w Polsce

Słynny uwodziciel włoski, Giovanni Casanova, wędrując po Europie, odwiedził również Polskę. Przez kilka miesięcy bawił w Warszawie, gdzie 220 lat temu szczył krwawy pojedynek z Franciszkiem Ksawerym Branickim, łowczym wielkim koronnym, pijakiem i awanturnikiem.

Światowy rozgłos zyskały pamiętniki Casanovy, które w sumie liczą ponad 2400 stron. Prezentujemy z nich mniej znane fragmenty związane z pobytem w Polsce.

— *Wenecja i święty Marek.*

— *Święty Marek — ożwałem się głośno — jest patronem Wenecji.*

Wszyscy buchnęli śmiechem. Wówczas zmiarkowałem, że to było hasło wydane przez hetmana, o którym zawiadomiono mnie z uprzejmości. Usprawiedliwiałem się, jak mogłem, a hasło natychmiast zmieniono.

Stary magnat mówił ze mną wiele o polityce. Nie był on nigdy na dworze, przedsięwziął sobie wszakże być na sejsji sejmowej i zwalczał wszelkimi siłami ustawy, które Rosja pragnęła przerzować na rzecz dysydentów. Biedny hetman, prawdziwy Polak z krwi i kości, był jednym z owych czterech magnatów, których Repnin kazał porwać i wywieźć na Sybir. (...)

## POBYT W PUŁAWACH

Ze Lwowa, gdzie i ja, i mój przyjaciel Campion pędziliśmy czas bardzo przyjemnie, udałem się do Puław, o osiemnastu mil od Warszawy. Jest to pieszny pałac leżący nad Wisłą, własność wojewody ruskiego, który go sam wybudował. Tu rozstałem się z Campionem, który wyjechał do Warszawy, dokąd wzywały go jego sprawy.

Choćby miejscowość jakaś była nie wiem jak wspianą i czarowną, zawsze będzie nudna dla człowieka żyjącego tam samotnie, o ile nie jest zajęty pracą literacką, która go zatrudnia albo ważnym pomysłem, który go absorbuje. Ponieważ zaś u mnie nie zachodziła ani pierwsza, ani druga okoliczność, poczęłem się nudzić.

Pewnego dnia weszła do mego pokoju ładna dziewczyna wiejska. Znalazłem ją zupełnie podług swego gustu, a nie umiejąc po polsku starałem się gestami wytłumaczyć to, czego nie mogłem jej powiedzieć.

Poczęła się bronić i narobiła przy tym takiego krzyku, że nadszedł burgrabia. Powiedział do mnie z całym spokojem:

— *Dlaczego waszmość nie zmierza prostą drogą, skoro się dziewczyna podobna?*

— *Cóż to za droga?*

— *Jej ojciec jest tutaj. Pomów waszmość z nim i dojdź do zgody po dobru.*

— *Ja nie umiem po polsku. Czy byś się waś tego nie podjął?*

— *Z ochotą. Dasz mi waszmość pięćdziesiąt złotych?*

— *Zartujesz waś. Jeśli jest jeszcze nietknięta, dam sto złotych, ale pod warunkiem, że będzie powolna jak jagnię.*

W samej rzeczy sprawa nie była trudna, bo uroczyście weselna odbyła się tegoż wieczora. Wszelako zaraz potem czmychnęła biedna owieczka, jak gdyby ją ściągano batem. Wywnioskowałem z tego, że ojciec jej, aby ją skłonił, użył kańczuka. Gdybym był to przeczuł, nie byłbym wcale nastawał.

Następnego dnia proponowano mi kilka dziewcząt, nie pokazując mi ich wcale.

— *Ale gdzie jest ta dziewczyna? Muszę przecież zobaczyć jej twarz.*

— *Cóż znaczy twarz? — zauważył burgrabia. — Była tylko reszta była nietknięta!*

— *Dla mnie, przyjacielu, twarz jest najważniejsza, a reszta jeno przydatek.*

Nie mógł tego pojąć. Przyprowadzono mi dziewczęta, ale nie znalazłem wśród nich żadnej, której uroda obudzilałaby moje żądze.

W ogóle w tych okolicach kobiety są brzydkie. Przystojne stanowią rzadki wyjątek, a już piękność jest istnym dziwem.

Po tygodniu zbytku i nudy powróciłem do Warszawy. (...)

## Z POWROTEM W WARSZAWIE

W Warszawie zastałem panią Geoffrin, którą wszędzie przyjmowano z wielkim splendorem, spoglądając jednocześnie ze zdumieniem na skromny jej ubiór. Wszelako ja nie spotkałem się z podobną życzliwością; muszę powiedzieć, że przyjmowano mnie nie tylko zimno, ale wprost wrogo. Bez ceremonii oświadczone mi:

— *Nie sądziłmy, że tu waszmość jeszcze powrócisz. Czego tu szukasz?*

— *Chcę pospłacać duchu!*

Uważałem takie zachowanie za oburzające. Nawet wojewodzina ruska odmieniła się zgoła. Przyjmowano mnie wprawdzie w domach, gdzie dawniej bywałem stale zapraszany na obiady, ale nie rozmawiano ze mną. Tylko księżna Lubomirska, siostra księcia Adama, zaprosiła mnie uprzejmie do siebie na kolację.

Udałem się tam z radością i spostrzegłem naprzeciw siebie, przy okrągłym stole, króla, który nie odezwał się do mnie ani razu. To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Następnego dnia byłem na obiedzie u pani Ogińskiej, córki księcia Czartoryskiego, kanclerza wielkiego litewskiego i niejakiej hrabianki Waldstejn, czcigodnej damy, liczącej dziesięćdziesiąt lat. Sędziwa ta dama spytała w czasie obiadu, gdzie król jadł wczoraj wieczorem; nikt tego nie wiedział, ja zaś milczałem. W chwili gdy wstawano od stołu, wszedł generał Ronikier, a wojewodzina spytała go, gdzie król był na kolacji.

— *U księżnej strażnikowej — odparł generał. — Pan Casanova był tam przecież także.*

— *Dlaczegoż nie powiedziałeś mi tego waszmość, gdy się przy stole o to pytałem?* — zwróciła się do mnie hrabina.

— *Mościa pani, nie powiedziałem dlatego, że wlece jestem stracony po owej wizycie. Jego królewska mość nie tylko nie zaszczycił mnie ani słowem, ale nawet nie raczył na mnie spojrzeć. Widzę, że wpał w niełaszkę, a nie wiem, z jakiej przyczyny.*

Od Ogińskiej poszedłem do księcia Augusta Sułkowskiego, bystrego myśliciela, by złożyć mu uszanowanie. Przyjął mnie, jak zazwyczaj, z całą uprzejmością, ale powiedział, że miał uczynić powracając do Warszawy, bo wszyscy zmienili mniemanie o mnie.

— *Cóżem ja takiego popełnił?*

— *Nic. Ale takie już jest usposobienie Polaków: zmienne, kapryśne, mało samodzielne i powierzchnowe. Sarmatarium virtus veluti extra ipsos (Zalety Sarmatów są jakby poza nimi, tj. Sarmaci nie panują nad swymi zaletami). Tę chwilejność przyjdzie nam prędzej czy później drogo okupić. Los się do waćpana usmiechnął, aleś momentu nie pochwylił. Radzę waćpanu wyjechać.*

— *Wyjadę z pewnością, choć mi ciężko.*

Gdy powróciłem do domu, służący podał mi list przyniesiony przez nieznanego człowieka. Otworzyłem go; nie miał podpisu, był jednak widocznie pisany w życzliwej intencji i zgadywałem, że pochodził od osoby mi przychylnie. W liście było napisane, że wiadomo o ust samego króla, iż niechętnie widzi mnie na dworze, bo mu zaręczano, jako w Paryżu zostałem powieszony w effigie. Wówczas — jak mówiono — ucieklełem stamtąd, zabrawszy znaczną sumę z kasy loteryjnej szkoły wojskowej; prócz tego uprawiałem we Włoszech niegodne rzemiosło wędrownego komedian-ta.

Podobne oszczerstwa znajdują łatwy posłuch, wszelako trudno jest im zadać kłam. Zwłaszcza na dworach zawiść nie spoczywa, a zazdrość ustawicznie dodaje jej bodźca. Byłbym z ochotą okazał wzgardę tym niskim intrygom i odjechał nie zwlekając; jednakże byłem w długach, a nie miałem tyłu pieniędzy, by je pospłacać i udać się w drogę do Portugalii, gdzie — jak sądziłem — znajdę nowe źródła dochodu.

## NAKAZ OPUSzcZENIA WARSZAWY

Nie wychodziłem wcale z domu, widując się tylko z Campionem, który bardziej bolał nad moim losem niż ja sam. Wysłałem listy do Wenecji i do innych miejsc, skąd — jak mniemałem — będzie możnaściągnąć gotówkę. Prędzej wszakże, nim nadeszła odpowiedź, zjawił się u mnie generał, ten sam, który był przytomny przy pojedynku, i oznajmił mi ze smutkiem, że z rozkazu króla mam do ośmiu dni opuścić starostwo warszawskie.

Dokłnięty do żywego ta niesprawiedliwość, poleciłem mu odpowiedzieć królowi, że zgola nie mam ochoty usłuchać podobnego rozkazu. Jeśli jednak będę zmuszony odjechać, niechże wie cały świat, że ustąpiłem przemocą.

— *Nie mogę zanieść królowi takiego responsu — odrzekł generał równie życzliwie, jak szlachetnie. — Powiem królowi, że wykonałem jego rozkaz i konieca. Waszmość zaś postąpił, jak uznasz za właściwe.*

Nie posiadając się z gniewu i nie bacząc na konsekwencje, napisałem do króla, że honor mój wymaga po mnie, bym jego rozkazom nie był powolny. „Wierzyście moi, Najjaśniejszy Panie — pisałem — nie wybacza mi, gdy opuszczę Polskę nie zapłaciwszy com winien, dlatego tylko że Wasza Królewska Mość mnie wygnął!”

Gdy rozmyślałem nad tym, jak by ten list monarsze doręczyć, ujrzałem wchodzącego hrabiego Moszyńskiego. Z miejsca opowiedziałem mu wszystko, co mnie spotkało, a odczytawszy mu list, zapytałem, jaką drogą mógłby się on dostać do króla.

— *Daj mi go waszmość — powiedział wspianomyślnie hrabia — ja sam oddam go najjaśniejszemu panu.*

Po jego odejściu uczułem potrzebę odświeżenia płuc na wolnym powietrzu. Udałem się tedy do księcia Sułkowskiego, który był u siebie. Nie zdziwił się wcale, usłyszawszy o rozkazie króla.

By mi osłodzić pigułkę, którą despotyzm dał mi do połknięcia, opowiedział mi książę, co mu się przytrafiło za pobytu w Wiedniu: cesarzowa Maria Teresa przysłała mu rozkaz, by w ciągu dwudziestu czterech godzin wyjechał, z tego tylko powodu, że arcyksiężniczce Krystynie oświadczył grzeczności w imieniu księcia Ludwika Wirtemberskiego.

Nazajutrz z rana hrabia Moszyński przyniósł mi tysiąc dukatów. Oznajmił, że król nie wiedział, iż jestem w potrzebie, a że ocalenie życia jest rzeczą większej wagi, przeto jego królewska mość rozkazuje mi Warszawę opuścić; bo gdybym został, to przejeżdżając się po nocy albo idąc w dzień pieszko, narażałbym się na niebezpieczeństwo, którego na dłuższą metę nie daboły się uniknąć.

Niebezpieczeństwo tkwiło w tym, że otrzymałem pięć czy sześć wyzwań, a nie fatygowałem się zgoła, by na nie odpowiadać. Nie ulegało przeto wątpliwości, że ludzie ci mogli z zemsty za zniewagę spłacać mi nocą figla, król zaś nie chciał być z mojej przyczyny w ustawicznym niepokoju. Hrabia Moszyński oświadczył mi nadto, że rozkaz króla nie przynosi mi wcale ujmę na honorze, albowiem doręczony mi został przez znaczną osobę, termin zaś oznaczono tak, że mogę wyjechać bez pośpiechu.

Skutek rozmowy naszej był taki, iż nie tylko dałem słowo, że wyjadę, ale nawet prosiłem hrabiego, by wyraził królowi moją wdzięczność za wszystkie łaski i za okazane współczucie.

Skorą przyczekłem, że rozkazom króla będę powolny, pocziwy Moszyński uściłkał mi i prosił, bym doń pisywał, a na pamiątkę przyjął od niego karetę, która mi się przyda. Po czym opowiadał mi, że małżonek Binetti uciekł z garderobianą żony, zabrawszy brylanty, kosztowności, bieliznę, a nawet srebro stolowe, które pozostawił swemu gachowi, tancerzowi Pic.

Protektorowie Binetti, osobliwie brat królewski, podkomorzy koronny, urządzili między sobą składkę na prezent dla niej; by laśnie zapomniała o kradzieży, której dopuścił się małżonek Moszyński opowiadał mi też, że hetmanowa, siostra króla, przybyła z Białogostoku i że wobec tego małżonek jej przybędzie na koniec do Warszawy. Był to prawdziwy hrabia Branicki, jak dopiero co mówiłem, ten zaś Branicki, a raczej Brancecki, który zaszczycił mnie pojedynkiem, wcale nie należał do tej rodziny.

Zaraz nazajutrz popłaciłem długi w sumie około dwustu dukatów i przygotowałem wszystko na następny dzień, by w towarzysztwie hrabiego Clary wyruszyć do Wrocławia.

Z książki „Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców”. Śródtytuły pochodzą od redakcji.



13 czerwca 1986 r. dziennik „Prawda” zamieścił artykuł pt. „Rozprawili się krytyką” autorstwa zastępcy sekretarza organizacji partyjnej w osiedlu Strugi Krasne w obwodzie pskowskim. Autor listu do „Prawdy” tak rozpoczął swoje doniesienie: „Szanowni towarzysze. W naszym strugokrasnieńskim rejonie wydarzył się bezprecedensowy wypadek: zniszczono cały nakład wydrukowanej już gazety rejonowej „Za komunizm”. Posyłam egzemplarze zniszczonego i ponownie wydane numeru. Przyczyną niezadowolenia komitetu rejonowego partii był artykuł T. Michajłowa „Pokazucha” (należałoby ten wyraz tłumaczyć jako: Błaga, Lipa — przyp. E. Iw.) w rubryce „Przebudowa — wymóg czasu”. Porównując tekst „Pokazuchy” z tekstem „Wszeczkrosyjskie seminarium”, którym wraz ze zdjęciem zamieniono „Pokazuchę” w ponownie wydrukowanym numerze, jasnym się staje, że naszemu komitetowi rejonowemu nie leżała przebudowa, która autentycznie jest wymogiem czasu. Władze komitetu rejonowego stanęły po stronie argumentów „osi potomkinowskiej”. I dalej autor listu pisze: „Nie widąc przebudowy w duchu wytycznych XXVII Zjazdu KPZR w pracy miejscowych partyjnych i radzieckich organów. Proszę przejrzeć zszycokę gazety „Za komunizm”, a znajdziecie same drobniaki. Jeśli są krytyczne wystąpienia, to nikt na nie nie reaguje, bowiem komitet rejonowy partii nie popiera swojej gazety”.

Oto w skrócie treść „Pokazuchy”. Autor pisze, że w mieście Pskowie odbyło się wszeczkrosyjskie seminarium poświęcone kompleksowej racjonalizacji przedsiębiorstw zajmujących się żywieniem. Brali w nim udział zastępcy dyrektorów obwodowych przedsiębiorstw spożywczych oraz kierownictwo oddziałów tychże przedsiębiorstw z 29-obwodów Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej. Jednego dnia uczestnicy seminarium zwiedzili m.in. stołówkę w sowchozie „Plomien”, magazyn „Kulinarium”, nowo wybudowany bufet w Domu Kultury, bar, sklep „Mięso — Owoce” itp. Byli zadowoleni, co znalazło potwierdzenie we wpisie do ksiągki uwag i wniosków.

Goście wizyty odebrali mieszkanie Strugi Krasne. Nie to, żeby mieli do nich jakieś pretensje. Skądże! Zbulwersowała ich natomiast stara, stosowana od lat praktyka miejscowych władz: pokazać nie stan faktyczny, a fikcję. Słowem pokazać sprzątnięty pokój gościnny, natomiast skrzętnie ukryć zaplecze. Czyli lakier-

## „Pokazucha”

nictwo, kamuilaz, kłamstwo. Bowiem tego dnia, kiedy zjechali goście, półki w sklepach uginają się od towarów, na ulicach sprzedawano lody i kwas chlebowy, pojawiły się stragany z pierożkami, a w sklepie piekarniczym — dziw nad dziwy! — sprzedawano jedynie pieczywo świeże. Ludzie nie mogli uwierzyć własnym oczom: czegoś takiego nigdy tu jeszcze nie było.

Redakcja nie od razu umieściła ów krytyczny tekst w gazecie, wierząc, że teraz już codziennie będzie tak, jak w czasie wizyty uczestników sympozjum. Niestety, gdy tylko samochody skryły się za miastem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, powróciły stare porządki i zwyczaj. Pozostały po owym dniu jedynie odnowione frontony budynków. Artykuł kończy się uwagą, że zawarte w nim słowa krytyki gazeta kieruje do przewodniczącego rejonowego przedsiębiorstwa, zajmującego się zaopatrzeniem w artykuły spożywcze, a także do kierującego rejonowym zjednoczeniem przedsiębiorstw spożywczych, którzy będąc członkami partii znają przecież wytyczne XXVII Zjazdu KPZR. Władze jak to się dzieje — zapytywał autor artykułu — że ci odpowiedzialni ludzie nie potrafili wprowadzić w życie owych śmiałych wytycznych, natomiast nie szczędzili pieniędzy by urządzić taką pokazówkę.

Wycofano cały nakład już wydrukowanej gazety z krytycznym artykułem, a w jego miejsce dano inny, w którym jedynie poinformowano o odbywającym się seminarium oraz wspomniano, że organizacja okazała się wzorowa, a wnioski i uchwały podjęte na zakończenie obrad były cenne.

Działo się to 14 maja 1986 r. Tego dnia sekretarz komitetu rejonowego partii N. N. Anon otrzymał telefon, że w gazecie „Za komunizm” ukazał się krytyczny artykuł na temat seminarium, którego przecież ona była uczestnikiem, i które oceniła jako znakomite. I nagle krytyka! Zadzwoń! Wiedząc, że do redakcji naczelnej i zarządzała zdjęcie artykułu. Naczelny W. Fiodorow odmówił. Wówczas poleciała wstrząsna druk gazety do czasu powrotu i sekretarza komitetu rejonowego partii N. Rumiancewa. Sekretarz wrócił około siódmej wieczorem i dowiedziawszy się w czym rzecz, polecił natychmiast do drukarni by na własne oczy zobaczyć jaką to świnia chcą mu podłożyć. Po lekturze artykułu zwołał w trybie pilnym egzekutywę komitetu rejonowego. Zapada decyzja: zniszczyć wydrukowany nakład gazety!

Nazajutrz ponownie zbiera się egzekutywa. Teraz na porządku dziennym stawia się „sprawę” redaktora naczelnego W. Fiodorowa.

Tego samego dnia o zajęciu w starokrasnieńskim rejonie dowiaduje się komitet obwodowy. Uznano, że komitet rejonowy postąpił słusznie. Dopiero, kiedy dowiedziano się, że sprawą zainteresowała się „Prawda” — a minęło trzy tygodnie — rozpoczęto formalne dochodzenie. Konkuzja jednak była taka: wszystko to, co uczynił sekretarz N. Rumiancew było słuszne i zostało zrobione dla dobra gazety.

14 czerwca 1986 r. „Prawda” raz jeszcze wraca do wydarzeń w osiedlu Strugi Krasne w artykule „Prasowe słowo krytyki”. Gazeta przytacza inne przykłady tłumienia słusznej krytyki. Oto na początku roku KC KPZR rozpatrywał fakty zaistniałe w KC Zw. Zaw. Pracowników Żegluga Morskiej i Rzecznej oraz w ministerstwach lotnictwa cywilnego, żegluga, żegluga rzecznej, szefowie których to placówek brutalnie sterowali i tłumili krytykę w gazetach „Wozdusznyj transport” i „Wodnyj transport”.

Trzy lata temu „Prawda” wydrukowała artykuł pt. „Jedna dziesiątka hektara”, w którym podawano przykłady fałszowania statystyki i podawania nieprawdziwych danych w obwodzie astrachanskim. Artykuł, o którym mowa, powstał na podstawie listu pewnego członka partii, jednego z najlepszych mechanizatorów kolchozu. Przedstawione przez niego fakty potwierdziły się. Winni zostali ukarani. Niestety autor listu znalazł się na cenzurowanym. Kierownictwo kolchozu zaczęło przedstawiać go jako winowajcę niskich zarobków kolchozników, jako oszczercę, który podważał prestiż gospodarstwa. Słowem zaczęło mu uprzykrzać życie, aż wreszcie... wykluczono go z partii.

Wielu działaczy partyjnych, szczególnie tych zajmujących odpowiedzialne stanowiska w aparacie partyjnym, uważa, że wraz z zamknięciem obrad XXVII Zjazdu KPZR skończył się czas krytyki. Dlatego — utrzymuje gazeta — w wielu przypadkach dziennikarze są poddawani nagonce, nazywa się ich „oczernicielami”, są na nich skargi i to od razu do wyższych instancji partyjnych, a zdarza się, że dziennikarza za krytykę zwyczajnie zwołują się z pracy. Często też są zdejmowane niewygodne artykuły, „radzi się” naczelnym, by jakiegoś krytycznego artykułu nie przedrukowywali w swoich gazetach.

Na krytykę zawartą w gazecie otrzymuje się odpowiedź, iż winny został ukarany. Okazuje się jednak, że to zwyczajna błąka, bo tak wcale nie jest. Winnego przeniesiono na inne, nie mniej lukratywne, stanowisko.

Opracował: E. Iw.

# 1

## Nos dla tabakiery?

Wszystko na tym też padło zostało tak dziwnie urzędzone, że zawsze jedna rzecz jest przyporządkowana drugiej. I dlatego tabakiera jest dla nosa, wieszak — dla piaszcza, szczoneczka — dla zębów itd, itd. Przykłady można mnożyć w nieskończoność. A ponieważ jest to żelazna reguła, musi mieć wyjątki.

Wyjątek pierwszy: poczta nie jest dla klienta, lecz klient dla poczty. Dziwne? A dziwne. Mnie też zdziwił fakt, że na Poczcie Głównej nie ma książki telefonicznej Warszawy. Gdyby jeszcze nie było spisu telefonów Zabna Górnego — no, rozumiem. Ale Warszawy? Pani w okienku wcale nie wydawała się być speszona z tego powodu. Powiedziała po prostu: „Ukradli”. Jakże to pięknie... Ukradli. I co ma zrobić człowiek, który musi znaleźć numer abonenta w Warszawie? Powie ktoś — jest informacja. To prawda. Ale pani telefonistki niechętnie informują o numerach telefonów z innych miast. Przelazła natomiast „ciekawskiego” do tzw. kartoteki, co w dziewięciu przypadkach na dziesięć kończy się przerwaniem połączenia. Kto nie wierzy — może sprawdzić. Tak więc, co ma zrobić ktoś, kto musi znaleźć numer abonenta z Warszawy? Dzwonić do informacji na swój koszt? Płacić Poczcie za to, że ta nie upłynowała książka? Gdyby Poczta była dla klienta, to nie dość, że przeprosiłaby, ale jeszcze „stanęła na głowie”, aby zadowolili interesanta. O tym, że nie jest to incydentalny przypadek, łatwo przekonać się na własnej skórze, wchodząc do pierwszego szerszego urzędu pocztowego.

Wyjątek drugi: wiele osób mieszka w domach, gdzie nie ma jeszcze centralnego ogrzewania. Osoby takie, co roku udają się na skład opałów, tam placą za węgiel oraz za „dostawę do domu”. Dostawa oczywiście nie następuje od razu; trzeba na nią czekać kilka — kilkanaście dni. I gdy przychodzi ów dzień, wyznaczony nawzajem mówią przez przedsiębiorstwo, nabywca „czarnego złota” — a w tym przypadku jedynego dostępnego mu medium grzewczego — już od rana stoi w oknie i z niecierpliwością wygląda samochodu z węglem. Mija godzina za godziną — i nic. W połowie dnia niepokój jest już. A jeśli nie przywożą. Jutro przecież muszę iść do pracy... Najczęściej oczywiście nie przywożą. Ani tego dnia, ani następnego. Dopiero po interwencji, gdy „niecierpliw” wraca z pracy do domu, zastaje na podwórku — w dodatku kilkadziesiąt metrów od swej komórki — przymię cześć, co na pierwszy rzut oka przypomina węgiel, a w efekcie okazuje się ślaską gładką. Gdyby przedsiębiorstwo było dla klienta, nigdy nie pozwoliłoby sobie na niedotrzymanie warunków umowy, które bądź co bądź zobowiązało się dotrzymać — i to nie za darmo.

Wyjątek trzeci: kilka lat temu, na rogu ulicy Narutowicza i Wschodniej był sklep spożywczy. Przez wiele, wiele lat był sklepem samoobsługowym. Potem nastąpił remont — a było to bodajże dwa lata temu — i sklep z „samu” stał się zwykłym sklepem z trzema stołkami. Dawniej wystarczała pani w kasie, druga — która wazyła i twardziła i trzecia — która pilnowała, by nikt nie chował liżaków po kieszeniach. Teraz, na każde stoisko potrzeba po dwie panie: jedna wazy i podaje produkty, druga pracowniczo wszystko podlicza. Nie można to w końcu sprawa: jeśli „Spolem” ma nadmiar pracowników — samo powinno zdecydować, jakie im znaleźć zajęcie. Tylko dlaczego po chleb, masło i mleko muszą stać w jednej kolejce, a po makę, cukier i herbatę w drugiej? Gdyby „Spolem” było dla klienta, robiłoby wszystko, aby kupować się jak najprzyjemniej (jeśli w ogóle można mówić o przyjemności robienia zakupów). Jak jest — widzimy na co dzień. Nawiasem mówiąc

„Spolem” specjalizuje się w podobnych pomysłach racjonalizatorskich. W „Magdzie”, żeby kupić kostkę masła czy kapiony serek należało „odstać” swoje w kolejce — jakby te produkty nie mogły leżeć na półkach w specjalnych szafach chłodniczych. Mam cichą nadzieję, że po remoncie nie będzie musiał stać w jednej kolejce po masło, w drugiej po cukier, a w trzeciej do kasy, żeby zapłacić za makaron. Chyba że supersam — to taki sklep, w którym po większość produktów należy stać w kolejkach...

Wyjątek czwarty... Myślę, że wystarczy. Gdyby chciał podawać wszystkie wyjątki, zabrakłoby miejsca nie tylko na tej stronie, ale i na pozostałych też. Powyższe fakty można nazwać „wyjątkami”, można nazwać także lekceważeniem partnerów. Najgorzej w tym wszystkim jest to, że my, szarzy obywatele, znajdujemy się w sytuacji praktycznie bez wyjścia; nie możemy bowiem robić zakupów „u konkurencji”.

Wątpię, aby mój felieton cokolwiek zmienił. Ale może kierownictwa wyżej wymienionych (i nie tylko) przedsiębiorstw zastanowią się, czy nos jest dla tabakiery, czy też raczej tabakiera dla nosa?...

WITOLD NER

# 2

Sport

## Powtórka z powtórki

Uwaga! Teraz będzie zdanie po łacinie, ale proszę się nie martwić, przetłumaczę. Brzmi ono: „Repetitio est mater studiorum”. Po polsku: powtarzanie jest matką wiedzy. Kiedyś uczono tego w szkole. I jak pomyśleć chwilę, to człowiek szybko dojdzie do wniosku, że w zdaniu tym zawarto pewną mądrość. Jeśli człowiek będzie ciągle powtarzał sobie pewne fakty, wiadomości, tezy, to utrwalił sobie wiedzę, wzbogaci ją. Tylko, czy potrafi potem z tej wiedzy skorzystać? Tym stara łacińska maksyma już się nie interesuje. Widać u Rzymian nie było takiego problemu. Można wnosić z tego, że oni potrafili ze swej wiedzy korzystać. A my?

My nie potrafimy. Niedawno odbyło się kolejne posiedzenie GKKEFIT, na którym obradowano nad wielce słuszną tezą: „Sport w procesie wychowania — idea i działanie”. Na temat ten odbyło już wiele narad, posiedzeń, sympozjów, napisano setki słusznych artykułów i rozpraw. Wszystko chyba tylko i wyłącznie w imię zasady: „Repetitio est mater studiorum” — powtarzanie jest matką wiedzy. Powtarzamy więc sobie z uporem, że sport powinien wychowywać, że ma ogromną siłę oddziaływania na postawy młodych, że zajmuje w procesie wychowania ważne miejsce. Ba! Wiedza nasza — wzbogacana ciągłym powtarzaniem — obejmuje swoim zasięgiem również zjawiska ujemne. Wiemy, że sport powinien wychowywać, że sportowców trzeba wychowywać, ale tak się nie dzieje. Występują w procesie wychowywania sportowców i młodzieży poprzez sport zjawiska ujemne, które zamiast skutków pozytywnych rodzą negatywne, czyli zwyczajnie demoralizują. A wszystko przez pieniądze.

Gdy nasi piłkarze zaczęli grać w Meksyku TWP zaprosiła do Studia Mundial pilotów. Ci piloty — to są mistrzowie świata. Myśl była niby dobra. Oto jedni zaczynały walczyć o mistrzostwo świata, a drudzy — ci w studio — już je mają. W tym miejscu czuję się zobowiązana do przypomnienia. W Hiszpanii Krzysztof Lenartowicz i Janusz Darocha zdobyli złoto, Waclaw Nycz i Marian Wiczorek — brąz, a Witold Świątek i Andrzej Korzeniowski — czwarte miejsce. Mało brakowało, a zajęliby drugie. Ale i tak trzy polskie drużyny startujące na polskiej „Wilgach” są w światowej czołówce. Zresztą już od dziesięciu lat. Budzi to zrozumiałą zazdrość wśród

pilotów innych nacji i rodzi przekonanie, że na Polaków nie ma rady. Sport lotniczy jest u nas bardzo mało popularny i poza pismami sportowymi nikt o polskich pilotach jakoś nie pisał, choć był powód do dumy. O nieudacznikach piłkarzach, hokeistach, bokserach pisze się ciągle. Na szczęście — również krytycznie.

Wiemy już — dzięki ciąglemu powtarzaniu — że sport powinien wychowywać silnych, odważnych, prawych ludzi. I wiemy — z praktyki raczej — że nie czyni tego. A nawet przeciwnie. Oto wydaje się duże pieniądze, również w walutach wymienialnych, których nam ciągle brak, na przygotowanie poza granicami naszego pięknego kraju bokserów, piłkarzy, hokeistów i zawodników innych dyscyplin, którzy potem jada na zawody i wstyd nam przynoszą. Polscy piloci, którzy przywieźli dwa medale i jedno czwarte miejsce musieli za własne zaoszczędzone dolary z miernych diet kupować benzynę, bo inaczej nie mieliby jak uruchomić „Wilg”. Czy to może wychowywać?

Nie można wszystkich dyscyplin sportowych traktować jednakowo, gdyż różna jest ich popularność. Nie da się tu wprowadzić mechanicznej równości. I to nie budzi niczyjej wątpliwości. Ale nie można też w sposób wielce niesprawiedliwy traktować zawodników różnych dyscyplin. Dla młodzieżkiego piłkarza są już ogromne pieniądze, dla mistrza świata w lataniu nawigacyjnym nie ma wystarczających pieniędzy — na benzynę. To już nie jest wychowawcze. Nawet przeciwnie — demoralizujące.

Zawsze byłem za tym, aby pewne rzeczy ujawniać, nie ukrywać, bo to jeszcze gorzej. Piłka nożna cieszy się ogromną popularnością na całym świecie i wiąże się to z dużymi pieniędzmi. Popatrzmy więc prawdzie w oczy. Pieniądze muszą być, za pracę należy się płaca. Za mistrzostwo w zawodzie duże pieniądze. Tak jest na całym świecie. Chcemy ze światem rywalizować, musimy zatem stwarzać takie warunki, aby ta rywalizacja była możliwa. Ale pod warunkiem, że są to rzeczywiście wysokie umiejętności, a nie plaça już tylko za wyjście na boisko. W praktyce przecież jest tak, że duże pieniądze płaci się już trampkarzom, bo też muszą być wyniki. Bzdura!

Nigdy nie byłem w wojsku, ale słyszałam, że powtarza się tam taką maksymę: im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi na wojnie! Mądre to. Może więc zastosować tę maksymę i do sportu: im więcej potu podczas szkolenia, tym więcej pieniędzy w ligowej drużynie! Nikt bowiem nie ma pretensji, że daje się pieniądze. Pretensje są tylko wtedy, gdy daje się za nic, bo to demoralizuje.

Zresztą ciągle powtarzanie tego samego, że trzeba, że należy, powtarzanie bez działania, bez wprowadzania słusznych idei do praktyki, też w końcu demoralizuje. Bo traci się wiarę w te słuszne postulaty i zamia-

BOGDA MADEJ

# 3

## Tara i Tarka

W upalny dzień, gdy rozglądałem się za tym, czego by tu się napić, znajomy powiedział: — Jak dobrze, że nie jesteśmy w fabryce.

— A to niby dlaczego? — zdziwiłem się.

— Bo tam jest jeszcze bardziej gorąco, a pić też nie ma co.

— Czy mógłbyś mi to dokładnie wytłumaczyć — zażądałem. — Proszę bardzo. Oczywiście nie w każdej fabryce tak było, ale byłem niedawno w dużych zakładach produkujących maszyny i dowiedziałem się, że tam, aby zapewnić ludziom picie w te upały, trzeba wypisywać aż trzy zamówienia.

— Na trzy rodzaje picia? — Nie. Na jedno. Powiedźmy, że na zwykłą wodę mineralną.

— Optymista! Gdzie ty wdziałeś jakąkolwiek wodę mineralną?

— Powiedziałem: „powiedzmy”. Ale nie przerywaj. Otrę jedno zamówienie musi być na wodę, drugie na butelki, a trzecie na skrzynkę. Nikt nie będzie przecieź biegał po butelkę wody. Tak więc, aby ludzie mogli ugasić pragnienie każdy wydział musi wypisywać po trzy kwity.

— Dobrze, że nie wymagają jeszcze kwitów na kapsle i nalepki!

— Oni też tak mówią.

Dziwny jest ten świat. Absurdalny zresztą. A przecież człowiek z natury swojej powinien dążyć do tego, aby sobie jak najbardziej życie upraszczać, jak najmniej komplikować. A tu nic z tego. Człowiek traci ogromną ilość czasu na to, aby sobie życie jak najbardziej skomplikować. Takie widać ma upodobania.

Skoro już padło słowo: „upodobania”, to chciałbym kilka zdań — no może kilkanaście — napisać o „Krokodylu”, czyli o filmie: „Tara, Tara, Tara”, czyli o „Powrocie do Edenu”. Ten gigantyczny serial nie doszedł jeszcze do półmetka, a emocje budzi ogromne. Znam ludzi, którzy oglądają każdy odcinek po dwa razy. Raz — rano, drugi — wieczorem. I bardzo wszystko przeżywają. Bywa. Starożytni Rzymianie nauczyli mnie, abym o gustach nie dyskutował. Nie będę. Ale muszę powiedzieć, że podziwiam pomysłodawcę scenarzysty. Już nawet Arabowie pojawili się w Australii. Co on jeszcze wymyśli? To mnie najbardziej fascynuje.

Sama akcja jest niebywale uboga. Przysłuchuje się czasem, jak sobie znajomi opowiadają, co tam wydarzyło się w kolejnym odcinku „Powrotu do Edenu”. Nie każdy ma akurat czas, aby dokładnie śledzić akcję. I nie musi. Ten, kto oglądał streszcza prawie godzinny odcinek w trzech, czterech zdaniach...

Ale najciekawsze jest zupełnie coś innego. Oto w Polsce roku 1986, po latach napięć społecznych i politycznych, po wielkich emocjach i przeżyciach, kiedy jeszcze nie wszystkie mamy za sobą, a bardzo dużo przed sobą, kiedy waży się nasza przyszłość, największe zainteresowanie budzą losy rodziny australijskich bogaczy. Jest w tym coś zadziwiającego. I zastanawiającego. Najpierw była niewolnica Isaura. Właśnie w półmilionowym nakładzie ukazała się książka o jej losach. Teraz jest bogata Stefania, której zła siostra chce odebrać całe bogactwo. I co niedziela po dzienniku cała niemal Polska dorosła i niedorosła siada przed telewizorem i płacze nad losami australijskich bogaczy.

Co myślisz o samym filmie nie napiszę...

W minioną niedzielę (6 lipca) przed południem telewizja w I programie nadała film o wydrze, która nazywała się Tarka. Bardzo lubię filmy o zwierzętach. Telewizja ma duże zasługi w pokazywaniu świata zwierząt, ryb, ptaków. Wyświetlono całe serie filmów zoologicznych, które powinny nauczyć widza szacunku dla zwierząt. Wyrobić w nim zrozumienie, że jest tylko częścią przyrody, a nie jej panem. I bardzo pięknie i dzięki telewizji za to!

Myślę natomiast, że film o wydrze Tarka był nieporozumieniem. Owszem sporo dowiedziałem się o życiu wydr, ale i o okrucieństwie ludzi. Nie kończąca się pogoń psów i dobrze odżywionych ludzi za jedną biedną wydrę, to już doprawdy szczyt okrucieństwa i... głupoty. Być może Anglicy lubują się w takich polowaniach, ich sprawa. Potrafią być okrutni i obojętni na ludzki los. A cóż dopiero mówić o zwierzętach. Ale sądzę, że można było skrócić film, pozabawić go okrutnej w swojej wymowie sceny pogoni przez lasy, pola, koło młyńskie i potoki zgrai psów i ludzi z długimi kijami — a były tam i dzieci — za jedną, biedną wydrę. Myślę, że można było.

Nasza cenzura obyczajowa bardzo jest uczulona na gołiznę i sceny miłosne, choć powinny one być naturalne. Przyjmyka jednak oczy na wszelkie okrucieństwo. A film — sądząc z porę nadawania — przeznaczony był też i dla młodych widzów. Czyż musimy uczyć ich okrucieństwa? Pociągamy się tylko tym, że w te upały nie dzielę większość była poza domami, na łące, nad rzeką, na plaży, w lesie i nie widziałem tej głupiej pogoni za biednym zwierzęciem.

Doprawdy dziwny jest ten świat i pełen absurdów.

ZENON POROWATY



# Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(8)

— I kto wtedy za to sapla-  
ci? — Bujał przed telewizorem  
zakochany się w nim z dziad-  
kiem, który paląc tego dnia już  
drugie cygaro i to jeszcze przed  
lunchem... i mimo że przez ty-  
dzień z powodzeniem oby-  
wał się bez palenia... wolał  
pięścią w plecioną poręcz, a te-  
raz wstaje z opróżnioną szkla-  
neczką i... Oj, znowu podchodzi  
do barku i nalewa sobie tej  
whisky... No, nie do wiary!  
Pulkownik Dowd metnym  
spojrzeniem skierował swojego  
wnuczka stojącego na progu  
salonu. Odstawił butelkę.

— Eddie...  
— Tak jest, sir!  
W oczach dziadka pojawił się  
przebiegły opamiętania. Jego  
twarz zachowała wyraz napię-  
cia, napięcia tak silnego, że  
wyglądało ono smarszki na  
czole i wokół ust, ale dziadek  
przybrał zwykły w takich ra-  
zach minę marsowo-zarobliwą.

— Kapralu Dowd? — zagad-  
nął służbowo.

Eddie wyprężył się na całą  
swoją dziewięćdziesięcioletnią  
długość.

— Przyszedłem zameldować,  
że punkt dowodzenia jest go-  
tów do pracy, sir.

— Chodźmy więc, kapralu.

Obaj — dziadek i  
wnuczek — wymaszerowali  
ramię w ramię z salo-  
nu, przemierzali korytarz i  
kuchennymi drzwiami wydosła-  
li się do ogrodu, pozostawiając  
włączony telewizor, który  
brzmiałym trochę histerycznie  
głosem sprawozdawcy ponawiał  
apel prezydenta o zachowanie  
spokoju i zachęcał ludność  
miast do ukrycia się w jawni-  
cach domów, hotelowych pra-  
niach, podziemnych parkingach  
i przejściach „albo w jakimś  
burzowcu bądź kolektorze, je-  
śli nie znajdzie już miejsca na  
najbliższym publicznym schro-  
nie”. Obaj — dziadek i unu-  
czek — mieli zamiar to zrobić,  
miał zamiar ukryć się w schro-  
nie, tyle że własnym: zbudowa-  
nym na skrawku własnego  
gruntu, za własne pieniądze i  
według własnych projektów.

Schron ten o powierzchni trzy-  
dziestu metrów kwadratowych  
znajdował się pod ziemią, po-  
między kamienistą sadawką a  
szopą na narzędzia, w której  
pulkownik Dowd gromadził  
nie wypały z poligonów i poja-  
dyncze egzemplarze amunicji  
używanej w sojusznicznych  
armiach, ponieważ marzył o za-  
łożeniu muzealnej kolekcji po-  
ciszków artyleryjskich. Schron  
miał dwa wejścia: główne —  
z gębi łagodnie opadającego  
wykopu zięcące prostokątną  
gardziel na dom; oraz zapaso-  
we — krótkim tunelem połą-  
czone z płytka, zaduszoną, czte-  
rookienką studzienką wyrastającą  
przy płocie ogrodu. Tworzy-  
wem, które posłużyło do ufor-  
mowania tej budowli, był beto-  
n, twarzą niczym skała mag-  
mowa. Strop, podobnie jak  
ściany, miał metr grubości i  
pokrywała go półtorametrowa  
warstwa mieszaniny torfu z  
miłkim żwirem i z gliną.

Schron, według obliczeń pul-  
kownika Dowda, powinien wy-  
trzymać ciśnienie dwóch atmo-  
sfer i osłabić promieniowanie  
aż pięćdziesięciokrotnie —  
pod warunkiem, że przedstunek  
dzielący dwie pary pancernych  
drzwi zostanie wypełniony wor-  
kami z piaskiem.

Przed zięcym w ich stóp  
wejściem do schronu dziadek  
pochylił się nad wnuczkiem i  
wskazując w kierunku centrum  
miasta zabraną z salonu szkla-  
neczką whisky, wysapał zdener-  
wowany:

— Styszysz te syreny, Eddie?...  
Kapralu Dowd, styszysz je?  
To nie jest żaden alarm cwi-  
czebny, to jest alarm praw-  
dziwy, alarm bojowy.  
Przystępujcie się temu wyciu,  
kapralu, temu zawodzeniu. To  
płacze nasz prezydent, bezrad-  
ny jak niemowlę. Leży na go-  
łym brzuszku, z wypiętym róz-  
zowym zadkiem i wrzeszczy ze  
strachu na całą Amerykę, bo  
zaraz dostanie klapsa w ten  
wypięty różowy zadek. Stacje  
radiolokacyjne na Bermudach  
wypatrzyły już tę karzącą rękę  
o kilkudziesięciu palcach i  
siedzą, jak ponad Atlantykami

wyciąga się ona w naszą stron-  
ę, jak sunie tutaj, żeby strze-  
lić w wypięty różowy zadek  
prezydenta.

— Co mówisz? — zapytał  
Eddie w sposób nagannie nie-  
regulaminowy.

— On jest bezradny, przyku-  
ty do kocyka i nie może zrobić  
uniku, uchylić się w bok ra-  
zem ze swoim wypiętym róz-  
zowym zadkiem, więc poprosił  
naszych chłopców, żeby spró-  
bowali powstrzymać tę karzącą  
rękę. I oni spróbują. Ale pre-  
zydent nie wie, że ta karząca  
ręka, powstrzymana czy nie,  
czy trafi w jego wypięty róż-  
zowy zadek wszystkimi palcami,  
czy tylko paroma, czy też om-  
sknie się po jego wypiętym róz-  
zowym zadku, bez względu na  
to, jak jej ten cios wyjdzie, już  
szkują się do następnego, a  
potem jeszcze jednego i jesz-  
cze...

Pulkownik Dowd wyprostował  
plecy. Łączynia opróżnił szkla-  
neczkę, roniąc krople whisky,  
które spłynęły mu po brodzie;  
część z nich zdażył wessać do  
ust, reszcie pozwolił ściec na  
bluzę munduru i potoczył o-  
czyrna po horyzoncie, gdzie  
wznosiła się biała drewniana  
dzwonnica kościoła i osłone  
biurowce należące do zakładu  
ubezpieczeń, przedsiębiorstwa  
wysylkowych i banków. I jak  
gdyby zwracając się do nich,  
wykrzyknął radę doświadczono-  
go oficera:

— Nie możemy dopuścić, że-  
by ta łapa rozdzielała tak cio-  
sy, i czekać, dopóki sama nie  
omdleje! Trzeba ją unieszkodli-  
wić! Trzeba ją odgrażyć! Odgra-  
żać przy ramieniu... a później  
nie żałując siły wałnąć topo-  
rem skosem przez klaikę pier-  
sioną!

Mały Eddie ze swojej dzie-  
więćdziesięcioletniej wysokości także  
potoczył wzrokiem po horyzon-  
cie i dumając nad zwiastują-  
cym tajemnicze ciosy zawodze-  
niem syren i nad tym, co u-  
słyszał, podrapał się w poli-  
czek. Jeszcze nigdy dziadek nie  
był taki zdenerwowany, nigdy  
nie mówił tak dzwonię i o tak  
dzwonych rzeczach, o wypiętym  
różzowym zadku prezydenta, a  
tym bardziej nie wykrzykiwał  
tego na całe gardło, zupełnie  
nie wiadomo, do kogo i po co.  
Te dwie whisky? No, uniek  
Norman wypija przez wieczór  
pięć szklaneczek i zachowuje  
się normalnie, dopiero po szó-  
stej albo siódmej zaczyna być  
gadaliwy, wykrzykuje talcis  
same dziwne rzeczy i łatwo  
wpada w złość.

— Ale nie! — stwierdziłszy  
z rozdrażnieniem, że nikt zzo  
linii horyzontu nie chce mu  
odpowiedzieć, że nikt nie rea-  
guje na jego oskarżenia i wez-  
wania, pulkownik Dowd posta-  
nowił uwieńczyć swój monolog  
kwiecistą diatribą. — Ale nie!  
— powtórzył. — My wolimy wsadzić  
głowę w piasek i potulnie  
wypięć różowy zadek, żeby  
tamej srobblił nam dziurę, przez  
którą wysramy z siebie wszyst-  
ko, nawet mózg!

— Dziurę... sir!  
— Dziurę. Styszeliście prze-  
mówienie prezydenta, kapralu?  
— Mówiąc do wnuczka pulko-  
wnik nadal patrzył w kierunku  
centrum miasta, gromiąc  
spojrzeniem niewidzialnych  
wrogów przyczajonych na bia-  
łej drewnianej dzwonnicy ko-  
ścioła, na dachach biurowców  
i w koronach topoli. — On nam  
kazał powypinać tyłki i spoko-  
nie czekać, aż tamci dobiorą  
się do nas swoimi głowicami.  
Rozumiecie?

— Tak jest, sir! — odpowie-  
dził Eddie, chociaż doprawdy  
rozumiał niewiele. Tylko czy  
zwykły żołnierz musi cokolwiek  
rozumieć? No, zwykły żołnierz  
nie musi, ale kapral... nie  
wiem. Kapral chyba jednak po-  
winien mieć jakieś rozumie-  
nie sytuacji. — Nie, nie rozu-  
miem, sir!

— I ucałe się wam, kapralu,  
nie dziwie! — huknął pulko-  
wnik Dowd. — Ja sam nie po-  
trafię tego zrozumieć. Była dro-  
dna awaria podczas bitwy symu-  
lowanej na komputerach,  
które potraktowały sprawę se-  
rto i wysłały kilka głowic tam

do nich, w sumie niecałą set-  
kę megaton. Ten dureń to  
przemówienu powiedział, że  
nastąpiła tragiczna pomyłka, a  
ja mówię, że to Bóg sprawił,  
bo nasze rakiety były poczo-  
wymi stemplami z napisem  
„Zwrot od nadawcy” i miały  
ich wyprawić z powrotem do  
piekła. Ale oni je przechwycili,  
rozwalili i spalili, i tylko dwie  
albo trzy trafiły w cel. Znisz-  
czyli nasze rakiety i wystrze-  
lili swoje, a potem nadali tele-  
fogram do Białego Domu za-  
dając wyjaśnień i grożąc  
nam. I prezydent ukorzył się  
przed nimi, padł na kolana,  
biadolcił i jęczał, dał im gwa-  
rancję bezpieczeństwa i dopie-  
ro wtedy oni warunkowo o-  
strzegł go o już podjętych kro-  
kach odwetowych. Warunko-  
wo, rozumiecie, kapralu? A  
ten dureń każe nam potulnie  
wypięć tyłki i zachować spo-  
kój bez względu na to, czy na-  
sza zaporą powstrzyma uderze-  
nie, czy też jakiś pocisk prze-  
drze się przez nią i gruchnie  
w Amerykę, kiedy w zapasie  
mamy dziesiątki tysięcy głowic,  
które mogą rozwiązać nasze  
problemy raz na zawsze!

— Gruchnie, sir?  
O raju, dziadek wcale nie  
zapomniał o regulach gry. I  
nawet wziął się do rzeczy  
jak prawdziwy dowódca, jest  
strasznie wkurzony na prezy-  
denta, nie ma w tym picu ani  
udawania. Nareszcie! Może wy-  
myśli na dzisiaj coś nowego,  
bo to ciągle czyszczenie i kon-  
serwowanie sprzętu w punkcie  
dowodzenia stało się już nud-  
ne, może nawet — o je! —  
może nawet ogłosić alarm ato-  
mowy, który obiecuje od mie-  
sięcy, tak jak te syreny do-  
kółka. Przecież powiedział, że  
tym razem jest to alarm praw-  
dziwy. Byłoby kapitałnie, gdy-  
by on też ogłosił taki alarm.

— Gruchnie i będzie za póź-  
no, żeby podjąć z tamtymi  
jakikolwiek dialog, chociaż dys-  
ponujemy dziesiątkami tysięcy  
argumentów o nieopartyjnie  
perswazyj.

Zaraz, do piekiel nędzy, to  
wcale nie oznacza, że wszyst-  
ko jest stracone. Jeśli gruchnie  
gdzieś w pobliżu bazy wojsko-  
wej, to przepięcia mogą spo-  
wodować następną awarię kom-  
puterów, co znowu da Bogu a-

sumpt do odpalenia naszych  
raket i skierowania ich w cel.  
Tamci odpowiedzą z nauką,  
nie uwierzą już w żadne zapo-  
wienia, choćby ten dureń za-  
klnął ich i błagał, i wtedy bę-  
dziemy musieli przystąpić do  
operacji strategicznych, chyba  
że tymczasem, po tej wstępnej,  
wzajemnej wymianie i demon-  
stracji nowoczesnych środków  
rażenia, systemy komputerowe  
całkowicie się rozregulują i  
wymkną spod kontroli ludzi, i  
same rozpoczną i zakończą w  
ciągu trzech godzin ostatnią  
wojną światową. Tylko czy  
impuls elektromagnetyczny zdo-  
ła spowodować taką awarię?  
Norman... Norman powinien to  
wiedzieć.

— Kapralu!  
— Tak jest, sir.

— Zejdźcie do punktu do-  
wodzenia i połączcie mnie z  
Rapitanem McLorrenem.

Z wujkiem Normanem. Oho,  
coś wisi w powietrzu. Mały Ed-  
die ochoczo zbiegł po łagodnie  
opadającym nasypie w dół do  
schronu.

— Oglaszam alarm atomowy,  
kapralu — powiedział pulko-  
wnik Dowd takim tonem, jak-  
by podawał prognozę pogody.

Węc jednak! Hurr! I „na-  
ty Eddie radośnie wpadł do  
ciemnego pomieszczenia, dwa  
i pół metra pod ziemią, pod-  
czas gdy jego dziadek, szpięć i  
rozmyślając, został na gorze z  
pustą szklaneczką po whisky w  
zgiętej ręce.

## W TANIEJ KNAJPCIE W OAKLEY.

Graficzny rzut bulwy ziem-  
niaka na płaszczyznę poziomą  
dziennikarce, ci niestrudzeni  
specjaliści od wymyślania pa-  
ranoidalnych nagłówków i mro-  
żących krew w żyłach artyku-  
łów, nazwali trójkątem. Ścisłej  
mówiąc, nazwali go „Trójkątem  
Florydzkim”, żeby brzmiało to  
złowieszczo i żeby wszyscy wie-  
dzieli, gdzie on leży. W przy-  
bliżeniu.

— Gdzie on leży? — można  
by zapytał sierżanta Chupa  
Dennisa. Chip Dennis leżał tam,  
gdzie „Trójkątem Florydzkim”, tyle  
że zajmował zdecydowanie

mniej miejsca. Miał on zwy-  
czaj spędzać w tej pozie mę-  
czące godziny służby, popijając  
piwo w cieniu transportera i  
odlewając się do dolka w zie-  
mi wygrzebanego blisko siebie,  
tak że nie musiał wstawać, o-  
bracał się tylko na bok i wy-  
mował rozpylacz. — Gdzie on  
leży? — można by go zapytać.

I wtedy sierżant Dennis, gdy-  
by zechciał zmienić pozę i roz-  
postrzeć wojskową mapę mię-  
dzy puszkami piwa a wygrzeba-  
nym w ziemi dołkiem, mógłby  
powieść grubym paluchem po  
misternym akancie oznaczają-  
cym na tej mapie gęste zasiędi  
i określić położenie „Trójkąta  
Florydzkiego” z ilości sztabową  
dokładnością, z uwzględnieniem  
szczegółów topograficznych:

podjazd przy motelu „Pak Or-  
chidel”, grupa czterech cypry-  
sów, ścieżka za strzelnicą „Se-  
zon Polowań”, południowo-za-  
chodnia granica fermy węży,  
Pasaż Dyskotek, szosa numer...  
ogrodzenie parkingu obok em-  
porium... szutrowa droga na pół-  
nocnym skraju wioski indiań-  
skiej... zabudowania restaura-  
cyjno-hotelowe nad sztucznym  
jeziorem... kanał łączący rozle-  
wisko w parku papug z... po-  
łudniowo-wschodnie obrzeże lu-  
naparku... i tak dalej.

— Gdzie on leży? — można  
by zapytać Iry Buell. Ira Bu-  
ell jadła naleśniki z jagodami  
w taniej knajpcie w Oakley,  
stan Kansas, i znał kubka le-  
tniej kawy patrzyła na dowód  
fantazji oraz patriotyzmu wła-  
ściciela lokalu: wiszący nad ba-  
rem kolorowy plakat przedsta-  
wiający mapkę konturową Stan-  
ów Zjednoczonych Ameryki  
Północnej pod dwoma skrzyżo-  
wanymi proporczykami „Stripes  
and Stars”, opatrzony datą  
1776. — Gdzie on leży? — mo-  
żna by ją zapytać.

I wtedy Ira Buell, wyrwana  
z zadumy, mogłaby odpowie-  
dzieć nie wdając się w szcze-  
gół topograficzny:

— Na południu, oczywiście.

A więc na południu. Na po-  
łudnie ścigali z rozmaitych  
stron kraju turyści napiwują-  
cy kapryśnymi strumyczkami,  
które leniwie łączyły się w  
ludzką rzekę znajdującą ujście  
w stanie Georgia. W stanie tym  
swoje ujście znajdowała także  
rzeka uciekinierów z Florydy,  
nieporównywalnie mniejsza, ale  
stosunkowo wartka. W rejonie  
Columbus, La Grande, Carroll-  
ton, Marietta, Athens, Milled-  
geville i Macon zderzyły się  
prądy obu tych rzek, tworząc  
wir i turbulencje (nie tyle  
wody co tłumów) i spietrzając  
się w rozwidlenie autostrad  
wychodzących z Atlanty w kie-  
runku na Macon i na La Gran-  
de — mniej więcej na wyso-  
kości Griffin, pod Griffin i w  
samym Griffin, w którym prze-  
bywał Elias.

Na południe podążali człon-  
kowie ekip filmowych, dzien-  
nikarze i reporterzy — wciąż z  
nowymi nadziejami, usiłując  
dotrzeć jak najbliższej „Trój-  
kąta Florydzkiego” i udając się, że  
im to przypadnie w udziale  
odkrycie tajemnicy strzeżonej  
przez drut kolczasty i wojsko-  
we patrole. Miasto Griffin nie  
budziło w nich takich emocji.  
Uznali zgodnie, że źródło sen-  
sacji, jakim był Elias jeszcze  
miesiąc temu, wyszło już z  
kretelem, wyeksploatowane do  
cna przez telewizję, co potwier-  
dził spadek popularności tego  
proroka, licznych jego wywia-  
dów, wystąpień, kazań, rytua-  
lnych obrządków i nabożeństw,  
skłaniający kolejne stacje tv  
do rezygnowania z emisji tych  
programów. Dziennikarze, któ-  
rych tak jak Jeremiego Brow-  
na i Doreen Thornhill szef  
oddelegował do obsługi Eliasza,  
uważali się za skrzyżdzonych,  
odstawionych na boczny tor.

Na przekór opinii panującej  
w mass-mediach zainteresowa-  
nie Eliasem wszakże nie sła-  
biało. Co prawda jako gwiazda małe-  
go ekranu traciła na blasku i  
powszednia, zwłaszcza że wi-  
dów przesyconych uzdrowie-  
niami dokonywanymi seryjnie  
przez Giorbruna i zalewem me-  
sjanistyczno-zbawicielsko-kazno-  
dziejskiego repertuaru trudno  
było czymś zaintrygować i

przynajmniej do telewizora, to ja-  
ko przewodnik duchowy i au-  
gur skupiał wokół siebie stale  
rosnące grono słuchaczy, adep-  
tów i wyznawców, którzy wi-  
dziel w nim nauczyciela, ja-  
snowidza, nawet cudotwórcę.  
Ira Buell siedząc nad tale-  
rzem z naleśnikami w taniej  
knajpcie w Oakley czuła, że  
przynależy do tego grona.

Wpierw umarła jej matka.  
Potem pojawiły się sny. Nie,  
sny pojawiły się, kiedy stara  
jeszcze żyła, chociaż leżała już  
nieprzytomna w szpitalnym łóż-  
ku, wyzerana od wewnątrz  
przez rakotwórcze tkanki —  
pożółkła i skurczona jak bu-  
twiejąca pacynka. I było to  
przed Eliasem, zanim ten trzy-  
dziesięcioletni murzyński prorok  
wystąpił publicznie.

Matka w jej snach. Matka,  
która mdlała na widok otartej  
nogi, ta żarliwa neofitka dok-  
tryny świadców Jehowy —  
w jej snach była asystentką  
naczelnego chirurga. Gwałto-  
wna, despotyczna, strofująca  
pielęgniarki. I ten poród, cią-  
głe ten sam poród powtarzają-  
cy się z niezmienną scenar-  
nizacją, to matka rozciąła  
ją od kroczka aż po mostek i  
wyjmowała z niej niemowlę,  
trzymając je za włosy skrecone  
w fili, uszając nad jej roz-  
platanym brzuchem...

„Czarnuch” — mówiła  
„unosząc jego zakrwawione  
ciało. Pokryta śluzem pepowina  
dyndała w powietrzu, nisko  
nad jej brzuchem już zaskle-  
pionym, wydłużała się ku ni-  
mu i zrastała z jej peplikiem. I  
matka kładła na niej to niemow-  
le, które ważyło tyle co fi-  
gura z brązu.

„Wstań — mówiła. — Weź  
tego czarnucha i chodź”  
I szpitalna biel zamieniała  
się w biel mgły targanej wście-  
kimi porывami wiatru, a  
ciężki popytalny posadki za-  
mieniał się w chłód chropowatej  
wielkości, kanciastej skały kaleczącej  
bose stopy.

Matka w jej snach. Matka,  
która swoim postępowaniem  
starała się dowieść każdemu, ja-  
ka jest wrażliwość i takowna,  
ta pełna pochlebstw, gotowa  
do wyrzeczeń niewolnica wła-  
snej czarnej służącej — w jej  
snach była gruboskórny, py-  
skatym wycieruchem z ulicy  
I te jej przekleństwa, posztur-  
chowania i kopniaki. To matka  
zmuszała ją tak do wypielzania  
po tym stronnym zbrozu o  
twardych, ostrych krawędziach  
raniących ciało głęboko i bole-  
śnie, ponagając ją wulgarny-  
mi wrzaskami...

„Jazda, ty ryszotkowa dziw-  
ko. Spróbuj sobie wyobrazić, że  
tam na szczycie czeka na cie-  
bie pułk kadetów z West Point  
przybyłych prosto z tygodnio-  
wych ćwiczeń w okopach, i na  
okrasz kwiat młodych rozplodo-  
wów z Harlemu. Tszesz to  
swoje spragnione dupsko pod  
górze. I tego czarnego be-  
karta, może rozpozna tatusia,  
jak wszyscy pospuszczają por-  
ki” — mówiła.

„ponagając ją do wpełza-  
nia po stronnym zbrozu. Ryczą-  
cy wiatr rozdzierał i przeganiał  
mgłę, ukazując granitowy  
szczyt wyniesiony nad przepa-  
ścią i smagał jej ciało, kiedy  
naga stała na zimnej skale i  
patrzyła w dół na wylaniające  
się zą zrednącej mgły śniażę,  
chromitowe oko sekł jąrdów  
poniżej. Niemowle, które trzy-  
mała przy piersi, było omsza-  
łym, śliskim gładem pokrytym  
ślazem i przewiazanym mokrym  
sznurem. Jego drugi ko-  
niec matka oplatała ciasno wo-  
kół jej talii.

„Leć — mówiła. — Leć,  
Czarna Kurko”  
I chromitowe oko ruszało jej  
na spotkanie, mknąc ku niej  
coraz szybciej. Zamieniało się  
w lustrzaną taflę jeziora, a  
ryk wiatru zamieniał się w  
gwar ludzkich głosów.

C.D.N.  
Tytuł pochodzi od redakcji. Ty-  
tuł autora „Stan zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc